

200.001

ARCHIWUM
HISTORJI I FILOZOFJI
MEDYCYNY

ORAZ

HISTORJI NAUK PRZYRODNICZYCH

REDAKTOR

ADAM WRZOSEK

TOM IV
ZESZYT I



UNIWERSYTET ŁÓDZKI
ZAKŁAD HISTORJI
I FILOZOFJI MEDYCYNY
POZNAN
MCMXXVI



200.001/235.562

TREŚĆ ZESZYTU I TOMU IV.

I. HISTORIA MEDYCyny.	Str.
1. Początki stosowania auskultacji w Polsce. Napisali dr. Adam Wrzosek, prof. historii i filozofii medycyny w Uniw. Poznańskim, i dr. Romuald Wierzbicki	1
2. Baltazar Hacquet. Napisał dr. Witold Ziembicki	14
3. Anselmus Ephorinus. Napisał dr. Jan Lachs	40
4. O dawnych lekarzach wileńskich. Napisał dr. Julian Talko-Hrynciewicz, prof. antropologii w Uniw. Jagiellońskim	55
II. FILOZOFIA MEDYCyny.	
1. Najbliższe zadania filozofii medycyny. Napisał dr. Władysław Szumowski, prof. historii i filozofii medycyny w Uniw. Jagiellońskim	70
2. Medycyna jako nauka stosowana. Napisał dr. Henryk Nusbaum, prof. filozofii medycyny w Uniw. Warszawskim	74
3. Przesąd w medycynie. Napisał dr. Stanisław Trzebiński, prof. historii medycyny w Uniw. Stefana Batorego w Wilnie	94
III. MATERJAŁY DO HISTORJI MEDYCyny.	
1. Józef Dietl. O zwadach i radach rzeczypospolitej lekarskiej czyli sen młodego akademika. Wydał Adam Wrzosek	106
2. Adam Ferdynand Adamowicz. Wiadomości historyczne dotyczące się kamieni pęcherzowych i operacji kamienia w Wilnie. Wydał dr. Wiktor Janusz	114
IV. PAMIĘTNIKI I LISTY.	
1. Pamiętniki Wiktora Szokalskiego. Rozdział V. Wydał dr. Romuald Wierzbicki	120
2. Listy Filipa Waltera do Walerego Wielogłowskiego (1836–1844). Wydał dr. Jan Zawadzki, profesor chemji w Politechnice Warszawskiej	132
V. SPRAWOZDANIA I OCENY.	
1. Władysław Biegański. Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej. Wydanie drugie z przedmową W. Szumowskiego. (A. Wrzosek)	140

2. J. Helena Rembowska. Jan z Szamotuł Jonston, przyrodnik XVII wieku. (S. Trzebiński)	141
3. Storia della peste avvenuta nel Borgo di Busto Arsizio 1630. Manuscrit original publié par J. W. S. Johnsson. (A. Wrzosek)	142
4. Erstlinge der pädiatrischen Literatur... in Faksimile herausgegeben von Karl Sudhoff. (J. Fritz)	142
5. Bolesław Siwiński. Zasługi ś. p. prof. dr. med. Antoniego Mikulskiego dla psychiatrii w Polsce. (A. Wrzosek)	144
6. Moodie R. L. Paleopathology, an introduction to the study of ancient evidences of disease. (W. Szumowski)	144
7. D. Pletniew. Rosyjskie szkoły terapeutyczne. Zacharjin, Botkin, Ostroumow. (W. Janusz)	145
8. Karol Kosiński. Ś. p. prof. dr. Józef Ziemacki. (A. Wrzosek)	146
9. Horst Fichtner. Die Medizin in Avesta. (J. Sawliński)	147
10. C. Greene-Cumston. Une note sur la découverte de l'acarus scabiei. (A. Wrzosek)	147
11. V. Bugiel. Les hôpitaux de Cracovie de 1220 à 1920. (A. Wrzosek)	148
VI. SPRAWOZDANIA ZE ZJAZDÓW I TOWARZYSTW NAUKOWYCH	
1. Piąty międzynarodowy kongres historii medycyny w Genewie. Napisał dr. R. Wierzbicki	150
2. Sprawozdanie z posiedzenia organizacyjnego Towarzystwa Miłośników Historii Medycyny we Lwowie. Napisał dr. J. Fritz	154
VII. WIADOMOŚCI RÓŻNE.	
1. Dalsze zamierzenia Archiwum historii i filozofii medycyny oraz historii nauk przyrodniczych. (A. Wrzosek)	157
2. Drobne wiadomości	160
VIII. STRESZCZENIE PO FRANCUSKU PRAC ORYGINALNYCH	161

SOMMAIRE.

I. HISTOIRE DE LA MÉDECINE.

1. Dr. A. Wrzosek, prof. d'histoire et de philosophie médicales à l'Université de Poznań, et Dr. R. Wierzbicki. Les premières applications de l'auscultation en Pologne	1
2. Dr. W. Ziemicki. Balthazar Hacquet, membre de la faculté de médecine de Lwów, sous le règne de l'empereur Joseph II	14
3. Dr. J. Lachs. Anselmus Ephorinus	40
4. Dr. J. Talko-Hryniewicz, prof. d'anthropologie à l'Université des Jagellons à Cracovie. Les anciens médecins de Vilno	55

II. PHILOSOPHIE DE LA MÉDECINE.	
1. Dr. W. Szumowski, prof. d'histoire et de philosophie médicales à l'Université des Jagellons à Cracovie. Les problèmes les plus urgents de la philosophie de la médecine	70
2. Dr. H. Nusbaum, prof. de philosophie médicale à l'Université de Varsovie. La médecine en tant que science appliquée . . .	74
3. Dr. S. Trzebiński, prof. d'histoire de la médecine à l'Université de Stefan Batory à Vilno. La superstition et le préjugé en médecine	94
III. MATÉRIAUX POUR SERVIR À L'HISTOIRE DE LA MÉDECINE.	
1. Joseph Dietl. Des discussions et querelles de la république médicale ou le rêve d'un jeune étudiant. Édition et préface de M. A. Wrzosek	106
2. A. F. Adamowicz. Données historiques sur les calculs de la vessie et l'opération de calculs à Vilno. Édition et préface de M. V. Janusz, dr. en méd.	114
IV. MÉMOIRES ET LETTRES.	
1. Mémoires de Victor Szokalski. Édition et préface de M. R. Wierzbicki, dr. en méd. (Suite)	120
2. Lettres de Philippe Walter à Valérien Wielogłowski (1836—1844) Édition et préface de M. J. Zawadzki, prof. de chimie à l'Ecole Polytechnique de Varsovie	132
V. MOUVEMENT SCIENTIFIQUE	140
VI. COMPTES RENDUS DES CONGRÈS ET DES SOCIÉTÉS SCIENTIFIQUES.	
1. Le Vème Congrès International d'histoire de la médecine à Genève, par R. Wierzbicki	150
2. Compte rendu de la séance d'organisation de la Société des Amis de l'Histoire de la Médecine à Lwów, par J. Fritz . . .	154
VII. VARIÉTÉS	157
VIII. RÉSUMÉS FRANÇAIS DES PRINCIPAUX TRAVAUX	161

I.

ADAM WRZOSEK i ROMUALD WIERZBICKI.

POCZĄTKI STOSOWANIA AUSKULTACJI W POLSCE.

(PRZYSZYNEK DO HISTORJI WPŁYWU NAUKI FRANCUSKIEJ NA POLSKĄ).

Według referatu odczytanego w Genewie 24 lipca 1925 r. na V międzynarodowym zjeździe historyków medycyny.



dzięki nauce francuskiej perkusja i auskultacja stały się ważnymi metodami diagnostycznymi, przyczyniającymi się znakomicie do postępu medycyny, zwłaszcza w zakresie rozpoznawania chorób płuc i serca. Wprawdzie lekarz wiedeński Leopold Auenbrugger (1722—1809) ogłosił już w r. 1761 małą rozprawę w języku łacińskim p. n.

„*Inventum novum ex percussione thoracis humani ut signo obstruos interni pectoris morbos detegendi*“, w której podnosi doniosłe znaczenie opukiwania klatki piersiowej dla rozpoznawania różnych chorób, atoli praca jego przeszła narazie bez oddźwięku wśród lekarzy, a „stara szkoła wiedeńska“ prawie nie zwróciła na nią uwagi¹⁾. Taki sam był los przekładu fran-

¹⁾ Doll. Die Entwicklungsgeschichte der Auskultation zu ihrem 100-jährigen Gedächtnis. Archiv für Geschichte der Medizin. Bd. XIII, 1921, str. 51.

cuskiego tej pracy. Przekład ten, dokonany przez Rossière de la Chassagne i wydany w roku 1770, nie zwrócił na siebie uwagi ani uczonych, ani lekarzy i poszedł rychło w zapomnienie. Dopiero, gdy w r. 1808 lekarz Napoleona I Corvisart - Desmarets (1755-1821), opierając się na własnem dwudziestoletniem doświadczeniu w posługiwaniu się perkusją, wydał przekład rozprawy Auenbruggera, uzupełniony uwagami i dodatkami, prostującemi niektóre mylne zapatrywania Auenbruggera, — perkusja zaczęła zyskiwać należne jej miejsce wśród metod badania chorych.

Szczęśliwszym od Auenbruggera był Laënnec (1781-1826), który swoją metodą auskultacji, wkrótce po jej ogłoszeniu drukiem, potrafił niepomierne wzbudzić zainteresowanie wśród lekarzy wszystkich cywilizowanych krajów. Najpierw, po dwuletnich studjach nad auskultacją, przedstawił on Akademji Nauk w Paryżu w r. 1818 rozprawę p. n. „Mémoire sur l'auscultation à l'aide de divers instruments d'acoustique, employés comme moyen d'exploration dans les maladies des viscères thoraciques, et particulièrement dans la phtisie pulmonaire,“ a w roku następnym wydał swoje epokowe dzieło, zatytułowane „De l'auscultation médiate, ou traité du diagnostic des maladies des poumons et du coeur, établie principalement à l'aide de ce nouveau moyen d'exploration.“ W roku 1822 ukazała się rozprawa Lejumeau de Kergaradec'a o zastosowaniu auskultacji w położnictwie¹⁾, a w roku następnym praca znakomitego chirurga paryskiego Lisfranca o zastosowaniu auskultacji w chirurgji²⁾. Słowem, dzieło Laënneca wywołało zaraz po swoim ukazaniu się doniosły ruch naukowy we Francji, gdzie perkusja i auskultacja rozwijały się dalej, dzięki tej

¹⁾ Mémoire sur l'auscultation, appliquée à l'étude de la grossesse ou recherches sur deux nouveaux signes propres à faire reconnaître plusieurs circonstances de l'état de gestation. Paris 1822.

²⁾ Mémoire sur des nouvelles applications du stéthoscope de Mr. le professeur Laënnec par J. Lisfranc. Paris 1823.

miary lekarzom jak Bouillaud, Piorry, Aran, Andral, Louis i inni. Do rozpowszechnienia wspomnianych metod w Austrii i w Niemczech przyczynił się w dużej mierze Józef Škoda, sławny profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego, który wydał w r. 1839 cenne dziełko p. n. „Abhandlung über Auskultation und Perkussion,” cieszące się przez długie lata zasłużonem powodzeniem i niejednokrotnie ponownie wydawane.

Atoli jeszcze przed Škodą był jeden głośny swego czasu autor licznych rozpraw i dzieł lekarskich (dziś zupełnie zapomniani), który duży wpływ wywarł na rozpowszechnienie się perkusji i auskultacji nie tylko we Francji i w Niemczech, ale i w Anglii, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, w Belgji, w Polsce, w Rosji, a nawet w Grecji. Był nim Polak Adam Raciborski (1809-1871), który w r. 1831 jako student medycyny brał udział w powstaniu listopadowem, a potem udał się na emigrację do gościnnej Francji. Otrzymawszy w r. 1834 dyplom doktora medycyny w Paryżu, w rok potem jako 26-letni młody uczony wydał podręcznik perkusji i auskultacji, poświęcony Bouillaud. Podręcznik ten wydany w Paryżu w r. 1835 p. n. „Nouveau manuel complet d'auscultation et de percussion, ou application de l'acoustique au diagnostic des maladies“ (w 8-ce, str. IX i 304) miał niezwykle powodzenie, gdyż w tymże roku został wydany w Cambridge w przekładzie angielskim, dokonany przez Wiliama Fitzherbert'a, w roku następnym w Lipsku w przekładzie niemieckim, w r. 1838 w przekładzie greckim, wreszcie w pięć lat potem t. j. w r. 1843 w przekładzie rosyjskim. Książka ta doczekała się w r. 1839, w którym wyszło pierwsze wydanie dzieła Škody, swego drugiego wydania w języku francuskim, wydrukowanego w Brukseli. Nadto, prócz wspomnianego już przekładu angielskiego, wydane w r. 1835 w Cambridge, wyszedł później drugi przekład angielski, wydany w Bostonie.

Nie we wszystkich krajach przyjęto metodę Laënneca, zaraz po jej ogłoszeniu, z równym entuzjazmem jak we Francji.

Doll w swojej rozprawie o rozwoju auskultacji pisze: „Wie viele tiefgreifende Neuerungen erfuhr auch die Kunst der Stethoskopie, wie man die Auskultation früher häufig bezeichnete, mancherlei Zweifel und Ablehnung. Namentlich in England wurde sie eine Zeitlang bewitzelt und bespöttelt“.¹⁾ W innym zaś miejscu tenże autor dodaje: „Es hat verhältnismässig lange gedauert, bis die physikalische Diagnostik in Deutschland allgemein Eingang fand“.²⁾

Zdanie to potwierdzają w zupełności wspomnienia Wiktora Szokalskiego, który pisze, że w czasie studiów medycznych w Giessen, które ukończył z dyplomem doktorskim w r. 1834, nie słyszał nic zgoła ani o perkusji, ani o auskultacji. Po raz pierwszy zetknął się z temi metodami badania dopiero później, mianowicie w Heidelbergu, gdzie doskonalił się w medycynie, uczęszczając głównie na wykłady kliniczne profesora chorób wewnętrznych Puchelta i profesora położnictwa Naegelego. „Gdym się profesorowi kliniki wewnętrznej Pucheltowi, ówczesnej wybitnej znakomości, przedstawił — pisze Szokalski — i na zapytanie skąd przybywam, odpowiedziałem, że z Giessen, odrzekł mi z pół uśmiechem: «A z owego patryarchalnego Giessen, które dotąd jeszcze o fizykalnem badaniu nic nie chce wiedzieć. Ciekawa rzecz istotnie, jak też to długo jeszcze ci ludzie pozostaną ślepymi»“³⁾. Dalej wspomina Szokalski, jak to zachwycony rozpoznawaniem chorób przez Puchelta zapomocą opukiwania i osłuchiwania, zapalił się do tych metod badania, które sobie gruntownie w Heidelbergu przyswoił.

Zapewne nie tylko Wydział Lekarski w Giessen nie rychło uznał doniosłość opukiwania i osłuchiwania w rozpo-

¹⁾ Doll l. c. str. 50.

²⁾ Tenże l. c. str. 63.

³⁾ Wiktor Feliks Szokalski. Wspomnienia z przeszłości, (1819—1837.) Z rękopisu wydał Adam Wrzosek. Wilno 1914, T. II., str. 151—2.

znawaniu chorób. Takich wydziałów było z pewnością w Niemczech więcej, skoro byli tam lekarze jeszcze na początku drugiej połowy XIX wieku, którzy o perkusji i auskultacji nie nie słyszeli. Henryk Hoyer starszy, wspominając o swoich studiach medycznych, które ukończył w Berlinie w r. 1857, nadmienia, że: „Fundamentalne znaczenie w diagnostyce zyskały już w owym czasie auskultacja i perkusja, uprawiane przez całą młodszą generację lekarzy; z doniosłymi temi metodami oswajali nas dokładnie asystenci klinik. Starsi jednak praktycy nie tylko nie mieli żadnego pojęcia o tej nowej „sztuce“, ale traktowali ją zwykle dość lekceważąco. Odslugując, jako początkowy lekarz, rok obowiązkowy w wojsku, wzbudziłem zdumienie przełożonego mi starego lekarza pułkowego przez wypukanie wysięku pleurytycznego i następne wykazanie zmian odgłosu po zniknięciu płynu“¹⁾.

Kiedy dokładnie zaczęto w Niemczech wprowadzać do nauki na wydziałach lekarskich perkusję i auskultację, dotąd tego nie stwierdzono. Wiadomo tylko np. że Pfeufer, gdy był asystentem Schönleina w Würzburgu, miał pierwsze kursa z perkusji i auskultacji w r. 1828²⁾.

Natomiast wiemy z całą pewnością, że w Polsce wprawiano studentów medycyny w używanie perkusji i auskultacji, już poczynawszy od r. 1823. Pod tym względem Polacy nie pozostali w tyle za innemi narodami, wyprzedzając nawet niektóre z nich.

W czasach, w których Laënnec wystąpił ze swoją metodą auskultacji i zaczął nauczać publicznie jej stosowania, przebywał w Paryżu przez lat kilka adjunkt Uniwersytetu Wileńskiego dr. Wincenty Herberski, wysłany przez ten Uniwersytet zagranicę w celu doskonalenia się w medycynie prak-

¹⁾ Henryk Hoyer. Uwagi nad piśmiennictwem lekarskiem polskiem. *Gazeta Lekarska* 1903, Nr. 35—37.

²⁾ Doll l. c. str. 63.

tycznej, zwłaszcza w chorobach ocznych i wewnętrznych. Zapoznawszy się z Laënnec'em, od którego był młodszym tylko o 3 lata, stał się jednym z najgorliwszych jego uczniów. Wróciwszy w r. 1823 do Wilna po sześcioletnich studiach zagranicą, zaraz zajął tam katedrę kliniki chorób wewnętrznych, którą właśnie w tym czasie opuścił, przechodząc na emeryturę, jego nauczyciel, głośny swego czasu lekarz i autor licznych pism z zakresu medycyny wewnętrznej — Józef Frank, syn sławnego Jana Piotra Franka, który również był ongiś profesorem w Wilnie i poprzednikiem swego syna na katedrze kliniki lekarskiej.

Herberski, zanim jako adjunkt Uniwersytetu Wileńskiego, wyruszył na sześcioletnią podróż naukową zagranicę, miał za sobą studia w Wilnie pod kierunkiem tak wybitnych nauczycieli, jakimi byli Jędrzej Śniadecki, Bojanus, Józef Frank i inni. Odebrawszy wykształcenie lekarskie pod kierownictwem takich mistrzów, łatwo mógł później w swych studiach zagranicznych odróżniać plewy od zdrowego ziarna. Otóż, przekonawszy się rychło o przełomowym znaczeniu w medycynie auskultacji, w której się wybornie wyszkolił pod kierunkiem samego Laënneca, zaraz po objęciu w r. 1823 kliniki lekarskiej w Wilnie stał się bardzo gorliwym, fanatycznym niemal, krzewicielem nowej metody, wlewając zapał do niej w licznych swoich uczniów.

Że uczniowie Herberskiego istotnie umieli się obchodzić ze stetoskopem i w zupełności doceniali jego znaczenie, mamy dowody w historjach chorób, napisanych przez nich. Jeden z uczniów Herberskiego, student Uniwersytetu Wileńskiego, opisując w roku 1825 chorobę osobnika leczonego w jego klinice, dodaje: „Usum stethoscopii ad rite cognoscendos delucidandosque morbos pectoris, omni laude dignum esse, convicti sumus.“¹⁾

¹⁾ Adam Wrzosek. Jędrzej Śniadecki. Kraków 1910, T. II, str. 214.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym roku, w którym Laënnec został profesorem kliniki lekarskiej w Paryżu, w Wilnie został nim Herberski. Na takich samych katedrach, w dwóch tak oddalonych uniwersytetach zasiedli ludzie, którzy znaczenie auskultacji w medycynie z entuzjazmem wpajali swoim uczniom. I w dalszych losach życia Laënneca i Herberskiego zachodziło niemałe podobieństwo. Obaj przedwcześnie, prawie w tym samym czasie, umarli: Laënnec w r. 1826, licząc lat 45, Herberski w rok później, mając lat 43.

Obok Herberskiego, krzewicielem auskultacji w Wilnie był młodziutki lekarz — Feliks Rymkiewicz, późniejszy profesor w Uniwersytecie Wileńskim. Wydrukował on na początku r. 1824, mając dopiero 24 lat, lecz będąc już autorem licznych prac naukowych a od trzech lat doktorem medycyny, rozprawę po polsku o użyciu stetoskopu, w której zaznajamia lekarzy polskich z wynikami prac naukowych o auskultacji napisanych przez Laënnec'a Kergaradec'a i Lisfranc'a oraz ilustruje rzecz swoją pięciu figurami stetoskopu i jego składowych części.¹⁾ W tymże roku z kliniki Herberskiego wyszła obszerna rozprawa doktorska Jana Oczapowskiego p. t. „De auscultatione mediata. De stethoscopii usu in medicina, chirurgia et arte obstetricia“ (Vilnae 1824, p. 82 i tablica z rysunkami stetoskopu). W przedmowie do swej rozprawy autor wzmiankuje, że bez pomocy Herberskiego nie mógłby podołać należycie swemu zadaniu, pisząc: „Certe succumbendum foret oneri in hac re tractanda minus nota adhuc nobis, nisi nos recrearet, atque ope sua firmaret Clar. Professor Herberski, qui longa mora atque patientia contraxit huius instrumenti usum Parisiis, sub oculis ipsius auctoris inventi: itaque praeterire non possum, quin egregio Professori hic gratias agam, cui adcuracionem instrumenti notitiam debeo, cujusque observationibus multiplicibus

¹⁾ Feliks Rymkiewicz. O użyciu stetoskopu. Dziennik medycyny, chirurgji i farmacji. Wilno 1824, str. 517-560. Toż w odbitce, Wilno 1824, str. 46 i 1 tablica.

nixus, hoc opus adgredior“ (p. 4). W pierwszej części swej pracy opisuje autor powszechnie wówczas stosowane sposoby badania chorób organów, w klatce piersiowej zawartych, wspominając o pracach Auenbrugger’a, Corvisart’a i kilku innych uczonych, mianowicie francuskich. W części drugiej, pisząc o auskultacji, cytuje prace Laënnec’a, Kergaradec’a, De Lens’a, Hall’a, Piderit’a, Lisfranc’a, Rostan’a, Merat’a, Authenac’a i Rymkiewicza; dalej opisuje stetoskop i jego użycie. W części trzeciej pisze o znaczeniu auskultacji w rozpoznawaniu chorób. W końcu zaś swej, starannie napisanej, rozprawy podaje opisy trzech przypadków, leczonych w roku 1823 i 1824 w klinice Herberskiego, w których rozpoznanie choroby w jednym płuc, a w dwóch serca oparte było na badaniu stetoskopem. — Rozprawa Oczapowskiego jest, o ile nam wiadomo, pierwszą rozprawą doktorską, w której roztrząsane jest znaczenie auskultacji nie tylko w chorobach wewnętrznych, lecz również w położnictwie i chirurgii.

O żywym ruchu naukowym medycznym w Wilnie w pierwszej ćwierci XIX wieku świadczy zarówno praca Rymkiewicza, jak i rozprawa Oczapowskiego, w których zasługuje na podkreślenie fakt, iż obu autorom znane były najnowsze prace w dziedzinie auskultacji, nie wyłączając prac które pojawiły się na dwa lata (Kergaradec) albo na rok (Lisfranc) przed ich rozprawami, lub nawet w tym samym roku (Hall), co ich prace. Do ludzi, wnoszących świeże prądy naukowego do Wszechnicy Wileńskiej, należał w pierwszym rzędzie Wincenty Herberski, który zdobycze nauki francuskiej potrafił zaraz skutecznie przeszczepić na grunt wileński.

Wilno niewątpliwie stało na czele naszego ruchu naukowego w dziedzinie medycyny w pierwszej połowie XIX stulecia. Atoli i w innych naszych miastach, zwłaszcza uniwersyteckich, znaleźli się lekarze, którzy rychło docenili wielkie odkrycie Laënnec’a. W roku 1829 wyszła w Krakowie praca doktorska

Józefa Lewickiego, ucznia prof. Brodowicza, głównie o użyciu stetoskopu i plesymetru¹⁾. Później inny uczeń Brodowicza wydał w roku 1841 pierwsze polskie dzieło o auskultacji²⁾. Był nim — Aleksander Kremer, który ukończył Wydział Lekarski w Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1837, a następnie odbył przeszło dwuletnią podróż naukową zagranicą.

Lewicki swoją rozprawę doktorską poświęcił Brodowiczowi, który zapewne był inicjatorem tej pracy, podobnie jak Herberski pracy Oczapowskiego. Wspomniawszy w przedmowie o bezpośrednim opukiwaniu i osłuchiwaniu, które wiele pozostawiały do życzenia, dodaje: „Summae sagacitatis scrutator Laenneccius huic defectui occursurus, suum Stethoscopum, Piorry Plessimetrum invenerunt: utriusque methodus explorandi, et utilitas in decelendis organorum thoracis affectionibus, exponenda, inest animo. — Doctrinae hujus gnaris, specimen istud succinctum ad ulteriora perpetranda insufficiens erit; ast incipientibus, quique prima artis ejusdem rudimenta cognoscere vellent, proficuum fore spero.“ Rozprawa Lewickiego podzielona jest na części, rozdziały i paragrafy. Część pierwsza, która nosi nazwę: „De stethoscopio et plessimetro, atque phaenomenis horum ope observandis,“ traktuje o sposobach stosowania słuchawki i pukadła oraz o objawach zarówno prawidłowych jak i patologicznych, które można obserwować zapomocą tych przyrządów. W części drugiej autor rozpatruje kolejno choroby, w których rozpoznawaniu słuchawka i pukadło odgrywają dużą rolę. Do tych chorób zalicza: choroby opłucny (hydrothorax liber, hydrothorax circumscriptus, pneumothorax, hydropneumothorax), płuc (oedema pulmonis, apoplexia pulmonaris, catharrhus pulmonum, peripneumonia, phtisis pul-

¹⁾ Józef Lewicki. De stethoscopi et plessimetri in diagnosi morborum thoracis usu item de keratonyxide. Cracoviae 1829, stron 52 i 1 tablica.

²⁾ Aleksander Kremer. O zastosowaniu słuchu do rozpoznawania chorób. Kraków 1841, str. XIV i 230.

monalis, emphysema, excavationes in pulmone) i serca (hypertrophia cordis, dilatatio cordis, dilatatio cum hypertrophia, orificiorum cordis coarctatio, mollities cordis, aortae aneurisma, pericarditis et hydrocardia). Trzecia część pracy, zatytułowana de keratonyxide, jako odnosząca się do okulistyki, nie ma nic wspólnego z dwiema poprzednimi, i nie wiadomo dlaczego razem z nimi została wydrukowana. Do pracy dołączona jest tablica z rysunkami słuchawki i pukadła. Autor cytuje prace Laënnec'a, Piorry'ego i Collin'a, na których się opiera, nie czyniąc żadnej wzmianki ani o pracy Rymkiewicza, ani i rozprawie Oczapowskiego, niewątpliwie wyżej stojącej pod względem wartości naukowej od jego pracy, czysto kompilacyjnej, nie popartej żadnymi przykładami. Inaczej postąpił Oczapowski, podając w swej rozprawie kilka historii chorób osób leczonych w klinice Herberskiego, jako dowód dużego znaczenia słuchawki w rozpoznawaniu chorób.

Bezporównania większą wartość od pracy Lewickiego posiada dziełko Kremiera, aczkolwiek oparte głównie na wyżej wzmiankowanej książce Skody, to jednak wzbogacone własnym doświadczeniem autora, nabytem w czasie paroletniego pobytu zagranicą, mianowicie w Berlinie, w Wiedniu, a zwłaszcza w klinikach paryskich, na których czele stali wówczas Bouillaud i Louis. Dziełko Kremiera składa się z trzech części: 1) „o pukaniu“, 2) „o przysłuchu“, 3) „o zjawiskach słuchowych w różnych stanach wnętrzości“. Jako pierwsza obszerna praca w języku polskim o opukiwaniu i osłuchiwaniu wzbogaca ona również nasze mianownictwo lekarskie pod niejednym względem.

Nie mamy dotąd dokładnych wiadomości, czy w Klinice Lekarskiej Krakowskiej, gdy nią kierował Brodowicz (1823 do 1850) była stosowana słuchawka. Sądzić należy, że tak, ponieważ klinika Brodowicza posiadała w swoim inwentarzu kilka słuchawek, mianowicie Laënnec'a, Schönlein'a, Falle'go

i Louis'a.¹⁾ Z pewnością jednak nie był ten przyrząd w tak częstem tam użyciu, jak w klinice Herberskiego, gdyż sam Brodowicz wyznaje, że w badaniu chorych wystarczały mu „zwykle naturalne organa zmysłów, skoro te były zdrowe, bystre i do obserwacyj wprawione, — jakie każdy lekarz posiadać, a uczeń już na klinikę przynieść z sobą powinien: gdyż bez tego na nic mu nie przydadzą się najlepsze chociażby narzędzia sztuczne, lecz przeciwnie do złudzeń i błędnych wniosków prowadzić muszą. Zresztą nie brakowało nam oddawna — pisze Brodowicz — na armaturze tego rodzaju, skoro się do nich uciekać istotna zachodziła potrzeba.“²⁾

W Warszawie zaczęto się interesować rzetelnie opukiwaniem i osłuchiwanem w rozpoznawaniu chorób później, aniżeli w Wilnie, a nawet później może niż w Krakowie. Wprawdzie Józef Bieliński w swej historii Wydziału Lekarskiego w Królewskim Uniwersytecie Warszawskim pisze, że „co do diagnostyki fizycznej t. j. opukiwania i wysłuchiwania, możemy zanotować to tylko, że profesorowie warszawscy jakkolwiek zaznajamiali swoich uczniów z pracami Corvisart'a, Laënnec'a, Forbes'a, Stokes'a i Chomel'a — jednakże, dopiero po zamknięciu Uniwersytetu spotykamy się z niektórymi, tu odnoszącemi się pracami wychowañców warszawskich“. Zaraz jednak potem dodaje: „W Warszawie ani stetoskop ani młoteczek nie były w użyciu“ w czasie istnienia tam Królewskiego Uniwersytetu.³⁾ Czy istotnie tak było, czy też inaczej, na to pewnych dowodów nie mamy. To, że Szokalski, który był

¹⁾ Ludomił Korczyński. Zarys dziejów Kliniki Lekarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego od jej założenia do r. 1875. (Odbitka z Pamiętnika jubileuszowego Prof. E. Korczyńskiego). Kraków 1899, na str. 115.

²⁾ Maciej Józef Brodowicz. Przegląd ogólny swojego zawodu lekarskiego i nauczycielskiego. Kraków 1871, na str. 26.

³⁾ Józef Bieliński. Wydział Lekarski Królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu (1817—1831). Poznań 1909, str. 122. Odbitka z „Nowin Lekarskich“, str. 105.

przed powstaniem listopadowym uczniem Uniwersytetu Warszawskiego, poznał metody opukiwania i osłuchiwania dopiero w kilka lat po opuszczeniu kraju, nie może być uważane za niezbity dowód niestosowania rzeczonych metod w Uniwersytecie Warszawskim, albowiem Szokalski zaciągnął się do szeregów powstańczych, nie ukończywszy tego Uniwersytetu: rozpoczął on zaledwie trzeci kurs medycyny, gdy wybuchło powstanie. Podobno pierwszym głównym propagatorem w Warszawie wspomnianych metod badania był Ferdynand Dworaczek,¹⁾ który osiadł w tym mieście po raz pierwszy, jako lekarz w r. 1831, pełniąc służbę lekarską w szpitalach wojskowych. Po powstaniu listopadowym opuścił kraj i udał się na dalsze studia do Getyngi, potem do Heidelberga, a wreszcie do Paryża. W r. 1835 powrócił do kraju, a w dwa lata później został naczelnym lekarzem Szpitala Ewangelickiego w Warszawie. Właśnie na tem stanowisku miał się on stać gorliwym krzewicielem wśród młodych lekarzy opukiwania i osłuchiwania.

Nie pozostał i Poznań w tyle poza Warszawą w stosowaniu fizykalnych metod badania. Do rozpowszechnienia w stolicy Wielkopolski tych metod przyczynił się głównie Karol Marcinkowski po powrocie z emigracji w r. 1835. Uczęszczając pilnie na wykłady kliniczne w szpitalach paryskich²⁾, miał tam możność poznania i ocenienia wartości opukiwania i osłuchiwania w rozpoznawaniu chorób. Przebywając za granicą napisał nawet rozprawę o auskultacji p. n. „De la valeur de differents signes fournis par l'auscultation pour le diagnostic des maladies“.³⁾ Rękopis tej rozprawy wioził z sobą

¹⁾ Józef Pawiński. Zarys historyczno-krytyczny postępu medycyny w zakresie terapii chorób serca i naczyń w ubiegłym XIX stuleciu i w początku obecnego. Archiwum historii i filozofii medycyny. 1925, t. II, str. 28.

²⁾ Ignacy Zielewicz. Żywot Karola Marcinkowskiego. Poznań 1891, na str. 133

³⁾ Ignacy Zielewicz. Nowe przyczynki do życiorysu doktora Karola Marcinkowskiego na źródłach archiwalnych osnute. Poznań 1908, na str. 100.

w r. 1834 z emigracji do kraju, jak świadczą o tem akta śledcze, odnoszące się do jego aresztowania w Berlinie, gdy był w drodze do Poznania. Co się stało z tym rękopisem, nie wiadomo. Zdaje się, że nie był nigdy wydrukowany.

Obok Marcinkowskiego okazywał żywe zainteresowanie się stosowaniem perkusji i auskultacji przyjaciel jego Teofil Matecki, który osiadł w Poznaniu w r. 1839. Postać to wybitna, a, niestety, w nowszych czasach niemal zupełnie zapomniana. Zaraz po wyjściu z druku książki Kremera napisał on obszernie o niej sprawozdanie, w którym z entuzjazmem odzywa się o auskultacji, pisząc: „jakim zatem uczuciem przejści jesteśmy dla Laënnec'a, który pierwszy systematycznie nauczył nas słuchem dochodzić i badać różnych stanów płuc, serca, zgłębia całej jamy piersiowej i brzusznej; jak mocno zawdzięczamy panom Bouillaud, Andral, Škodzie i wszystkim tym, którzy odrazu pojąwszy ważność nauki Laënnec'a, dalej ją kształcili; tak na podobną wdzięczność naszą zasługuje sobie i ziomek nasz Aleksander Kremer, czyniąc przystępną nam Polakom rzeczoną naukę w dzisiejszej jej doskonałości...”¹⁾ Dalej wyrażając żal, że jeszcze wielu lekarzy mało zwraca uwagi na perkusję, poddaje dokładnemu rozbiorowi dziełko Kremera. Podnosi wysoko jego zalety i chwali autora za wprowadzenie naogół trafnego mianownictwa polskiego. Nie ze wszystkimi jednak poglądami Kremera zgadza się, a nawet nie ze wszystkimi jego mianami, proponując np. nazywać stetoskop nie trąbką słuchową, jak to czyni Kremer, lecz słuchką, albo słychnikiem lub wreszcie słuchkiem.

Z tego krótkiego przeglądu początków stosowania auskultacji w Polsce wynika, że ta doniosła metoda badania chorych, rychło po swem odkryciu, zaczęła sobie torować drogę u nas, znajdując wśród wybitnych lekarzy naszych nie małą liczbę gorliwych zwolenników.

¹⁾ Tygodnik Literacki. Poznań, 1841. t. IV., Nr. 41, str. 339—343.

WITÓŁD ZIEMBICKI

BALTAZAR HACQUET

CZŁONEK FAKULTETU LEKARSKIEGO WE LWOWIE Z EPOKI JÓZE-
FIŃSKIEJ, KIM BYŁ I CO PISAŁ O NASZYM KRAJU,
A ZWŁASZCZA O JEGO ZDROJACH.*)

We wspomnieniu, poświęconem Edwardowi Sawickie-
mu¹⁾, poruszyłem w kilku słowach historję początków
Szpitala Powszechnego we Lwowie, a także pierwszego Fa-
kultetu Lekarskiego, utworzonego w naszym mieście wraz
z założeniem Uniwersytetu, t. zw. *Józefińskiego*. Zaznaczyłem,
że fakultet ten przetrwał wszystkiego cztery lata. W r. 1788
został on zniesiony, a raczej zredukowany do rozmiarów
szczętkowych, z pozostawieniem jedynie nauki historii natural-
nej specjalnej, chemji i botaniki, z zatrzymaniem prosektora,
jakoteż profesorów chirurgji i położnictwa.²⁾

Powód tego był dwojaki. Z jednej strony słaba frekwencja
uczniów, z drugiej fatalne stosunki wśród grona profesorskiego.
W krytycznym roku ukazała się w „*Staats - Anzeigen*“ (Schlö-
zera) korespondencja ze Lwowa, poświęcona opisowi Lwow-
skiej Akademji, a przedewszystkiem jej Wydziału Lekarskiego.
„Malowała ona stan rzeczy w najciemniejszych kolorach:

*) Rzeczą wygłoszoną na posiedzeniu Lwowskiego Tow. Lekarskiego
dnia 9. października 1925.

¹⁾ Ziembicki W. Z dziejów naszego szpitalnictwa. *Pols. Gaz. Lek.*
1925, N. 36/37.

²⁾ Finkel. Historia Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów 1894, str. 105.

uczniów bardzo mało, siedmiu na wszystkich latach, profesorowie nędzni, bez znaczenia w nauce, a w takich między sobą kłótniach pogrążeni, że zachodzi obawa bójki na posiedzeniach.“³⁾

Toteż dla tych nauk, które miały pozostać, postarano się obecnie o lepsze siły fachowe, a do nich należał przede wszystkim profesor „specjalnej historii naturalnej“, Baltazar Hacquet.

Charakterystykę tej osobistości podają za Finklem:⁴⁾

„Badacz i uczony większej miary, który w nauce zajął poczesne miejsce a do poznania kraju naszego, jego przyrody i osobliwości przyczynił się niepospolicie. Była to znowu jedna z tych ciekawych awanturniczych osobistości, których tyle wysłano do Galicji, aby okupić sobie spokój gdzieindziej. Urodzony w r. 1740 w Le Conquet w dolnej Bretanji, uczył się w Rennes i Pont à Mousson, gdzie ukończył filozofję z tytułem doktora; w Montpellier i w Paryżu uczęszczał na kursa lekarskie. Podpisywał się także później doktorem medycyny, ale wezwany do wylegitymowania się nie przedłożył dyplomu wskutek czego Konsess zakazał mu używać tego tytułu. Jakim sposobem z Francji dostał się do Austrii, dokładnie nie wiemy. Służył podobno jako lekarz wojskowy w armji austriackiej podczas siedmioletniej wojny i został w roku 1762 starszym chirurgiem i prosektorem szpitala wojskowego dla inwalidów w Pradze. Kilku pracami zwrócił na siebie uwagę van Swieten a, który wyrobił mu w r. 1773 katedrę anatomji, chirurgji i położnictwa w Liceum w Lublanie, skąd przeniesiony został do Lwowa w r. 1787 jako profesor specjalnej historii naturalnej dla medyków. Znamca wielu języków i wielu krajów miał Hacquet niezaspokojoną chęć i niewyczerpany zapał w nabywaniu nowych wiadomości. Naukowe badania rozpoczął w Pradze w najrozmaitszych działach naturalnej historii i me-

³⁾ Finkel: l. c., str. 106.

⁴⁾ Finkel: l. c., str. 106-110.

dycyny, prowadził je dalej w Krainie, gdzie pod wpływem sprzyjających okoliczności zajął się opisaniem gór alpejskich pod względem geologicznym i mineralogicznym i wydał w r. 1778, w czterech tomach dzieło p. t. „*Oryctographia Carniola*“, które zrobiło mu imię w świecie naukowym. Odkąd stanął na ziemi naszej zapoznał się zaraz z węgierską, polską i niemiecką literaturą Karpat i rozpoczął wycieczki w góry, chociaż sądził że «już minęły najlepsze dni jego i na objazd i poznanie tak wielkiego kraju jak Galicja nie stanie mu życia.» Postanowił jednak iść systematycznie, począwszy od południowego pasma t. zw. dackich i sarmackich Karpat tam, gdzie Fichtel skończył opis skamielin siedmiogrodzkich, bo to dzieło jedynie uważał Hacquet za naukowe, stojące na wysokości wymagań umiędzynarodowionych. Okoliczność, że właśnie odbywała się na południu wojna Rosji i Austrii przeciw Turcji, nie przeszkadzała zupełnie naszemu profesorowi, który przywykł zdawna do wojennej atmosfery i wśród niej, jakby w czasach pokoju, dał się na szczyty gór, zbierał kamienie, opisywał faunę i florę, notował spostrzeżenia swoje antropologiczne a nawet społecznej i politycznej natury.“

„W tych ostatnich okazuje się charakter Hacqueta jak w zwierciadle: niezadowolony z świata i ludzi, drażniony w swej ambicji wskutek zaprzeczenia mu tytułu doktorskiego przez ludzi niewartych należeć z nim do jednego fakultetu, przesiąkł nienawiścią, sądy jego stały się gryzące i bezwzględne; wśród wielu trafnych, podyktowanych uczuciem prawego werdyktu, inne niesprawiedliwe, nieraz oburzające. Zdaniem jego rząd w Galicji postępował sobie zupełnie fałszywie, wysyłając tutaj najgorszych urzędników, którzy uciskali ludność miasto ją.... germanizować. Nie tak czynili starzy Rzymianie. Zwoleńnik Rousseau'a wrogiem jest nie tyle narodu co szlachty; za to przyjacielem wielkiej Katarzyny. Lwów i Uniwersytet opisuje w najczarniejszych kolorach. Profesorowie Medycznego

Fakultetu nic nie zrobili, nawet nie ułożyli lekarskiej topografii miasta. Wyższy zakład naukowy jest, zdaniem H a c q u e t a, zupełnie w tym kraju niepotrzebny, a nawet szkodliwy, bo mieszkańcy Galicji nauki nie pragną; a kto się chce uczyć ucieka do Polski....“

W tem miejscu czyni F i n k e l bardzo niepoehlebną, ale na uzasadnionem podejrzeniu opartą, uwagę o H a c q u e c i e. W jednej ze swych prac opisuje mianowicie H a c q u e t Uniwersytet Lwowski.⁵⁾ Ton, styl, zarzuty, — wszystko przemawia za tem, że także owa wspomniana wyżej korespondencja w S c h l ö z e r a „*Staats-Anzeigen*“, będąca paszkwilem na Lwowski Fakultet, wyszła z pod pióra H a c q u e t a.

„Wybaczymy mu wszakże — pisze dalej F i n k e l, — to powierzchowne, nie sięgające do głębi patrzenie na świat, ten brak oka filozoficznego, naiwne nieraz a innym razem złośliwe uwagi «polityka», to zrzęczenie starego kawalera, dotkniętego do żywego przez kolegów, bo na innem polu ma wielkie istotnie zasługi. On pierwszy opisał umiejętnie, wedle ówczesnych wymagań nauki, sporą połąć naszego kraju pod względem fizycznej jego natury, w czerotomowym dziele p. t. „*Hacquets Neueste physikalisch-politische Reisen*“, a stoi pod tym względem na wysokości S t a s z i c a, z którym ma wiele także w charakterze podobieństwa. Pracuje zaś z wytężeniem, godnem podziwu i naśladowania, podczas roku szkolnego w gabinecie, dokąd na prośbę jego a z polecenia gubernjum nadsyłają mu starostowie próbki ziemi, minerały, skaliny i t. p. z całego kraju. On je porządkuje, «wedle zasad chemicznych» rozbiera i oznacza, słowem, tworzy zbiór mineralogiczny, który w krótkim czasie nie może pomieścić się w kilku szafach gabinetu historii naturalnej, na ten cel przeznaczonych. O każdą zaś pake, o każdy kąt, o służbę, o najdrobniejsze kwoty stacza prawdziwe walki naprzód z inspektorem

⁵⁾ *Neueste physikalisch politische Reisen* i t. d., t. III., str. 199.

domu Brugnakiem, potem z Consistorium, wreszcie z rządem; zniecierpliwiony zarządza niejedno na własną rękę, przekracza często dotację, za co dostaje naganę, nie zniechęcony tem domaga się zasiłków na podróż, sprawienie szaf, książek potrzebnych i — wreszcie wywalcza sobie prawda drobne, ale częste kwoty w gubernjum, które zakazuje mu tylko robić w podaniach „anzügliche Anmerkungen.“ Hacquet pisze je zaś wszędzie: na książkach bibliotecznych (za co także dostał napomnienie), w skargach na kolegów, w których nie umie utrzymać na wodzy pióra swojego.“

Zaraz w r. 1788 dostał „Verweis“ za „unrichtige Angaben“, ale był niepoprawny, tak, że inny członek Fakultetu, prof. Sedey, skarży się pisemnie, iż Hacquet podaje na kolegów kłamliwe doniesienia („offenbare Lügen und Verleumdungen“).

„Wielką ulgę sprawia mu wprawdzie tytuł c. k. radcy górniczego (*K. k. Rath in Münz- und Bergwesen*“), który otrzymał w r. 1794, ale mimoto stara się dalej o uznanie doktoratu, a sprawa ta nie daje mu spokoju. Dyplom doktorski uzyskał jednakże dopiero w r. 1807 od Uniwersytetu Jagiellońskiego, dokąd w r. 1805 został przeniesiony. Wtedy to wywózł ze Lwowa wiele książek, których nie zwrócił.“

W r. 1810 złożył urząd profesorski i udał się do Wiednia, gdzie w r. 1815 zakończył życie. (Kośmiński w „Słowniku lekarzów polskich“ podaje, że umarł we Lwowie.)

„Sprowadzenie Hacqueta przez gubernatora Brigidę do Galicji przyczyniło się więc niemało w przyszłości do poznania kraju, ale Wydziałowi Medycznemu, jego upadkowi, jego kłótniom gorszącym nie zaradziło bynajmniej.“

Interesujące dla nas są dalsze losy zbiorów przyrodniczych Hacqueta.



Gąsiorowski⁶⁾ podaje, powołując się na Estreichera,⁷⁾ że, kiedy Fryderyk August, król Saski, a Książę Warszawski, przybył w r. 1810 do Krakowa, polecił zakupić od Hacqueta zbiór mineralogiczny i zoologiczny za 2500 dukatów, przyczyniając się tym sposobem do wskrzeszenia mineralogicznego, a założenia zoologicznego gabinetu przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

Hacquet był bardzo pracowitym i napisał mnóstwo dziełek i rozpraw. Dla nas z prac tych jedna przedewszystkiem jest interesująca, wymieniona wyżej i pochlebnie oceniona przez Finkla, a nosząca tytuł in extenso następujący: „*Hacquets Neueste physikalisch-politische Reisen in den Jahren 1788–1795 durch die Dacischen u. Sarmatischen oder Nördlichen Karpathen*“, Nürnberg, Verlag d. Raspischen Buchhandlung 1790–1796. IV Theile.⁸⁾

Z tych zaś czterech części najciekawszą jest dla nas lekarzy część czwarta.⁹⁾ Tu bowiem znachodzimy dużo interesujących uwag i spostrzeżeń o naszych zdrojach.

I tak nasamprzód i wcale obszernie opisuje autor zdrojowisko Szkoło, (str. 5–18), a więc okolicę, staw tamtejszy, jego lesiste otoczenie, woń, dającą się już zdaleka odczuć, mianowicie woń siarki (*der üble Schwefellebegeruch*). Na południe od stawu leżała wieś, opodal istniała fabryka papieru, należąca do jednego z księgarzy lwowskich. Wiemy skądinąd, że piarnia ta należała do Pillera. Mianowicie Bredetzky, zasłużony superintendent i kapelan ewangelicki ze Lwowa,

⁶⁾ Gąsiorowski. Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce, t. III., str. 41–42

⁷⁾ Rzecz krótka o gabinecie mineralogicznym Uniw. Jagiellońskiego. (*Rocznik Wydziału Lek. w Uniw. Jag.* t. V., str. 42–77.)

⁸⁾ Ossolineum sygn. 45,748.

⁹⁾ Pochodząca z r. 1794 i 1795, a drukowana w r. 1796.

w opisie podróży p. t.: „*Reisebemerkungen über Ungarn und Galizien*“, wydanym we Wiedniu, r. 1809., pisze m. i.:

„Ohnweit des Skloer Bades ist eine schöne Papiermühle, nach welcher die Badegäste gewöhnlich spazieren gehen, und die dem Hrn. Buchdrucker Piller gehört. Das dürfte in dieser Gegend die schönste Partie sein.“¹⁰⁾

Nazwę „Skło“ wywodzi Hacquet od przypuszczalnej hutby szklanej, która tu jego zdaniem musiała istnieć niegdyś, („*als noch Waldung genug vorhanden war*“). Ale stwierdza, że nikt sobie tego nie przypomina.

Jako pierwszego autora, który podał pisemną wiadomość o Szkle, wymienia Hacquet Syxta: „Der pohlische Arzt Sixtus Leonus zu Anfang XVII“.

Hacquet nie zna jednak znakomitego dzieła Syxta: „*O cieplicach we Skle*“¹¹⁾, z którym zapoznałem w swoim czasie Kolegów w odczycie o Szkle i o Syxie, sądzi bowiem, jak pisze, że oryginał zaginął, jakkolwiek drugie wydanie pojawiło się we Lwowie w r. 1780, a więc wszystkiego 7 lat przed przybyciem Hacqueta do Lwowa. Cytuje więc tylko lakoniczny wyciąg z dzieła angielskiego lekarza, Connora, p. t.: „*The history of Poland*“¹²⁾, czyniąc przytem następującą uwagę: „Dieser Connor war, solange er sich in Pohlen aufhielt, der erste Arzt bey dem Könige Johann den dritten oder bey dem braven Sobieski, der Wien rettete“.

Wnosi też autor, widocznie tylko na podstawie tego źródła, że Syxta zajmowały jedynie lecznicze własności wód szkielskich, gdy o składzie tych wód nikt wtedy jeszcze nie myślał. Że zaś Hacquet opiera się nie na własnych bada-

¹⁰⁾ Bredetzky, j. w., t. II. str. 218.

¹¹⁾ Syxt Erazm: *O cieplicach we Skle*. Zamość 1617. Wydanie drugie: Warszawa i Lwów. 1780.

¹²⁾ Londyn 1698. Tłum. niemieckie p. t. „*Beschreibung d. Königreichs Pohlen*.“ Lipsk 1700.

niach piśmiennictwa polskiego, ale cytuje niewolniczo Connora, dowodzi także nazwa, użyta o Syxie pierwotnie przez Connora, a powtórzona przez Hacqueta, mianowicie „Leonus“, co jest tłumaczeniem przydomka „Lwowczyk“, używanego w swoim czasie przez takich rodowitych Lwowian, jak Syxt. (Zob. Łoziński: *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.* Lwów 1892, str. 19).

Gdyby Hacquet był sobie zadał trudu samodzielnego zbadania źródeł piśmienniczych, byłby się nadto dowiedział, że nie Syxt, ale jeszcze Occko był pierwszym autorem, który pozostawił pisemne wzmianki o Szkle, w dziele p. t.: „*Cieplice*“, wydanem w Krakowie w r. 1578. Już bowiem w połowie XVI wieku, za panowania Zygmunta Augusta, wody tamtejsze znane były pod nazwą „*Jaworowskich*“, a za czasów Stefana Batorego, mianowicie w r. 1576., książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, zwany „*Sierotką*“ (ten sam, który wslawił się swą podróżą palestyńską), wód tych używał¹³⁾. Wskutek też zlecenia Stefana Batorego zwiedza Szkło Wojciech Occko, zasłużony domu Jagiełłów lekarz i Batorego przyboczny. On też już dowiódł był w wodach szkiełskich obecności siarki. Być może, że Hacquet naprawdę nie znał dzieł Occki i Syxta, wielkich naszych lekarzy XVI i XVII stulecia, trudno bowiem przypuścić, ażeby uprzedzenie jego do nas posunęło go aż do umyślnego przemilczenia ich, przez co naraziłby się samowolnie na zarzut ignorancji, którego mu i tak nie można oszczędzić. Ale gdyby się był z nimi zapoznał, byłby się zdumiał wysokim ich poziomem, odpowiadającym stanowi kultury naszej ówczesnej i byłby może później o niejednym przedmiocie, nas dotyczącym, ostrożniej się wyrażał.

¹³⁾ Zob. tegoż: *Podróż Jerozolimską*, przekład łaciński Tretera, p. t. „*Hierosolymitana peregrinatio*“. Wydania z r. 1601, 1614, 1753 (Korbut. Literat. polska 1917). Oryginał polski nigdy nie był drukowany.

Przytaczając dalszych autorów, zajmujących się z naszymi zdrojowiskami w ogólności, a Szklą w szczególności, wymienienia H a c q u e t oczywiście tak powszechnie wtedy znanego R z ą c z y ń s k i e g o. Nie wyraża się o nim pochlebnie, — przeciwnie ostro go krytykuje.

Kim był R z ą c z y ń s k i? Gabrjel R z ą c z y ń s k i, Jezuita, napisał jak wiadomo znane dzieło p. t.: „Historia naturalis curiosa Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae“ (Sandomierz 1721), po śmierci zaś jego wydano uzupełnienie p. t.: „Auctuarium historiae naturalis curiosae Regni Poloniae i t. d.“ Była to wprawdzie praca kompilacyjna, ma jednak tę wartość, i to jest zasługą R z ą c z y ń s k i e g o, że zebrał on nadzwyczaj skrupulatnie i pracowicie wszystko mniej więcej, co się w owych czasach zebrać dało, a do historii naturalnej kraju rodzinnego odnosiło. Wiele też nazw, użytych w zakresie historii naturalnej przez R z ą c z y ń s k i e g o po raz pierwszy w języku polskim (obok tekstu łacińskiego), pozostało na zawsze w naszym piśmiennictwie, a późniejsi autorowie cytują je z dopiskiem skróconego nazwiska: „R z ą c z“.

H a c q u e t, niezadowolony z tego co znalazł o Szkle zarówno w R z ą c z y ń s k i m, jak w publikacjach dwóch swoich przyjaciół: nazwiskiem G u é t t a r d i d u F a y, zabrał się sam do bliższego zbadania wód szkielskich.

Największe źródło było wówczas ujęte i przykryte daszkiem. Leżało ono wyżej od stawu, w oddaleniu paruset kroków, tak, iż mieszanie się wód uważał H a c q u e t za wykluczone. Woda wybuchała silnie, zrazu zmieszana z piaskiem, odpływała jednak zupełnie czysta. Przedmioty, wrzucone do źródła, pisze on, pokrywają się szarawym osadem (*Schwefelleber*). Woda prowadzona była ze źródła do kotłów, znajdujących się w przytykającym budynku i tu poddawana była ogrzewaniu. Szczegół ten podnoszę jako jedną więcej

potwierdzenie, że źródła szkielskie, jakkolwiek za dawnych polskich czasów zwano je „cieplicami“, były de facto zawsze zimne. Temperatura ich według Hacqueta była o 9–10° R. niższą od ciepłoty otaczającej atmosfery. Dlatego zastanawiającą jest wiadomość, podana przez wychodzące we Lwowie przed wojną czasopismo „*Nasze Zdroje*“, w notatce kronikarskiej nr 23, r. 1911 (str. 299), p. t.: „Zbiorowa ekspertyza zdrojowiska Szkło“. „Z uwagi — czytamy tam — na dawne zapiski w aktach korpusnej komendy w Przemyślu (jako właścicielki źródła przy sanatorium wojskowym), wykazujące, że pierwotnie t. j. przed 70–80 laty były to źródła ciepłe, o temperaturze około 20° C., a dopiero następnie w szeregu lat przy zaniedbaniu swem, z wolna spadały wskutek dopływów wody zimnej, aż doszły do dzisiejszej swej temperatury 12 C.° (nawet w zimie), dalej z uwagi na tradycję miejscowego ludu, potwierdzającą dawniejszą ciepłotę tych źródeł, zalecił dr. B a n d r o w s k i przedewszystkiem podjęcie próbnych wierceń, celem dotarcia wprost do właściwych źródeł siarczanych w przyrodzonym ich stanie i najprawdopodobniejszym charakterze cieplic rodzimych.“ Pisząc te słowa, zasłużony redaktor „*Naszych Zdrojów*“, ś. p. B a n d r o w s k i, niewątpliwie nie znał dawnego, do Szkła odnoszącego się piśmiennictwa. Jak widzimy bowiem: nie 70–80 lat wstecz t. j. około r. 1830–1840, ale jeszcze prawie o 50 lat dawniej, bo w r. 1795 pisze H a c q u e t o zimnej przyrodzie źródeł szkielskich w sposób nie pozostawiający wątpliwości i nic mu nie wiadomo o odmiennej tradycji wśród ludu. Co więcej jednak: ani O c z k o, ani S y x t, a więc jeszcze całe wieki przed H a c q u e t e m, nic nie wiedzą o takiej tradycji, a S y x t, w drugiej księdze swego dzieła, tłumacząc nazwę cieplic, czyli term, uważa za nie tylko źródła gorące, „w których kury oparzają“ i z których „bydlę wpuszczone tam, za krótki czas kość samą bez mięsa wywlecze“,

ale i z i m n e źródła, dlatego, że działają one skutecznie dopiero wówczas, kiedy się zimną, z nich pochodzącą wodę zagrzeje. I mówi najwyraźniej: „A chociaż y zimnych wód bardzo wiele jest na świecie, iako y te nasze we Skle, które z przyrodzenia swego mają iakieś przymieszanie, iedno iż ich używanie nie może bydź skuteczne, ażby były od ciepła zagrzane, przeto y takowe cieplicami nazywaią się“.

Pozostawałoby chyba przypuszczenie, że to źródło, które było pod zarządem wojskowym austriackim, a dziś jest pod zarządem również wojskowym, polskim, gdzieś w połowie XIX. w., przy odpowiednim pogłębieniu okazało się nagle ciepłem, a potem znowu wystygło. Jest to jednak nieprawdopodobne, tem więcej, że żaden z autorów XIX w., o niczem podobnem nie wspomina. Notatka więc „*Naszych Zdrojów*“ wygląda na jakieś nieporozumienie, a wspomniana tradycja chyba raczej odnosi się do historycznej nazwy „cieplic“, co łatwo powodować mogło mylne wyobrażenie o właściwej ciepłocie źródeł. W każdym razie wartoby dotrzeć do owych zapisków austriackiej Komendy Korpusnej w Przemyślu, o ile się po przewrocie dochowały.

Kilkaset kroków od głównego źródła — mówi dalej H a c q u e t — istniało wśród łąki drugie źródło, o tych samych własnościach, a używane do picia. W lesie były dalsze źródła, raczej „silniejsze, jak słabsze“.

H a c q u e t przedsięwziął dokładne chemiczne zbadanie tych źródeł. Jakkolwiek już O c z k o, jak wspomniałem, odkrył w nich siarkę, a S y x t o wiele dokładniej i obszerniej zajmuje się składem chemicznym wód szkielskich, to jednak były to oczywiście badania jeszcze bardzo prymitywne, H a c q u e t o w i zaś, jak wiemy, nieznane. Dlatego też przeświadczenie H a c q u e t a, że jest on pierwszym, który się tem w myśl zasad nowoczesnej nauki chemji zajął, możemy, i to z uznaniem dla niego, przyjąć do wiadomości.

Przez dwieście lat przed nim i jeszcze 50 lat po nim nikt inny się tą sprawą bliżej nie zainteresował. To też, jak słusznie pisze nasz mało znany, znakomity a przedwcześnie zmarły autor balneolog, Marjan Ogończyk *Zakrzewski*, rozbiór *Hacqueta* był przez wiele lat miarodajnym, gdyż innego nie posiadaliśmy¹⁴⁾.

Dopiero w r. 1834 c. k. nadworna Rada Wojenna wyraziła życzenie, aby wodę, przeznaczoną do użytku kąpielowego dla wojskowych, ponownie poddać badaniu, a to z uwagi na postępy, jakie poczyniła chemja od czasów *Hacqueta*. Do tego ponownego badania c. k. lekarska dyrekcja sztabowa wezwała Teodora *Torosiewicza*, aptekarza ze Lwowa¹⁵⁾.

Szczegółowych liczb z rozbioru *Hacqueta* nie będę tu przytaczał, odsyłając interesujących się tem bliżej, do oryginału.

Opuściwszy Szkło, zajmuje się *Hacquet* kompleksem stawów, od Gródeckiego do Janowskiego. Tu nie mogę pominąć bardzo ciekawego szczegółu, odnoszącego się do naszej ówczesnej fauny krajowej. Oto w okolicy stawu Gródeckiego spotkał *Hacquet* bobry, i to w stałych osadach, czyli t. zw. żeremjach. Jest to ważny i jedyny w swoim rodzaju dokument, ustalający na owe czasy zachodnią granicę zasięgu tego niemal doszczętnie dziś na obszarze państwa naszego wytępnionego, a ciekawego zwierzęcia, obchodzącego i nas, lekarzy, o tyle, że nam przypomina ożywiony handel, prowadzony w swoim czasie w Polsce i z Polski, artykułem, zwanym *Castoreum*, czyli *strój bobrowy*, nie mówiąc już o drogich futrach, jako też wykwintnej potrawie, sporządza-

¹⁴⁾ *Zakrzewski*. O wodach kruszcowych w Galicji. Czasopism naukowy księgozbioru publ. im. Ossolińskich. Lwów 1828 i 1829.

¹⁵⁾ Zob.: *Torosiewicz*. Źródła mineralne w Królestwie Galicji i Bukowinie. Lwów 1849.

nej z bobrowego ogona, czyli t. zw. „*pluszczu*“. a dozwolonej w dni postne, z uwagi, że ogon ten był pokryty rodzajem łuski. H a c q u e t umieszcza dla objaśnienia i to jako *curiosum* na czele tomu, rycinę, przedstawiającą budowę bobrowe na strumieniu w Rodatyczach, pod Gródkiem. Głęboki potok przerzynał tutaj dolinę, lasami otoczoną, i wpadał do stawu. Dowiadujemy się, że dzięki interwencji H a c q u e t a, pragnącego zabezpieczyć te zwierzęta przed rabunkową gospodarką, namiestnictwo galicyjskie wydało zakaz polowania na nie. Temu to należy też zawdzięczać, że bobry w tej okolicy utrzymały się, jak stwierdzają inni przyrodnicy, aż do roku 1853 ¹⁶⁾. Wytępił je dopiero miejscowy leśniczy. Oto drobny szczegół, dowodzący, że tendencja do ostrej krytyki naszego kraju, jaka się przy każdej sposobności objawia u H a c q u e t a, miała może część uzasadnienia w spostrzeżeniu, przez tego cudzoziemca uczynionem, a dla niego niezrozumiałem, dlaczego my sami albo nie znaliśmy, albo nie szanowaliśmy niejednego z tych dóbr, jakimi nas przyroda w tym kraju obdarzyła.

W okolicach wspomnianych stawów znajduje H a c q u e t u i ówdzie dalsze źródła siarczane, dochodząc w ten sposób do L u b i e n i a (który nazywa się u niego Lubin), odznaczającego się jeszcze większą ilością źródeł, aniżeli Szkło.

W Lubieniu znachodzi on lepsze łazienki i większy komfort mieszkaniowy, aniżeli w Szkle, okoliczność, którą przypisuje staraniom właściciela. Mimo tego stan zdrojowiska był bardzo mizerny, co powoduje następującą uwagę: „Da diese Quellen nur drey Meilen von der Hauptstadt entlegen sind, so wäre zu wünschen, dass bessere Unterstützung getroffen würde, aber in diesem k o n f u s e n L a n d e ist leider so was nicht zu hoffen“.

W Lubieniu znalazł autor źródła nieprzykryte, w terenie bagnistym; woda z nich była do łazienek pompowana. Che-

¹⁶⁾ J a n o t a, Monografia o bobrze. Kraków 1876 (str. 21. i 27).

miczny skład wody, zbadany przez niego, odpowiadał mniej więcej własnościom wody szkielskiej, główne źródło lubieńskie zawierało jednak więcej siarki i soli (*Neutralsalz*). Szczegółowi temu nie przypisuje on jednakże większego znaczenia pod względem leczniczym, za najważniejszy w tym względzie czynnik uważając „*Schwefelleberluft*“, najobficiej reprezentowany w Szkle.

Następuje wzmianka o Pustomytach, których źródło uważa za jedno z najlepszych po Lubieniu, wspomina też o Chocimirzu pod Stanisławowem. Nie wątpi, że wszystko to dowodzi istnienia bogatych pokładów siarki na Podkarpaciu, od wschodu na zachód się ciągnących.

Omawia wreszcie własności lecznicze Szklä i Lubienia, co się da streścić jak następuje:

1. Źródła te są zimne, zawierają więc dzięki temu więcej gazu („*Schwefelleberluft*“) aniżeli ciepłe.

2. Przez ogrzewanie można dowolnie zmieniać zawartość tego gazu bez dodawania wody zwyczajnej. Tej zalety nie mają źródła, z natury gorące. Nie znaczy to, żeby zimne miały wyższość leczniczą, — przeciwnie, trzeba je grzać, bo inaczej działanie ich na ustrój byłoby minimalne.

Używanie kąpiei siarczanych w Polsce należy, jak sądzi, zawdzięczać jedynie empirji prostego ludu, a nie lekarzom, o których można rzec, że raczej przeszkadzają w tym względzie, — „so wie es auch in vielen andern Ländern geschieht“, albowiem:

1) ignorancja lekarzy, zalecających używanie wód siarczanych bez znajomości wskazań, dyskredytuje źródła, powodując niejednokrotnie skutki niezamierzone;

2) niepomyślne wyniki leczenia zdrojowego w wypadku niezasiągnięcia poprzednio porady lekarskiej, lekarz najchętniej przypisuje zdrojom, zastosowanym bez jego aprobaty;

3) lekarze dla pozbycia się chorych nieuleczalnych, lub uciążliwych, wysyłają ich do wód, aby tylko jak najdalej od siebie.

Hacquet zauważa, że doświadczeni lekarze zdrojowi, gdyby tacy byli, mogliby skutecznie przeciwdziałać błędnej opinii, szerzonej o naszych zdrojach, ale dodaje zaraz: „w tym kraju tego się nie spodziewajmy“.

Ze wskazań wymienia niektóre choroby skórne, niektóre objawy kiłowe, owrzodzenia kończyn, dnę, długotrwałe schorzenia stawów i t. p. Doradza bardzo użycie błota w większym zakresie, a to „w stwardnieniach i zgrubieniach kości“.

Interesująca jest wzmianka o Niemirowie, dlatego, że o przyrodzie zdrojowej tej miejscowości nic jeszcze Hacquet nie wspomina. Zgadza się to z naszymi wiadomościami o historii Niemirowa, jako źródła, o którym pierwsza notatka piśmiennicza pod tytułem: „Opisanie mineralnych wód w Niemirowie, obwodzie żółkiewskim, o d lat kilku odkrytych“ — podana przez obwodowego aptekarza Stellera, pojawiła się w r. 1825 w „Rozmaitościach“ (nr. 23). Miejscowość ta była wtedy własnością hr. Mosszyńskiego.

W Niemirowie znalazł Hacquet hutę szklaną, wyrabiającą zły towar, gdyż właścicielem jej był, jak pisze, dawny urzędnik kameralny, — „der von dem Ganzen nicht viel versteht“. W okolicach Niemirowa zwróciła szczególniejszą uwagę Hacqueta obficie tam rozpowszechniona roślina *Sclerantus perennis* L., na której kłęczach żyje słynny *Coccus polonicus* L. „das pohlische Scharlachinsekt“. Wprawdzie w owych czasach owad ten nie przynosił już większych korzyści, gdyż został w handlu wyrugowany przez inny gatunek, mianowicie amerykański, ale niektórzy wieśniacy zajmowali się jeszcze jego mozolnem zbieraniem dla zdobycia tradycyjnej farby do barwienia grubego sukna, wełnianych pończoch i t. p.

Coccus polonicus, czerwiec polski, jest to owad, należący do pluskwiaków; zawiera on w sobie przepyszny szkarłatny barwik a żyje głównie na ziemiach, składających całą dawniejszą Polskę. Stąd też Lineusz nazwał go „*polonicus*“, co jak dowcipnie zauważa jeden z autorów¹⁷⁾, Niemcy tłumaczą: „*Coccus polonicus*, oder die deutsche Cochenille“. Niegdyś był on jedynym owadem, używanym w Europie do wytwarzania barwika szkarłatnego i stanowił przedmiot zyskownego handlu dla Polski. Wykazuje to n. p. Marcin z Urzędowa, lekarz nadworny hetmana Jana Tarnowskiego, w dziele p. t.: „Herbarz to jest o przyrodzeniu ziół i drzew“ (Kraków 1564). Jak zaś ważną była ta gałąź handlu, wnosić możemy ze słów Heneliusza, który w dziele p. t. „*Silesiographia renovata*“ (Wrocław 1704), powiada, że za jego czasów t. j. XVII w., cło od czerwca polskiego, za granicę Polski wyprowadzanego, wносиło rocznie do skarbu królestwa 6000 dukatów węgierskich. Przypuściwszy, że cło to pobierano w stosunku 5%, to istotny wpływ ze sprzedaży czerwca wynosiłby 120.000 dukatów węgierskich rocznie. Suma zaiste przy uwzględnieniu ówczesnej wartości tej waluty olbrzymia.

Przedmiotem zbioru jest niedojrzała postać owadu, a więc czerw. Od niego to miesiąc czerwiec (zwany też dawniej „czerwieniem“), nosi swą nazwę — w tym miesiącu bowiem okazy osiągają właściwą wielkość. Tego samego pochodzenia jest nazwa barwy czerwonej, czyli czerwieni. Nawiasowo wspomnę, że barwa czerwca w stanie świeżym odpowiada dokładnie polskiej czerwonej barwie państwowej, owad zaś przerobiony dawał natomiast barwę o odcieniu karmazynowym, tę, której używali w Polsce dostojnicy, magnaci — zwani stąd karmazynami. Nazwa ta pochodzi niewątpliwie z arabskiego, kolor szkarłatny bowiem, wyrabiany

¹⁷⁾ Gawarecki. Pielęgnowanie czerwca polskiego. Lwów 1893.

w starożytności z pokrewnego gatunku owadu, nazywali Arabowie „*kermesi*”¹⁸⁾. Żydzi nazywali go „szani”, od hebrajskiego „*szanah*”, lśnić, błyszczeć. I oto prawdopodobieństwo pochodzenia wyrazu „schön” i żydowskiego „szajn”. A gdy jeszcze uwzględnimy, że owad, który służył do farbowania na czerwono nazywał się po hebrajsku „*tholaath*”, tak samo zaś także w skróceniu materia nim barwiona, to nasuwa się pytanie, czy nie tu należy szukać etymologii wyrazu francuskiego „toile” i toalety. Istnieje podejrzenie, że Fenicjanie swój słynny barwik czerwony wytwarzali nie z jakiejś legendarnej muszli, ale z naszego czerwca, mieli bowiem stosunki z temi krajami, a znani byli z ukrywania i maskowania źródeł swego handlu. Jak dalece czerwec był rozpowszechniony, dowodzi hipoteza księcia Jabłonowskiego, utrzymująca, że nazwa Rusi Czerwonej pochodzi od tego owadu, lub od wymienionej rośliny *Sclerantus perennis*, zwanej również czerwcem. Hacquet zna to przypuszczenie, ale uważa je za nieuzasadnione.

Nas lekarzy interesuje czerwień, z owadu tego i jemu pokrewnych pochodząca, o tyle, że służyła ona i jeszcze częściowo służy, do barwienia niektórych środków kosmetycznych, proszków na zęby i t. p., a wchodzi w skład t. zw. nalewki koszenilowej (*Tinctura coccionellae*), pochodzenia dziś, jak powiedziałem, prawie wyłącznie amerykańskiego.

Dalsze uwagi poświęca Hacquet Krzeszowicom.

Źródeł nie badał, ale wydaje mu się, że są analogiczne do szkielskich i lubieńskich. Okoliczność, że kąpiele krzeszowickie cieszą się popularnością i ściągają licznych kuracjuszków, przypisuje właścicielce, którą była wówczas księżna Lubomirska. (Dla bliższej informacji dodam, że była to Izabela z ks. Czartoryskich, ks. Lubomirska, Marszałkowa W. Ko-

¹⁸⁾ Brandt i Ratzeburg. Medizinische Zoologie. Berlin. 1829 do 1833.

ronna, właścicielka hrabstwa Tęczyńskiego, do którego Krzeszowice należały). Ciekawe i zabawne są zapatrywania Hacqueta, wyrażone w tym miejscu: „Kobieta ta w czasie swych podróży po obcych krajach — pisze Hacquet — więcej się nauczyła, niż byliby się nauczyło dziesięciu mężczyzn na jej miejscu, jakkolwiek mieliby oni o wiele więcej sposobności do poczynienia spostrzeżeń. U szlachty lechickiej jest mianowicie powszechnym ten rys charakterystyczny, że kobiety pod względem pamięci, dowcipu, a także rozsądku, przewyższają mężczyzn. Stąd też są ci ostatni przez swe panie traktowani w sposób pogardliwy, nakształt niewolników. Niema wprawdzie reguły bez wyjątku, jednakże powyższa obserwacja wskazuje, iż w tym stanie rzeczy u steru powinny się znajdować kobiety, a nie mężczyźni, przynajmniej co się tyczy Słowian północnych.“

Krzeszowice podobają się autorowi, przedewszystkiem uderza go w nich czystość. Jako praktyczny szczegół podnosi możliwość znalezienia na miejscu wielu mieszkań z kuchniami, przeznaczonych dla rodzin, któreby chciały prowadzić osobne gospodarstwo. Podoba się autorowi także piękny park zakładowy. Zauważa on, że minimalne opłaty zdrojowe nie mogą właścicielce, dbającej o rozwój zdrojowiska, przynosić dochodu, i sądzi, że dokłada ona świadomie. Dzieło koronuje okoliczność, że 30 ubogich otrzymuje bezpłatnie całe utrzymanie i opiekę lekarską.

Szczegół ten znajdujemy już u Lafontaine'a,¹⁹⁾ który w swej monografii Krzeszowic z r. 1789., t. j. 7 lat przed Hacquetem, pisze:

„Ostatni jeden dom przeznaczyła J. O. Xiężna Jmć Lubomirska na Szpital dla ubogiej cierpiącej ludzkości i opatrzyła ten dom funduszem, że każdy Pacjent nie tylko że darmo

¹⁹⁾ Lafontaine. Opisanie skutków y używania ciepłych siarczystych y zimnych żelaznych kąpieli w Krzeszowicach. Kraków 1789.

mieszka i kompie się, ale jeszcze i pieniędzy na potrzeby dostaje. Utrzymaie ta Pani Cyrulika który Pacjentów darmo opatruie i wszystkie lekarstwa na Regestr Xiężny im dodaie, zaczym co Rok wielka liczba nędznych chorych tu się przyimuie.“

Ostatnią miejscowością zdrojową, opisaną przez H a c q u e t a, jest K r y n i c a. „Po 5 milach drogi z Sącza — pisze autor — zaczyna się spotykać źródła kwaśne, z których najsilniejsze znajduje się opodal ruskiej wsi, zwanej Krynica“ (u Hacqueta „K r z y n i c a“).

Źródło o powierzchni sążnia kwadratowego, ujęte w ramę drewnianą, znajdowało się u samego podnóża góry od wschodu. Dokoła ani domu, ani wogóle żadnego schronienia nie było. Pierwszą więc czynnością H a c q u e t a było skłecenie sąłaszu z krzewów i gałęzi, badanie bowiem wody, konieczne na miejscu, musiało zająć dwa dni.

Wiadomość o braku jakiegokolwiek schronienia jest dla nas dlatego ważną, bo wskazuje, że o właściwym zakładzie zdrojowo-kąpielowym w czasie tym jeszcze nie było mowy, jakkolwiek jako data powstania tego Zakładu wymieniany i przyjęty jest rok 1793 (a więc 3 lata przed ogłoszeniem pracy H a c q u e t a). Pochodzi to stąd, że w tym roku (1793) niejaki Franciszek Styx S a u b e r g e n, komisarz cyrkularny z N. Sącza, jak to wiemy z historii Krynicy, zakupił był główne źródło krynickie, wraz z okalającym je gruntem, od 14-tu włościan za cenę 204 złp., czyli 51 złr. Nabyte źródło przedewszystkiem ocembrował, a później wystawił drewniany domek, z 3 pokoiów złożony, jako pierwsze pomieszczenie dla gości kąpielowych. W r. 1800 odsprzedał całość, wraz z podwalinami na drugi domek, c. k. Zarządowi Dóbr Skarbowych Muszyny za 150 złr. Jak pisze w swej monografii Krynicy Dietl,²⁰⁾

²⁰⁾ Dietl. Krynica. Tłum. z autografu niemieckiego Zieleniewski. Kraków 1857.

cena ta wydawała się ówczesnej władzy skarbowej tak wysoką, że zarządca skarbowy niejaki *Lu l l a*, który zawierał kontrakt, musiał się przed swą władzą w obszernym sprawozdaniu usprawiedliwiać.

Otóż w chwili, kiedy *H a c q u e t* zjawia się w Krynicy, t. j. w latach 1794/5, źródło należało już wprowadzić do owego *S t y x a*, ale domku historycznego tam jeszcze nie było. Jak wynika z uwagi, uczynionej przez *H a c q u e t a* na innym miejscu, powstał on dopiero po pierwszej bytności autora w Krynicy, a przed ukończeniem manuskryptu, zapewne więc w roku 1795, tak, że ten rok a nie 1793 byłby datą powstania pierwszego budynku zakładowego w Krynicy.²¹⁾

Badanie wody krynickiej przez *H a c q u e t a* nie obyło się bez pewnego komicznego epizodu. Oto w czasie przeprowadzania odczynów chemicznych przez naszego autora, zjawiono się nad źródłem paru chłopów miejscowych, którzy przyszli po wodę. *H a c q u e t* zaprawiał właśnie wodę źródlaną siarkowodorem, wskutek czego momentalnie zmieniła ona barwę i zmętniała. Zdziwienie wieśniaków było tem większe, gdy w następnej chwili, po dodaniu kwasu siarkowego, znów się nagle wyjaśniła. Chłopi cofnęli się, mruczając groźnie i rzucając złowrogie spojrzenia ku uczonemu, którego wzięli za czarownika. Na domiar złego tegoż dnia wybuchła w Krynicy gwałtowna burza i poczyniła znaczne spustoszenia, a że strach ma wielkie oczy, przeto biedny badacz, bojąc się, że jemu to wszystko przypiszą, musiał się przed gromadą tłumaczyć i wyjaśniać cel swego przybycia.

Źródła krynickie nazywa *H a c q u e t* bardzo silnemi. Podłożem ich był siwy piaskowiec. Musiały być głębokie, bo deszcze nie wpływały zupełnie na ich wygląd i pojemność. Wpływ oceniał *H a c q u e t* na 1½ do 2 funtów wody na

²¹⁾ Zob. *Hacquet* I. c. t. IV. str. 123.

sekundę. Była ona bardzo czysta, o smaku przyjemnym, choć kłująco kwaskowatym, ale bez najmniejszego śladu zapachu siarczanego, znalezionej w podobnej wodzie w Bardinowie (*sic*). W dni gorące była woda silniejszą rano, niż w południe, gdyż kwas węglowy uchodził. Zawartość tego kwasu oznaczył autor dopiero w domu, w zabranych z sobą próbkach. Szczegółową tablicę składu chemicznego pomijam. Wodzie krynickiej nie szczędzi Hacquet pochwał. Stwierdza przytem, że daje się ona transportować i że odpowiednio zamknięta może przechowywać się niezmienną latami. Gdy bowiem 50 i więcej mil przewoził ją i to w czasie upału, okazało się, że po 2 latach skład się nie zmienił i prawie cała ilość kwasu węglowego utrzymała się.

To też wyraża on w końcu życzenie, ażeby:

1. Źródło krynickie jak najbardziej i jak najrychlej udostępnić przez odpowiednie urządzenia na miejscu.

2. Przystąpić do rozsyłania wody krynickiej. Koszta sprowadzania flaszek ze Lwowa, 50 mil oddalonego, niewątpliwie podwyższyłyby cenę wody, tak, że dorównałaby ona może cenie sprowadzanej gotowej wody „*von Bilin aus Böhmen*“, ale nie wątpi, że zagadnienie to da się przy dobrej woli w przyszłości korzystnie dla kraju rozwiązać.

W 4 lata po opublikowaniu spostrzeżeń Hacqueta, t. j. w r. 1800., nabyła źródło Krynickie - jak wspomniałem - władza skarbową. Nie spieszyła się ona jednak z jakimikolwiek ulepszeniami. W r. 1803. wysłano do zbadania stosunków lokalnych, jak wiemy skądinąd, komisję, na czele której znowu stał Hacquet. Niestety, sprawozdania jego i tym razem nie odniosły żadnego skutku. Dopiero druga komisja, z r. 1806. pod kierownictwem profesora chemii Uniwersytetu Krakowskiego, Schultesa, ruszyła sprawę z martwego punktu i na nowo Krynicę „odkryła“.

Podróżując po kraju i notując skrzętnie wszystko, co widział, poczynił Hacquet poza opisem zdrojowisk, wiele innych spostrzeżeń, które nas lekarzy mogą interesować. Uwagi jego n. p. nie uszły okolice, nawiedzone wolem.

We wsi Łącko²²⁾, (w oryginale „Lacko“) znalazłem — pisze — ludzi, w rozwoju fizycznym i umysłowym odpowiadających człowiekowi leśnemu (*Waldmensch*), *Simia satyrus* L., względnie temu, co Buffon nazywa *Jacko*. „Also die wahren Cretin der Schweizer, die Gari der Tiroler und Karnthner, die Fexen der Salzburger und Steyermärker. Dazu gehören auch die Trotteln des letzten Landes, ob sie gleich nicht sichtbare Kröpfe haben.“ Jeden n. p. taki okaz w wieku około lat 30-tu miał 3 stopy i 7 cali wysokości, a jego głowa była tak dalece podobną do małpiej, że nikt chyba nie wziąłby jej za inną, gdyby tylko ją samą miał przed oczyma. Na szyji miał on wielki wół, a przy proporcjonalnych kończynach dolnych, górne były naksztalt małpich uderzająco za długie. Inteligencja zupełnie upośledzona, głos podobny do jakiegoś krakania.

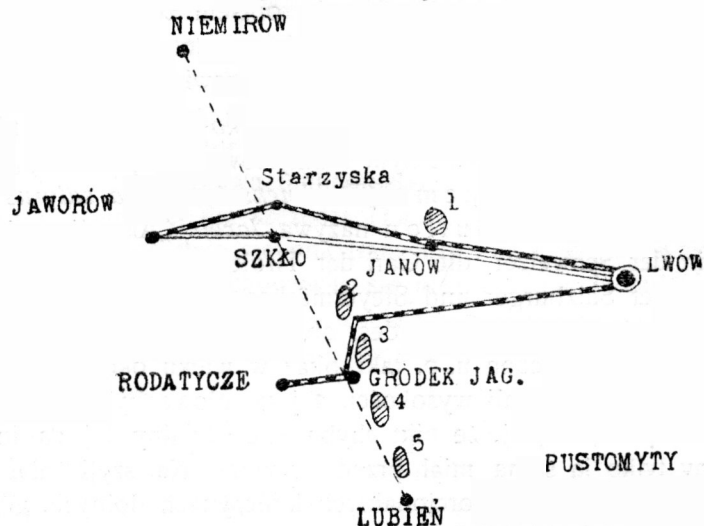
„Niczego bardziej nie życzyłem i jemu i sobie, mówi autor, jak tylko, żeby nie zwlekając zakończył swój marny żywot, tak, bym go mógł wypchać i swój zbiór przyrodniczy tą odmianą człowieka wzbogacić.“

Opis wola, kretyków, dalej geognostyczny opis podłoża okolic, w których te patologiczne zmiany występują, tak, że przy pewnej wprawie można już na pierwszy rzut oka daną miejscowość zdefiniować, dalej dopatrywanie i motywowanie związku przyczynowego z przyrodą miejscowej wody — wszystko to traktuje Hacquet bardzo obszernie, a podnieść należy, że jego opis kretynizmu okolic podtatrzańskich jest pierwszym w piśmiennictwie.²³⁾

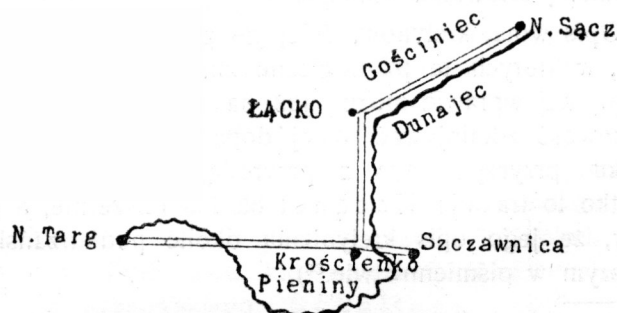
²²⁾ Wieś, położona nad Dunajcem.

²³⁾ Zob. Kościńskiego: Słownik lekarzów polskich.

Mapki schematyczne.



- I. Źródła siarczane: Szkło, Lubień, Pustomyty, Niemirów.
 Linia prosta, łącząca Niemirów z Lubieniem, przechodzi prawie dokładnie przez Szkło.
 Stacja kolejowa Starzyska: dojazd do Szkle.
 Stawy: 1. Janowski, 2. Dobrostański, 3. Grodecki, 4. Czerlański, 5. Lubieński.
 Rodatycze: ostatnia, najdalej na zachód wysunięta u nas siedziba bobra.



- II. Łącko, upamiętnione przez Hacqueta pierwszym opisem miejscowego matolectwa (*Cretinismus endemicus*).

Bardzo liczne Hacqueta spostrzeżenia etnograficzne i antropologiczne, o Ormianach, Żydach, Karaitach, Cyganach, dalej o Hucułach i Góralach tatrzańskich, tu i ówdzie z uwagami o chorobach, wśród nich panujących, pomijam, jako zbyt poza ramy niniejszych notatek wychodzące. Zatrzymam się tylko przy jednym szczególe, umieszczonym przy końcu dzieła. Oto przeprowadza on tam porównanie między nami a Czechami. Nie bez pewnej animozji, którą widocznie wyniósł z Pragi, dowodzi on, że Czesi są pochodzenia azjatyckiego. I pisze dalej dosłownie: „Was für ein Abstand des böhmischen Kopfes gegen den eines Pohlen! Das wahre Böhmische Gesicht, das der gemeine Stockböhme hat, hat mit dem Kalmücken, Tataren und Kosacken viel Aehnliches, nur ist der Scheitel grösser, die Augenhöhlen weiter auseinander, und die Knochen viel dicker, als bey Letzteren. Also ist diese Menschenrasse aus Asien her, und ein Urvolk.“ Na poparcie twierdzenia tego przytacza szczegółowe pomiary, opisuje stosunek wzajemny części twarzy i t. d. Im dalej posuwamy się ku Górnemu Śląskowi i Polsce, czyli ku równinie, tem bardziej zmienia się, zdaniem jego, budowa twarzy ludzkiej, a mianowicie w miarę tego jak kraj staje się płaskim i wapiennym, lud staje się smuklejszym, a twarz dłuższą i piękniejszą.

Z tej krótkiej wzmianki o Baltazarze Hacquet i wybranych z całości tylko tych szczegółów, które mogą mniej lub więcej interesować lekarza, możemy nabrać pewnego przekonania o działalności tego człowieka i o jej wynikach.

Pomijając dziwactwa jego charakteru, pomijając uprzedzenia, jakie żywił dla naszego kraju, musimy przyznać, że, jak to podnosi Finkel i inni, uczynił on dużo dla bliższego poznania tego kraju i jego przyrody. Wiele rzeczy opisał pierwszy, wiele uczynił pierwszy. Pierwszy zbadał chemicznie wodę z wielu naszych źródeł mineralnych, zwrócił uwagę na wiele szczegółów, do źródeł naszych się

odnoszących, udzielił niejednej rady słusznej, może nawet do dziś dnia nie wyzyskanej. Pierwszy opisał kretynów naszych okolic podgórskich, pierwszy też zwrócił bacne oko na ideę, dziś dopiero wiele umysłów zajmującą, której na imię: Ochrona przyrody krajowej.

Bogaty zbiór jego mineralogiczny i zoologiczny, pozostał, jak widzieliśmy, dzięki Fryderykowi Augustowi, w kraju i stał się podwaliną gabinetów przyrodniczych w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Była to więc osobistość w szczegółach ujemnych może raczej śmieszna, jak niebezpieczna, a w szczegółach dodatnich dla naszego kraju bezwątpienia pożyteczna.

Zakończę przytoczeniem dewizy, użytej przez *Hacquet*a i umieszczonej na czele omawianego tomu jego „Podróży.“

„Je suis homme, et j'ai fait des livres: j'ai donc fait aussi des erreurs. J'en appercois moi-même en assez grand nombre: je ne doute pas que d'autres n'en voyent beaucoup d'avantage, et qu'il n'y en ait bien plus encore que ni moi ni d'autres ne voyont point.“ (J. J. Rousseau).

Piśmiennictwo:

1. *Brandt i Ratzeburg*. Medizinische Zoologie. 2 t. Berlin, 1829—1833.
2. *Bredetzky*. Reisebemerungen über Ungarn und Galizien. Wien. 1809.
3. *Dietl*. Krynica. (Tłumacz. z autografu niemieckiego *Zieleniewski*.) Kraków 1857.
4. *Finkel*. Historia Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów 1894.
5. *Gawarecki*. Pielęgnowanie Czerwca polskiego: *Coccus Polonicus*. Lwów, 1893.
6. *Gąsiorowski*. Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce. Poznań, 1839—1855. 4 t.

7. H a c q u e t s Neueste physikalisch-politische Reisen durch die Dacischen und Sarmatischen oder Nördlichen Karpathen. 4 cz. Nürnberg, 1790—1796.
 8. J a n o t a. Bóbr. „Przyrodnik,“ Lwów 1872. Kraków (osobno) 1876.
 9. K o ś m i ń s k i. Słownik lekarzów polskich. Warszawa, 1883—8.
 10. L a f o n t a i n e. Opisanie skutków y używania ciepłych siarczystych y zimnych żelaznych kompieli w Krzeszowicach. Kraków. 1789.
 11. O c z k o. Cieplice. Kraków, 1578.
 12. R e s s i g. Brevis expositio aquarum mineralium Galiciae. Viennae, 1827.
 13. S t e l l e r. Opisanie mineralnych wód w Niemirowie. „Rozmaitości,“ Lwów, 1825, nr. 23.
 14. S y x t. O cieplicach we Skle. Zamość, 1617.
 15. T o r o s i e w i c z. Źródła mineralne w Królestwie, Galicji i Bukowinie. Lwów, 1849.
 16. Z a k r z e w s k i. O wodach kruszczowych w Galicji. Czasopism naukowy księgozbioru publicznego im. Ossolińskich. Lwów, 1828 i 1829.
 17. Z i e m b i c k i Witołd. Odczyt o Szkle i naszych lekarzach z XVI i XVII wieku. Towarzystwo Lekarskie Lwowskie. 1922, pos. z dn. 26. V.
 18. Z i e m b i c k i Witołd. Z dziejów naszego szpitalnictwa. „Polska Gazeta Lekarska“. 1925, nr. 36/37.
- 

JAN LACHS.

ANSELMUS EPHORINUS.

(SYLWETKA LEKARZA HUMANISTY).*)

Znany w dziejach humanizmu w Polsce lekarz krakowski Anzelm, pochodził z Frydberga na Śląsku, gdzie się urodził prawdopodobnie w r. 1505. Ojciec jego Krzysztof miał więcej dzieci, a w każdym razie trzech synów, z których dwaj starsi od Anzelma byli księżmi. Różnica wieku między braćmi była stosunkowo znaczna, gdyż Anzelm był od jednego z nich o niespełna 24, a od drugiego o 14 lat młodszym¹⁾. Nazwy prawdziwej samego Anzelma nie znamy do dzisiejszego dnia, gdyż ta, którą go zazwyczaj mianujemy, jest tylko przybraną humanistyczną, odpowiadającą duchowi czasu. To też, tłumacząc ją, przyjmują niektórzy, że się nazywał Schultz²⁾. Możliwe, że to przypuszczenie odpowiada rzeczywistości, dopóki jednak w tym kierunku nie mamy absolutnej pewności, trzeba zawsze przy rozwiązaniu zagadki, którą nam jego hu-

*) Wyjątek z tej rozprawy był drukowany w kwartalniku „Reformacja w Polsce” (Rocznik II. 1922) p. t. „Ephorinus i Rożanka. Z dziejów uczestnictwa lekarzy w ruchu reformacyjnym.

¹⁾ Joseph Förstemann u. Otto Günther. Briefe an Desiderius Erasmus v. Rotterdam. Beiheft zum Zentralblatt für Bibliothekswesen. N. XXVII. Leipzig 1904. Nr. 159, str. 190.

²⁾ G. Bauch. Beiträge zur Literaturgeschichte des schlesischen Humanismus. VII, str. 191. Zeitschrift des Vereines für Geschichte u. Altertum Schlesiens. Bd. 39. Breslau 1905.

manistyczna nazwa stawia, pamiętać, że słowo »Ephorinus« może się wywodzić jeszcze od słowa »ἐφορος«, któreby mogło określać Anzelma jako pochodzącego z nad granicy. Na jego pochodzenie wskazuje także jego druga humanistyczna nazwa »Pacimontanus«, określająca już bliżej jego rodzinne miasto.

Studja początkowe odbył prawdopodobnie w domu pod okiem rodziców, a filozoficzne w Krakowie, gdzie został wpisany do albumu uniwersyteckiego po raz pierwszy w r. 1515¹⁾. W r. 1522 został bakałarzem, a w r. 1527 — a nie w r. 1526, jak podaje Morawski²⁾ — za dziekanatu Stanisława z Krakowa — magistrem artium³⁾. Jak więc widzimy, upłynęło sporo lat między czasem wciągnięcia go do albumu a uzyskaniem pierwszego stopnia uniwersyteckiego, jakoteż między uzyskaniem przez niego tego stopnia a magisterium. Mając odpowiedzieć na pytanie, jak Ephorinus ten czas spędził i usprawiedliwić to jego stosunkowo późne uzyskanie stopni naukowych, musimy się gubić w domysłach, do których podstawy dostarcza okoliczność, że go w r. 1527 znajdujemy po raz drugi do albumu uniwersyteckiego wpisanego. Z pomocą nam tu przychodzi Janocki⁴⁾, który utrzymuje, że Ephorinus został w 22-gim roku życia magistrem. Jeżeli to twierdzenie Janockiego przyjmiemy jako prawdziwe — a ma ono wszelkie pozory prawdopodobieństwa, albowiem 22-gi rok życia, to był wiek, w którym zazwyczaj stopień magistra osiągnano, — natenczas wynikałoby z faktu wciągnięcia Anzelma do albumu uniwersyteckiego w r. 1515, że liczył on przy tym akcie nie więcej jak 10-ty rok życia. Ponieważ zaś akt z r. 1515 nie może ulegać wątpliwości, pozo-

¹⁾ A. Chmiel. Album studiosorum universitatis crac. Crac. 1892. T. II. p. 164.

²⁾ Z dziejów odrodzenia w Polsce. Przegląd Polski. T. 71. Kraków 1884, str. 97.

³⁾ Muczkowski: Statuta nec non liber promotionum. Cracoviae 1849. p. 175 et 180.

⁴⁾ Janociana. Varsaviae et Lipsiae 1776. Vol. I. p. 74.

stanie tylko nowe — jakkolwiek nieudowodnione — przypuszczenie, że młody bardzo wiek był prawdopodobnym powodem do unieważnienia pierwszego wpisania Anzelma do albumu a wpisania go później po raz drugi, by mu przecież dać możliwość uzyskania stopni uniwersyteckich. Ta okoliczność tłumaczyłaby także dostatecznie długie trwanie studjów u Ephorinusa bez uciekania się do przypuszczeń, jak to czyni Bauch¹⁾, który mniema, że Anzelm, mimo wpisania się na Wydział Filozoficzny, prawdopodobnie długo poza Krakowem przebywał.

Celem wytłumaczenia tego dwukrotnego wpisania Anzelma do metryki uniwersyteckiej, możnaby się jeszcze uciec do przypuszczenia, że tu chodzi o dwie różne osoby, które się w ciągu krótkiego stosunkowo okresu czasu wpisały na uniwersytet. Przypuszczenie to jednak nietrudno będzie zbić, jeżeli zwrócimy uwagę na inne okoliczności. Obydwaj bowiem Anzelmowie musieliby pochodzić z Frydberga, obydwaj musieliby mieć ojców Krysztofów i obydwaj musieliby być magistrami artium i lekarzami. Że tego rodzaju konstrukcja byłaby nieco sztuczną i nie bardzo prawdopodobną, jest w oczy bijącym.

W Krakowie słuchał Ephorinus wykładów poety i humanisty Rudolfa Agricoli, który właśnie w czasie jego studjów został „lector ordinarius“, mimo że warunkom wymaganym przez przepisy uniwersyteckie nie uczynił zadość, bo nie miał tytułu magistra; słuchał także wykładów Macieja z Szamotuł, filozofa i matematyka²⁾.

Z kolegów, z którymi się zetknął w uniwersytecie, należy tu wymienić Mikołaja Reja, Andrzeja Modrzewskiego i Andrzeja Trzycieskiego, tego samego, który później, po nawiązaniu sto-

¹⁾ l. c.

²⁾ Janociana. Vol. I. p. 74.

sunków przyjacielskich z Melanchtonem, tak bardzo się przy-
czynił do szerzenia reformacji w Krakowie.

Wkrótce po ukończeniu studjów, bo już w letnim pół-
roczu r. 1528 wykłada w Krakowskim collegium minus jako
„extraneus non de facultate“ Fenestelli „de Romanorum magi-
stratibus“, a w zimowym półroczu r. 1528/29 jako — collega
minor — Bazylego Wielkiego¹⁾. Niedługo jednak była jego
działalność w collegium minus, albowiem stosunki w niem
naówczas jeszcze panujące, a w szczególności sposób prowa-
dzenia dysput sobotnich na Wydziale Filozoficznym, najpraw-
dopodobniej mu nie odpowiadały, gdyż — jak to w aktach
uniwersyteckich zanotowano — nie brał w nich wcale udziału:
„nunquam erat in actu“ (ordinario).²⁾

Do dysput zaś tych przykładano tak wielką wagę, że
statut uniwersytecki nakładał na magistrów wprost obowiązek
kolejnego odwiedzania ich i brania udziału w toczących się
tam dyskusjach, nakładając równocześnie kary na zaniedbują-
cych ten swój obowiązek³⁾. Zdaje się jednak, że sposób za-
prawiania młodzieży do rozumowań sofistycznych i ćwiczenie
się magistrów w dyskusjach błyskotliwych a pustych treścią
nie odpowiadały Ephorinusowi. To też niedługo go widzimy
w collegium minus, bo pod wpływem perswazji kanonika ka-
tedralnego krakowskiego Jakóba Arciszewskiego, tego ducha
opiekuńczego Ephorinusa, oddał się on — jeszcze w czasie
swoich studjów filozoficznych — studjom humanistycznym,
których owoce miały się niebawem pojawić pod formą wydań
pojedynczych ksiąg Plinjusza, zaopatrzonych przez niego
w komentarze. I tak poprzedził w r. 1526 Guglingera wy-
danie siódmej księgi historii naturalnej 14 wierszami na po-

¹⁾ Wiśłocki. Liber diligentiarum facultatis artisticae crac. Craco-
viae 1886. p. 186 et 188.

²⁾ Ibid. a. 1528.

³⁾ Muczkowski op. cit. str. XVII.

chwałę dzieła¹⁾, w r. 1527 drukuje w Krakowie u Szarfenberga przedmowę do tegoż dzieła, ponownie w r. 1529 wydaną i dedykowaną kanonikowi Arciszewskiemu²⁾, poczem na krótki czas przerywa pracę nad Plinjuszem. W tym samym roku pojawiają się w Krakowie „Puerilium colloquiorum formulae” Sebalda Heydena³⁾, do których wstęp pisze Ephorinus, przypisując je swojemu uczniowi małoletniemu Jodokowi Deciusowi, synowi Jodoka Ludwika Deciusa. W r. 1528 wydaje w Krakowie przedruk niedawno dopiero przez Erazma z Roterdamu w Bazylei ogłoszonej „Epistola consolatoria”⁴⁾, którą zaopatruje w sześć wierszy „pio lectori” i dedykuje Weneccjaninowi księdzu Markowi a Turri, Franciszkaninowi „per Poliniam et Bohemiam ministro”⁵⁾. Prawie że równocześnie, bo także w r. 1528, ogłasza modlitwę Pańską Erazma „ad Virginis filium Jesum”⁶⁾. Po tej małej dygresji wraca znowu

¹⁾ C. Plinii Secundi liber septimus naturalis historiae cum annotationibus M. Wolfgangi Guglinger quam emendatissime impressus Cracoviae apud Hieronymum Vietorem a. MDXXVI. O wydaniu tem nie wspomina Choulant w swoim dziele „Handbuch der Bücherkunde für die aeltere Medicin.” Leipzig 1841.

²⁾ Cui Plinii Novocomensis in libros historiae naturalis praefatio, quae primum librum occupat diligenter doctissimorum virorum iudicio recognita et in veram ac plane plinianam lectionem restituta. Una cum indice summatim XXXVII librorum Plinii argumenta indicante. Auctore Anselmo Ephorino Pacimontano Silesio. Cracoviae per Mathiam Scharffenberg a. MDXXVII.

³⁾ Puerilium colloquiorum formulae pro primis tyronibus per Sebal dum Heyden ex Comitorum campo hinc inde collectae, iam denuo germanico, polonico et ungarico ideomate illustratae. Cracoviae apud Hieronymum Vietorem a. 1527.

⁴⁾ Erasmi Roterodami Epistola consolatoria in adversis. Cracoviae ex aedibus Hieronymi Vietoris a. 1528.

⁵⁾ K. Miaskowski (Erasmiana I. Paderborn 1900, str. 18) utrzymuje że „Epistola consolatoria” wyszła w r. 1530.

⁶⁾ Precatio dominica Erasmi Roterodami ad Virginis filium Jesum. Cracoviae apud Hieronymum Vietorem 1528. Ded. Andreae Vogelweider civi cracoviensi.

do umiłowanej historii naturalnej Plinjusza, której 29-tą księgę objaśnia i w Krakowie w r. 1530 wydaje¹⁾.

Może być, że studja nad Plinjuszem zadecydowały o przyszłości Ephorinusa, gdyż wpisał się w Krakowie na medycynę, z której początkami zapoznał go tu Cyprian z Łowicza. A był to nie lada jaki lekarz, którego uczniami byli tacy jak Piotr Wedelicki, Szymon z Łowicza, Józef Struś i inni. Do wyższych studjów lekarskich jednak Ephorinus w Krakowie nie doszedł, bo zaszły okoliczności, które spowodowały jego wyjazd zagranicę. — Swojami studjami humanistycznymi, a przede wszystkim zapewne swoim wydaniem dwóch wspomnianych rzeczy Erazma, umiał Ephorinus zwrócić na siebie uwagę nie tylko samego Erazma, lecz w wyższym może jeszcze stopniu zbliżyć się przez nie do zamożnej i potężnej, w Krakowie osiadłej, a tak zasłużonej około rozwoju humanizmu u nas rodziny Bonerów, a przed innymi do kasztelana bieckiego i burgrabiego krakowskiego Seweryna Bonera. Bonerowie nie zapisywali się do naszego albumu uniwersyteckiego. To też, i Seweryn, idąc śladem swoich przodków, postanowił wysłać syna swojego Jana na naukę zagranicę. Któżby się mógł w podobnych sprawach okazać odpowiedniejszym doradcą nad Ephorinusa, magistra artium, wykładającego humaniora, który się sam już nieco z medycyną zapoznał. Z przyjaciela domu wyrósł mentor, którego opiece Seweryn Boner syna swojego porucił. A zadanie to nie mogło w niczem ubliżyć Ephorinusowi, mimo że on już poprzednio w collegium minus wykładał, bo do rodziny Bonerów garnęło się wtedy wszystko, co tylko u nas imię posiadało. Już bratu Seweryna Franciszkowi, burmistrzowi krakowskiemu, poświęcił Jerzy z Lipnicy swoje wydanie *Ekonomik Arystotelesa*, Maciej Franconius —

¹⁾ *Cati Plinii Secundi Naturalis historiae liber XXIX medico commentario distinctus ac illustratus ab Anselmo Ephorino. Cracoviae in officina typographica Hieronymi Vietoris 1530.*

Cycerona rzecz „De amicitia“, Jan de Novosolio — równie Cycerona „Pro Marcello“, a wreszcie Franciszek Mymer opiewa jego sławę w jednej elegji. Nie mniejszem uznaniem cieszył się Seweryn, który ożywioną korespondencję utrzymywał z Hozjuszem i z Janem Dantyszkim; dedykowali mu nawet swoje prace uczeni jak humanista Jan Arbiter de Zittavia i Rudolf Agricola¹⁾.

Z Ephorinusem należało ułożyć plan podróży, z której i on sam miał mieć pewne korzyści. Rozpocząwszy studia lekarskie już w Krakowie, mógł Ephorinus bardzo łatwo pogodzić plan podróży ze swoim zamiarem ukończenia takowych. A gdzieżby można było naonczas lepiej się uczyć medycyny jak nie we Włoszech, a szczególnie w Padwie? Z młodym Bonerem jednakowoż nie można było jeszcze wprost pojechać do Włoch i tam siedzieć, lecz należało go wprost do tego przygotować, a więc pokazać mu naprzód jeszcze kawał świata, a jako syna Seweryna należało go przecież zapoznać z ówczesnemi sławami humanistycznymi. Humanista Ephorinus i zwolennik humanizmu Seweryn Boner zrozumieli się nawzajem, a porozumiawszy się między sobą, szybko przystąpili do urzeczywistnienia zamiaru. Należało jednak jeszcze o jednym — na pozór drobnym — szczególe pomyśleć. Oto różnica wieku między mentorem a pupilem wymagała, by mu dodano celem uprzyjemnienia podróży jakiegoś rówieśnika jako towarzysza. Wybór padł na młodego Stanisława Aichlera syna Jana.

Pożegnani przez Franciszka Mymera, przyjaciela z ławy uniwersyteckiej Ephorinusa, elegją „In magistrū Ephorini discessum“, wyjechali naprzód do Niemiec, gdzie pierwszym ich

¹⁾ Morawski. Z dziejów odrodzenia. Str. 89—91. — Tenże. Czasy Zyguntowskie na tle odrodzenia. Warszawa 1922. Na str. 156 wymienia autor cały szereg dzieł poświęconych Sewerynowi Bonerowi i jego synom.

etapem był Erfurt. Tutaj nie zatrzymali się długo, lecz mimo to nie był ten krótki pobyt dla Ephorinusa bez znaczenia, gdyż poznał w Erfurcie Melanchtona, z którym go odtąd łączyły bliższe stosunki. Z Erfurtu podążył do Norymbergi. Humanisci mieli dla niego szczególniejszy urok i to było prawdopodobnie powodem, że nawiązał tu stosunki z Tomaszem Venatoriusem, pierwszym kaznodzieją ewangelickiego Kościoła szpitalnego. Szacunek obydwóch humanistów dla siebie polegał na wzajemności, a zdanie Ephorinusa było dla Venatoriusa w wielu sprawach miarodajnym. Dlatego to powołuje się Venatorius na Ephorinusa w przedmowie do swego tłumaczenia Arystofanesa Plutusa, w której, zwracając się do Seweryna Bonera, wyraźnie oświadcza, że odnośnie do niego polega na tem, co mu w ostatnich dniach Ephorinus o nim opowiadał. („Porro quod iam ante ex multis audieram, id proximis diebus comprobavit, Anselmi Ephorini, hominis ex aequo et docti et aperti calculus...“). W rozmowach z Venatoriusem, wyłożył - jak się zdaje - Ephorinus, ze wszystkimi szczegółami, plan swojej podróży, który się Venatoriusowi nie tylko podobał, ale po którym spodziewał się nadto na przyszłość wielkich korzyści „non tam... voluptati, quam toti simul Poloniae regno...“ Samym zaś Ephorinusem tak był zachwycony, że, unosząc się nad nim, wykrzykuje w następujący sposób: „Et habet, quod scio, ille (Ephorinus) causas plurimas, quibus tuis in se beneficiis iure respondeat, vel quod praesidio tuo fortunas suas augeri sperat, vel quod autoritate tua ornari se cupit, vel quod illum tu duxisti dignum, cui commiteres filii tui... curam, quem ad summum usque splendorem veluti quendam futuram generis tui heroa effingere debeat...!“¹⁾ Jako dalszy dowód jak Venatorius swojego gościa cenił i jak wielką wagę przykładął do jego pobytu w Norymberdze, może posłużyć list jego z 6

¹⁾ *Ἀριστοφάνους ἐδτραπελωτατου κωμικου πλουτος*. (Aristophanis *face-tissimi comici plutus*). Przekład łaciński T. Venatoriusa. Norimbergae 1531.

września 1531 roku, pisany do Erazma, w którym daje wyraz szacunkowi swojemu dla uczoności Ephorinusa, ceniąc go także jako wybitnego znawcę pism Erazma.¹⁾

Ta znajomość miała jednak dla Ephorinusa stanowić pierwszy etap do innych a wielokrotnie większych. Przyjacielem Venatoriusa był humanista, poeta Eobanus Hessus. Poznawszy bliżej Ephorinusa, nabrał on dla niego szczególniejszego szacunku, czemu dał wyraz w elegji, składającej się z 44 wierszy, poświęconej „ornatissimo viro Anselmo Ephorino, amico svavissimo”, a dodanej do tłumaczenia Venatoriusa wspomnianego Plutusa Arystofanesa. Nie był to jednak zwyyczajny z grzeczności tylko napisany panegiryk, czego dowodzi okoliczność, że zwrócił na niego uwagę Erazma, polecając Ephorinusa jego opiece²⁾. Trzecim w owej trójce norymberskiej, do której się Ephorinus zbliżył, był Joachim Camerarius. I on zachował całe towarzystwo w dobrej i trwałej pamięci, gdyż jeszcze w roku 1555 zaofiarował Janowi Bonerowi, którego niegdyś jako młodego chłopca poznał, swoje wydanie „Synaesi Cyraenei Oratio ad Arcadium”³⁾.

Po dłuższym pobycie w Norymberdze i po nawiązaniu — jak widzimy — trwałych stosunków z ówczesnymi tamtejszemi sławami, wyjechali goście krakowscy do Fryburga, gdzie już Erazm od r. 1529 przebywał. Wobec stanowiska Erazma we współczesnym świecie uczonych, było równie zaszczytnem jak i trudnem do niego się dostać i zwrócić jego uwagę na siebie. Dlatego to zaopatrzyli się nasi Krakowianie w listy polecające od pierwszych osobistości w Polsce. Nie brakło między niemi i listu samego Zygmunta I, który, w uwzględnieniu zasług

¹⁾ A. Horawitz. *Erasmiana IV* w *Sitzungsberichte d. kais. Akademie der Wissenschaften*. Bd 108. Wien 1884, str. 787. —

²⁾ *Desiderii Erasmi opera*. Lugduni Batavorum. 1703. T. III. Ep. 1188. P. 1404. —

³⁾ Horawitz. *Erasmiana IV*. str. 787—788. —

Seweryna Bonera około swojej osoby, prosił Erazma, by to dla niego uczynił i tak się młodym Bonerem zajął, by z tego korzyści wynikły nie tylko dla jego ojca i młodego pupila, lecz w przyszłości także i dla samego króla („teque hortamur et rogamus, ut nostra causa ita erudiendum cures, ut et patri familiaeque suae honori et nobis usui aliquando esse possit“¹⁾). Nie mniej gorące polecenie przesłał do Fryburga biskup Tomicki, który, polegając na przyjaźni łączącej go z Erazmem, liczy na to, że jego życzeniu nie odmówi i zajmie się młodym Bonerem, którego poleca mu „propter egregiam illius indolem et patris virtutem et amicitiam“²⁾). Do tych przybywają jeszcze inne listy polecające, a mianowicie biskupa płockiego Andrzeja Krzyckiego, kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego, wspomniany już list Eobana Hessa i wreszcie sekretarza królewskiego Justusa Ludwika Deciusa oraz znanego dobrze w Krakowie lekarza dra Jana Antonina z Koszyc „dignitate quidem inferiores, sed benevolentia pares“³⁾), jak się o tych dwóch ostatnich wyraża Erazm. Jeżeli listy od króla i od biskupa były dla Erazma zaszczytne, to list od dra Antonina był mu z pewnością najsympatyczniejszym, gdyż budził w nim wspomnienia minionych czasów, kiedy to Antoninus leczył go tak szczęśliwie podczas jego napadów kolki nerkowej i kiedy to wytworzył się stosunek najserdeczniejszej przyjaźni, którą Erazm przekładał ponad dużo innych. „Hoc mihi credas velim, Antonine, istud tuum pectus mihi tribus regnis esse preciosius“⁴⁾) pisze Erazm w r. 1527 do Antonina, któremu na rok przedtem dedykował swoje wydanie Galena „Exhortatio ad bonas artes praesertim medicinam,“ „De optimo dicendi genere“ i „Quod optimus medicus idem sit et philosophus.“

¹⁾ Cod. Nr. 46, str. 637 w Archiwum Czartoryskich.

²⁾ Ibid. str. 639—640.

³⁾ Erasmi opera. T. III. Ep. 1238, pag. 1457—1458

⁴⁾ Erasmi opera T. III: Ep. 912, p. 1045—1046.

Z wiosną r. 1531 zawitali Ephorinus, młody Boner i Aichler do Fryburga. Tak pięknie sobie poleconych — a pośród nich znanego już sobie jako tłumacza dwóch swoich utworów Ephorinusa — uważał słynny humanista za gości swojego domu i oddał im mieszkanie u siebie, na co się — jak to wynika z listu Zygmunta I do niego napisanego¹⁾ — i mentor i pupile chętnie zgodzili. Niemalą także zasługę w zbliżeniu się osobistym do Erazma przypisuje Ephorinus poecie Henrykowi Glareanowi, o czym sam później z pewną wdzięcznością wspomina²⁾.

Pod okiem Erazma spędzało całe towarzystwo czas na studjach humanistycznych i na zabawach mających na celu popieranie owych studjów. Jedną z takich zabaw było recytowanie lub przedstawianie pojedynczych scen z Terencjusza przez młodzieńckiego Bonera i jeszcze młodszego Aichlera. Terencjusza wybrał zaś Erazm, gdyż go cenił bardzo z powodu języka, który wedle niego u tego autora jest czystszy, aniżeli u jakiegokolwiek innego pisarza rzymskiego, i przekładał go także z powodu ścisłości jego sądu nawet ponad Plautusa („plus enim exacti iudicii est in una comoedia Terentiana.... quam in Plautinis omnibus“.) Dla uczniów zaś spodziewał się szczególniejszych korzyści po nim z powodu oryginalności jego sposobu argumentowania. („Porro, quum inter oratorias praecipua sit argumentorum inventio, ad hanc quoque facultatem in omni causarum genere parandam Terentiana lectio conducit plurimum“).³⁾ Zdolność zaś przedstawiania tych scen i dowody pamięci, które młodzieniaszkowie przy tej sposobności złożyli, wzbudzały niemal podziw u słuchaczy. Wogóle pozostawiły te przedstawienia u Erazma tak miłe wspomnienie, że ogłoszone jeszcze w tym samym roku swoje wydanie ko-

¹⁾ Cod. Nr. 46, str. 637 w Archiwum Czartoryskich.

²⁾ Förstemann und Günther op. cit. Nr. 157.

³⁾ Erasmi opera. T. III. ep. 1238, p. 1457—1458.

medji Terencjusza ofiarował swojemu uczniowi Janowi Bonerowi i jego o siedem lat młodszemu bratu Stanisławowi. Stanisława sam wprawdzie nie znał. Uczynił to jednak na prośbę Ephorinusa, który nie zapomniał przy tej sposobności zwrócić uwagi mistrza, by pamiętał „in dicando Terentio“ wspomnieć o jego (Ephorinusa) pieczołowitości (sedulitas) wobec Jana, i polecił młodemu braciom jako wzór charakteru młodego Zygmunta, czem sobie króla i królowę bardzo zobowiąże.¹⁾ List ten wysłany z Brazylei 9 października r. 1531 podpisał Ephorinus „Tuus et suus Anselmus Ephorinus Silesus non Polonus“. Erazm uczynił zadość jego życzeniu, a w liście „in Terentii comoedias“ wystosowanym do obydwóch braci, czyni im uwagi, jak należy młodzież wychowywać, chwalać ich ojca, że im jako mentora obrał właśnie Ephorinusa, męża odznaczającego się „integritate, prudenti fide, doctrina vigilantiaque“, którego ma za ich „parentem alterum“. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności trwała wędrówka owego egzemplarza Terencjusza dłuższy przeciąg czasu, zanim się dostał na miejsce swojego przeznaczenia. Erazm zaś, zniecierpliwiony brakiem dowodów wdzięczności ze strony obdarowanych przez siebie, przypominał o tem Ephorinusowi, który go, polegając na charakterze Seweryna Bonera, w lutym r. 1532 uspakaja i pociesza pod tym względem... „tempus et hora tibi virtutis praemia pro inscriptione praesertim Terentii feret,..“ „..famam enim filiorum Maecanas, quam illis lucubrationibus tuis accessisse cognoverit, digno pensabit praemio.“²⁾ Nie uspokojony jednak jeszcze w tym kierunku, po dalszych kilku miesiącach wyczekiwania, zwrócił się Erazm z tym samym żalem do młodego Bonera, od którego się znowu z listu z września r. 1532 dowiedział, że ojciec jego jeszcze owego egzemplarza Terencjusza nie

¹⁾ Förstemann et Günther op. cit. Nr. 159. str. 189-190.

²⁾ Ibid. Nr. 166 str. 198—199.

dostał,¹⁾ a w liście z września następnego roku, wystosowanym do sekretarza królewskiego Justa Ludwika Deciusa, widocznie już zniescierpliwiony długiem wyczekiwaniem, krótko lecz wyraźnie wspomina „De munere silentium“.²⁾ Może być nawet, że sprawa ta wpłynęła na oziębienie stosunku Erazma do Ephorinusa, który w liście do prawnika Amerbacha narzeka, że się Erazm na niego zagniewał i prosi Erazmowego doradcę prawnego o interwencję w tej sprawie u samego Erazma, gdyż przyjaźń jego przenosi ponad sto tysięcy innych „qui nunc unus est pro centum millibus.“³⁾ Sprawa się ostatecznie wyjaśniła, bo Seweryn Boner dostał po 1½ roku książkę. Wy tłumaczywszy się wobec Erazma ze swojego opóźnienia z dowodami wdzięczności — w czym może i część winy ponosił sam Ephorinus — przesłał mu wraz z bardzo pochlebnym listem swoją podobiznę we formie dwóch złotych medaljonów „summas ago tibi gratias et aureos eicones duos meam imaginem referentes mitto donoque animi mei pignus quoddam, tum istius voluntatis tuae erga me gratissimi tum tui ipsius amantissimi quod tu in praesens aequi bonique consule.“⁴⁾ Już to Erazmowi, który — jak się zdaje — uważał za najodpowiedniejszą formę odwdziżenia mu się za dedykację, monetę brzęczącą i to w wysokości przez siebie uznanej, nie zawsze się po jego myśli działo. Kiedy bowiem w r. 1527 swoje wydanie Ambrozjusza dedykował arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Janowi Łaskiemu, a spodziewanej za to odznaczenie nagrody nie otrzymał, dosyć szybko zaczął upominać się o nią, wśród wyrzutów pod adresem arcybiskupa, u bratanka tegoż Jana, kanonika krakowskiego, plockiego i dziekana

¹⁾ Ibid. Nr. 179. str. 214.

²⁾ Cod. Nr. 49. str. 629—634 w Archiwum Czartoryskich.

³⁾ K. Miaskowski Listy Polaków do Bonifacego Amerbacha Nr. XI. i XI w Roczniku Tow. Przyjaciół Nauk Pozn. T. 44 Poznań 1917.

⁴⁾ Horawitz. Erasmiana IV. str. 810.

gnieźnieńskiego, a później jednego z filarów reformacji. Otrzymawszy zaś od synowca arcybiskupa złoty sygnet, zapisany mu przez zmarłego w tym czasie prymasa, uważał to uznanie za niedostateczne i wynagrodził sobie swój trud jeszcze 200 guldenami, które mu Jan Łaski przestał jako resztę ceny kupna za nabytą swojego czasu od Erazma bibliotekę.¹⁾ Dobrze się tymczasem Anselmowi i jego pupilom działo we Fryburgu, a ich gospodarz tak bardzo mentora polubił, że ilekroć się tylko po temu sposobność nadarzała, z największym uznaniem o nim się wyrażał, ceniąc jego uczoność i charakter: „*vir singulari doctrina, parique morum probitate, mihi gratissimus est convictor*“ pisze o nim do Eobana Hessa, żałując równocześnie, że krótko mu tylko danem będzie go u siebie ugościć z powodu jego zamiaru wyjechania pod jesień do Włoch.²⁾ W podobny sposób wyraża się w listach do Seweryna Bonera i młodego Jana, podnosząc zalety Ephorinusa jako nauczyciela i zastępcy ojca wobec jego syna, jego czujność i prawość charakteru, zwracając równocześnie uwagę ojca, że uważa czas pięciomiesięcznego pobytu swoich gości we Fryburgu za zbyt krótki dla osiągnięcia wytkniętego sobie celu, że jednakowoż zamiar ich wyjechania do Włoch jest w tej sprawie decydującym i stanowczym.³⁾

Wolny od studjów czas poświęcił Ephorinus samemu Erazmowi, idąc mu na rękę i używając mu swej pomocy — rzecz rzadka u ludzi nauki — przy kupnie domu i urządzeniu takowego, co Erazm z uznaniem podnosi: „*Verum etiam curis domesticis ob novas deles emptas et ob migrandi aedificandique negotia, praeter solitum gravatum, non minima ex parte sublevavit, vir ut in litteris varie doctus et expolitus, ita in omni*

¹⁾ H. Dalton. *Lasciana*. Berlin 1898. Listy nr. 16 i 28.

²⁾ *Erasmi opera*. T. III. ep. 1188, p. 1404.

³⁾ Cod. Nr. 46. l. 191. str. 705—708 w Archiwum Czartoryskich. *Erasmi opera*. T. III. ep. 1201. p. 1419.

genere negotiorum, a quibus abhorrere solent, qui studiorum amore rapiunt, cautus, solers et perspicax.“¹⁾)

W lecie 1531 r. pożegnał Ephorinus Erazma i zaczął skierowywać swe kroki ku Włochom, zatrzymując się jednak po drodze w Bazylei. I tutaj sprzyjało mu szczęście w zawieraniu znajomości tego rodzaju jak z Bonifacym Amerbachem, wykładającym na wydziale praw w Bazylei — czego dowodzi nie tak wprawdzie liczna jak raczej serdeczna z nim korespondencja, — z Szymonem Grinaeus'em profesorem języka greckiego w Bazylei, Janem Oecolampadius'em²⁾ wykładającym łacinę, nakładcami Froben'em i Herwagen'em, wydawcą Zygmuntem Gelenius'em i innymi. Między Gelenius'em a Ephorinusem wytworzył się nawet trwalszy stosunek przyjacielski, co wnosić można z okoliczności, że już długo po wyjeździe Ephorinusa z Bazylei dedykował mu Gelenius książkę z niektórymi pismami Arriana, Hannonia, Plutarcha i Strabona, za co mu wdzięczny Ephorinus przesłał jako „*ἀντιμνησκόμενον*“ srebrną podobiznę Zygmunta I i monetę złotą króla Macieja węgierskiego³⁾. Najbardziej jednak dla Ephorinusa cenną była, obok znajomości z Amerbachem, ta, którą zawarł z Grinaeusem, dla którego uczoneści był pełen uznania, przenosząc ją ponad uczoneść wielu innych. („Grineus, homo doctus, qui pluribus sana sua eruditione praesit dignus“⁴⁾)

¹⁾ Ibid.

²⁾ Förstermann u. Günther op. cit. Nr. 157.

³⁾ Miaskowski. Listy Polaków do Amerbacha. Nr. XI.

⁴⁾ Förstermann u. Günther op. cit. Nr. 157.

(Dokończenie nastąpi.)

JULJAN TALKO-HRYNCEWICZ.

O DAWNYCH LEKARZACH WILEŃSKICH.

Sierwsze wrażenia dzieciinne są najsilniejsze i dlatego najlepiej wrażają się w pamięć.

Po śmierci rodziców, wychowując się w domu dziadów moich po matce, Fischerów, z lat dzieciennych wyniosłem pierwsze najdroższe wspomnienia o ognisku domowem, które było strażnicą ideałów narodowych i tradycji rodzinnych. Wyplenić je nie mogły ani nienawistna szkoła rusyfikacyjna Murawjewowska, ani długoletnia tułaczka po świecie wśród obcych. Wzrastałem w atmosferze owianej wspomnieniami jeszcze świeżemi Uniwersytetu Wileńskiego, którego uczniem był mój dziad, z zawodu lekarz. Ojciec mój i stryj, ukończywszy słynne szkoły Krożańskie, byli też uczniami medycyny w Wilnie, a stryj zdobył tam sobie nawet stopień „amatora medycyny“. Obaj, gospodarząc później na wsi, *con amore* leczyli chłopów; a zwłaszcza ojciec mój, który we dworze miał żyda felczera, pozyskał taką sławę, przy braku wówczas lekarzy, że z dalekich okolic przywożono do niego chorych. Córka mego stryja z lat dziewczęcych pomagała ojcu w przyrządzaniu leków, a po śmierci jego, jako już niemłoda panna, zastąpiła również jako trafnie lecząca. Wuj mój, brat matki, został fachowym lekarzem, następnie zostałem i ja lekarzem, a potem i młodszy brat mój przyrodni. Jednem słowem, zawód lekarski był jakby z dziedzicznym w naszej rodzinie. Ponieważ dziad mój, Adam Fischer, był

pierwszym lekarzem, jakiegom poznał w wieku pacholęcym i najlepiej zapamiętał, dlatego sylwetkę tego prawdziwego wileńczyka chcę na początku tu skreślić. Dziad jego przybył do Wilna z Węgier. Rodzina ta otrzymała indygenat szlachecki podczas Sejmu czteroletniego.

Adam Fischer urodził się w r. 1794. Był on bratem stryjecznym znanego generała Fischera, adjutanta Kościuszki. Szkoły ukończył u OO. Dominikanów. Utraciwszy we wczesnym wieku rodziców i będąc biednym, wstąpił do apteki p. f. Zeydlera w Wilnie, aby się wykształcić na farmaceutę. Opowiadał on nam często o ówczesnych wymaganiach i wyzyskiwaniu uczni przez aptekarzy. Żywo stało też w jego pamięci niejedno wrażenie, wyniesione z r. 1812 po przejściu wojsk francuskich. Dzięki pomocy materialnej wuja, bogatego kupca wileńskiego, udało mu się wstąpić do Uniwersytetu Wileńskiego na Wydział Lekarski, który ukończył w r. 1820, a stopień dra medycyny i chirurgji otrzymał w r. 1829. Lat kilka był lekarzem majątku w Birżach, gdzie ożenił się z młodą szlachcianką Dworzecką, babką moją. Sądząc z rysów twarzy dawnego jej portretu, musiała być ona bardzo przystojną, surowych obyczajów, rządną, energiczną i gościnną, jaką ją dobrze pamiętam. Dziad, przeciwnie, był charakteru cichego i uległego. Dopełniali się więc wzajemnie. Od r. 1828 do 1841 Fischer był lekarzem miejskim wileńskim. Podczas srogiej zimy 1831 i grasującej silnej cholery wysłany został przez ówczesnego generał-gubernatora Bibikowa wraz z innymi trzema lekarzami wileńskimi Polakami o nazwiskach niemieckich (Grass, Gross, Guze) do Smoleńska. Po kilku miesiącach szczęśliwie wrócili oni do Wilna. U dziadków moich przechowywał się medalik porcelanowy z tego czasu, dość duży, z wizerunkiem Najśw. Panny, którym, ludność żegnała z błogostawieństwem odjeżdżających ze Smoleńska naszych lekarzy. W r. 1841, po powstaniu nowoutworzonej gubernji ko-

wieńskiej, dziad mój otrzymał posadę członka „akuszerza“ Zarządu lekarskiego w Kownie, gdzie przez lat 28, aż do śmierci, zamieszkiwał, pozyskawszy obszerną praktykę w mieście i w okolicy. Będąc już w szkole chłopcem podrastającym, pamiętam wybornie czasy przed — i po powstaniu styczniowym; jak to w r. 1863 w domu dziadków moich ześrodkowywał się ruch narodowy i odbywały się tajne narady, jak to wieczorami skubaliśmy szarpie i przygotowywaliśmy bandaże, jak to gotowano strawę dla uwięzionych, jak to potajemnie posyłano do więzień listy, zapiski i posyłki, wreszcie jak to żegnano się na dworcu z wysyłanymi na wygnanie. Potem znowu wyrły się w mej chłopięcej pamięci prześladowania i wykonywanie wyroków śmierci na powstańcach. Dziad był kilkakrotnie indagowany przez władze za wydawanie świadectw lekarskich w celu ratowania politycznie skompromitowanych. W końcu utracił posadę. Pospieszył wówczas do Petersburga, znał bowiem dobrze przed trzydziestu kilku laty, jako swego profesora, Wacława Pelikana, piastującego wtedy najwyższy urząd lekarski w państwie, mianowicie prezesa Rady lekarskiej. Pelikan przyjął go najpierw na oficjalnej audjencji. Kiedy mu dziad wyluszczył swoją sprawę, zapytał go po rosyjsku: „Cztoż goniat was?“ Później zaprosił go do siebie i gościnnie przyjmował, mówiąc po polsku, przyczem, wspominając o przeszłości wileńskiej, zapłakał. Sprawę dziada mego poparł w ten sposób, że otrzymał on translokację na inspektora zarządu lekarskiego do Czernihowa. Dziad jednak nie chciał opuścić stron rodzinnych, wobec czego przeszedł na emeryturę. Zostawszy emerytem, nie przestał aż do końca życia oddawać się praktyce lekarskiej, przeważnie położnictwu i ginekologii. — Z dziecinnych lat pozostała mi w pamięci stara kamienica w Kownie naprzeciw ratusza i mieszkanie, które dziadkowie moi zajęli po wyjeździe z Kowna dra Jana Kowalskiego. W mieszkaniu tem, jak wiadomo,

codziennym niegdyś bywał gościem Mickiewicz. Tu w długim wąskim przedpokoju siadywał zwykle już od rana szereg żydówek, oczekujących kolejki u „Herr profesora“, jak go powszechnie nazywano. Wreszcie pokazywał się we drzwiach konsyljarz, przedstawiający typ dziś już wymarły. Był to wówczas 70-letni starzec, jeszcze rzeźki i ruchliwy, wzrostu średniego, o ciemnych włosach zrzadka przyprószonych siwizną, układny i ugrzeczniiony. Trzymał się prosto, z zawiązaną na szyji wysoką czarną jedwabną chustką, z pod której wystawały dwa wysokie rogi kołnierzyka, dochodzące do policzków. Ponieważ żydówki nie mogły porozumiewać się po polsku, musiał rozmawiać żargonem, którym władał biegle, tytułując najuboższą nawet żydówkę: „madame“. Ponieważ w czasie konsultacji miał niemałą cierpliwość, wysłuchując długich skarg chorych, zaskarbiał więc sobie wielkie ich zaufanie i wziętość. W życiu codziennym, oprócz chorych i książek, nie miał żadnych innych zajęć, przyzwyczajzeń i nałogów. Pędził życie w kółku rodzinnym, będąc w jedzeniu i piciu bardzo wstręmięźliwym. W niedzielę tylko przed obiadem wypijał dla apetytu mały kieliszek wódki. Było to niczem na te czasy, kiedy użycie napojów wysokokowych było bardzo rozpowszechnione. W karty przez całe niemal życie nie grywał. Dopiero na kilka lat przed śmiercią, kiedy wzrok mu wieczorami nie dopisywał, zaczął grywać z wnukami w bezika. Do końca życia praktykował, zachowując trzeźwość umysłu. Zasłabszy nagle na zapalenie płuc, po kilku dniach zakończył życie w r. 1869 w wieku 75 lat.

Pamiętam kilka rzewnych scen z dzieciństwa. Jedną z nich była wizyta u dziada kolegi jego uniwersyteckiego Macieja Stasiulewicza, rodem ze Żmudzi, który przez kilkadziesiąt lat pracował jako lekarz w Rosji, tam się ożenił z Rosjanką, a na starość przybył do stron rodzinnych. Był on ojcem Michała Stasiulewicza, wówczas profesora Uniwersytetu Peters-

burskiego, historyka i publicysty, który wielkie zasługi położył dla oświaty w Rosji.

Dziad mój utrzymywał także stosunki z żyjącymi jeszcze kilkadziesiąt lat po zamknięciu Uniwersytetu profesorami Wileńskimi: Adolfem Abichem, Józefem Korzeniowskim, Adamem Ferdynandem Adamowiczem i Aleksandrem Woelckiem, którzy niemal do końca życia zajmowali się praktyką. Żyły jeszcze wówczas wspomnienia o Frankach i Jędrzeju Śniadeckim. W dzieciństwie nieraz słyszałem o nich, i mimowoli nabrałem czci dla zawodu lekarskiego. Imponowała mi ta aureola, jaką u nas wszystkie warstwy otaczały „konsyljarza“, wpatrując się w niego jak w wyrocznię, ufne, że wróci niejednemu zdrowie i uratuje życie. Pierwszym moim marzeniem młodzieńczym było zostać lekarzem, osiąść gdzieś na wiejskim partykularzu i jeździć po tych szlakach, po których jeszcze nie tak dawno jeździli lekarze wileńscy. Ciężkie było zadanie tych pierwszych u nas pionierów oświaty. Stan medycyny po rozbiórce kraju był na Litwie i Rusi opłakany. Leczyły stare baby, leczyli znachorzy wiejscy, leczyli ziołami, dekoktami, zamawianiami i czarodziejskimi praktykami. W początkach XIX w. następuje zmiana na lepsze. Zaczynają się coraz częściej pojawiać wykwalifikowani lekarze, najczęściej z Uniwersytetu Wileńskiego. Pomimo tego znachorstwo tak silnie zapuściło korzenie we wszystkich sferach miejscowego społeczeństwa, że jeszcze w drugiej połowie XIX w. działało na Ukrainie dwóch potężnych znachorów: Michałko Wiszniewski, pastuch z zawodu, początkowo praktykujący w Wilnie za czasów Jędrzeja Śniadeckiego, następnie w Berdyczowie, gdzie przez ożenienie się spokrewnił się z rodową arystokracją; drugi zaś, ukraiński chłop, Potapenko w powiecie kaniowskim. Do tych znachorów miejscowa ludność na czele z jenerał-gubernatorami odbywała pielgrzymki, jakby do miejsc świętych. We dworach, gdzie, jak wspomnia-

łem, bawiono się w filantropję, wydając leki z apteczki domowej, były w wielkiem użyciu recepty ze starych berdyczowskich kalendarzy, zapiski szlacheckie z przepisami średniowiecznymi, wreszcie krążyły t. z. „Silva rerum“, w których, obok spostrzeżeń o pogodzie, obok rachunków gospodarskich, zdarzeń familijnych, przepisów kuchennych i t. p. rzeczy, znajdowały się sposoby zaprawienia podłogi, leki od kolki, kaszlu i przeziębienia. Przeżytki te skłoniły mię przed laty do zebrania materiałów i do napisania książki o lecznictwie ludowem na Rusi południowej.

W latach mojej młodości wielu lekarzy wileńskich, rozproszonych po Litwie i Rusi, było jeszcze czynnych. Niektórych poznałem osobiście, innych z opowiadań. O tych zaś, którzy już nie żyli, przechowywała się jeszcze świeża pamięć. Wyliczanie tych lekarzy zacznę od Tomasza Baranieckiego, urodzonego w r. 1801 w Galicji. Nauki szkolne ukończył on w Buczaczu, a potem parę lat studjował na Wydziale Filozoficznym we Lwowie. Zmuszony Lwów opuścić, udał się do Wilna na studja lekarskie i tam w r. 1825 uzyskał stopień doktora medycyny. Osiadłszy w Jarmolińcach na Podolu rosyjskiem, zasłynął jako szczęśliwy praktyk i zacny obywatel. Umarł w r. 1859. Na grobie jego wzniesiono pomnik ze składek publicznych z całej prowincji. Był on ojcem dra Adrijana Baranieckiego, założyciela Muzeum techniczno-przemysłowego i Wyższych Kursów dla kobiet w Krakowie.

Dalej wymienić należy Kazimierza Dobrowolskiego, wychowawcą Krzemienieckiego Liceum, w którym pracował jako asystent przy katedrze fizyki. Wydział lekarski ukończył w Wilnie w r. 1829. Brał udział w wojnie tureckiej, a następnie przebywał na stanowisku lekarza powiatowego w Kamieńcu, potem zaś praktykował w Czarnym Ostrowiu i Szarogrodzie. Wreszcie nabył w pobliżu majątność i tu obchodził

50-letni jubileusz zawodu lekarskiego. Słynął nie tylko jako zdolny lekarz, lecz i jako człowiek nieposzlakowanego charakteru.

Do godnych wspomnienia wileńczyków należy także Jan Czajkowski, syn i wnuk prezydentów m. Kamieńca. Początkowo kształcił się we Lwowie, a później w Wilnie, gdzie w r. 1811 uzyskał stopień dra medycyny. Csiadłszy w Kamieńcu, używał wielkiej wziętości jako sumienny lekarz. Umarł w 1869 r., dożywszy lat 90.

Zkolei wypada wzmiankować o Danielu Spasowiczu, synu parocha unickiego, ojcu znakomitego prawnika i uczonego, Włodzimierza. Uniwersytet ukończył w Wilnie w r. 1823. Był początkowo lekarzem powiatowym w Ręczycy, następnie inspektorem służby zdrowia w Mińsku i Żytomierzu, wreszcie praktykował w Machnówce na Ukrainie. Ten wielce poważany człowiek i lekarz zakończył życie w późnym już wieku, w majątności syna, w Lemieszówce na Podolu w r. 1882.

Do ostatnich lekarzy, którzy medycynę ukończyli w Wilnie, bo w r. 1842, w roku zamknięcia ostatecznego Akademji Medyko-Chirurgicznej Wileńskiej, należał Ignacy Gołębiowski. Był on lekarzem w dobrach księcia Wittgensteina. Potem urządził w Kamionce nad Dniestrem pierwszą u nas w kraju stację winogronową i kumysową, którą przez długie lata prowadził. Wdowa po nim, ks. Giedrojciówna, którą poznałem potem na Litwie, dożyła późnego wieku.

Nie mogę też pominąć wielce popularnego i lubianego Józefa Rumszewicza w Winnicy, rodem ze Żmudzi, urodzonego w r. 1808. Studjował początkowo w Wilnie, lecz wypadki 1831 r. wpłynęły na przerwanie nauk, które ukończył na Wydziale Lekarskim w Moskwie dopiero w r. 1842. Kilka lat był lekarzem powiatowym i miejskim w Tolinie, w gub. Wołogodzkiej. Przeniósł się potem na Podole do Winnicy i tu dożył do lat 85, oddając się aż do śmierci praktyce lekarskiej. Słynął z pogodnego zawsze humoru i wyjątkowego dowcipu.

Był on ojcem znakomitego naszego okulisty dr. Konrada Rumszewicza w Kijowie.

Do wychowañców Uniwersytetu Wileńskiego należał również Piotr Gnoiński, rodem z Litwy. Stopień doktora medycyny uzyskał w Wilnie w r. 1823. Osiedliwszy się w Nowogródku, uzyskał wkrótce wielką wziętość. W r. 1831 leczył Murawjewa „Wieszatiela,” późniejszego generał-gubernatora Wileńskiego, i uratował mu życie. Murawjew, pomny na to, uwolnił go w r. 1863. W r. 1875 obchodził swój pięćdziesięcioletni jubileusz doktorski. Zmarł wkrótce potem w Nowogródku.

Będąc już lekarzem praktykującym na Ukrainie, leczyłem w domu Sylwana Bobińskiego przez lat wiele. Był to dawny student Akademii Medyko-Chirurgicznej Wileńskiej osądzony za sprawę Szymona Konarskiego. Skończywszy później medycynę w Kazaniu, zamieszkał na swej rodzinnej Ukrainie i długie lata był lekarzem dóbr państwowych w Horodyszczach. Następnie dorobił się na dzierżawach majątku. Przechowywał on do grobowej deski tradycje wileńskie.

W miejscu mego zamieszkania w Zwinogródce na Ukrainie właścicielem apteki był od lat czterdziestu farmaceuta dawnej Szkoły Wileńskiej, Adam Sawicki. Udzielił mi on pozostałych pamiątek po zmarłym przed laty w tem mieście lekarzu powiatowym Nenckim, mianowicie „Teorię jestestw organicznych” Jędrzeja Śniadeckiego, wydaną w Wilnie w r. 1804, z herbem i podpisem autora, oraz rzadki portret jego, miedzioryt wykonany w Londynie.

W Zwinogródzkiem zastałem jeszcze przy życiu Mikołaja Żuka, byłego unitę, ucznia szkół bazylijskich w Połocku, od lat prawie 50 lekarza dóbr Bużańskich hr. Potockich. Po jego śmierci nabyłem część jego biblioteki, sprzedanej żydom na makulaturę. Pomiedzy rzadkimi dziełami lekarskimi znalazłem tam kilka grubych tomów własnoręcznych łacińskich notatek Żuka z wykładów profesorów wileńskich w latach 1836—1839.

Przed laty złożyłem je w darze nowo powstałemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Złączony bliskimi węzłami rodzinnymi z Wilnem, ile tylko razy w ciągu życia wiodła mnie droga przez ruiny Aten litewskich, tylokrotnie do nich zaglądałem, z bólem serca odnawiając dawne wspomnienia czy to gmachów, z których nowożytni wandale nie zdążyli usunąć tablic erekcyjnych Stefana Batorego, czy to innych pamiątek. Ukrywała się tu przez całe stulecie ostatnia spadkobiorczyni świetnych tradycji wileńskich, mianowicie Towarzystwo Lekarskie Wileńskie, mieszczące się w małej sklepionej salce, ongiś założone przez Józefa Franka i Jędrzeja Śniadeckiego. Żywo zresztą żyła w Wilnie tradycja Uniwersytetu, który był ściśle związany z historią miasta. Któż z mieszkańców Wilna nie znał domu Śniadeckiego, w którym on przemieszkiwał, choć nigdy nie był jego właścicielem? Znanym był również dom narożny na ulicy Wielkiej, w którym we własnym mieszkaniu został w r. 1824 zabity od pioruna August Becu, ojczym Juliusza Słowackiego. Wreszcie istniała jeszcze tradycyjna kawiarnia Goreckiej na parterze ul. Świętojańskiej, miejsce zgromadzeń literackich i młodzieży uniwersyteckiej.

Wśród jednej z takich wycieczek do Wilna przed czterdziestu kilku laty, zasłużony historyk Wilna, dr. Józef Bieliński, zaprowadził mnie do ostatniej żywej kroniki Wilna, do żyjącego jeszcze wówczas dra Juliana Titiusa, który o sobie mógł skromnie powiedzieć to, co znakomity Trousseau w jednym z listów pisanych do niego: „*J'ai vecu d'une vie assez pleine et assez utile, je ne crois pas avoir fait beaucoup de mal en ce monde.*” Titius był dziecięciem Wilna, kochał je, znał jego dzieje i żył dla niego. Wilno odpłacało wdzięcznością swemu dobremu synowi. Znał go zarówno magnat z pałacu, jak nędzarz w chacie. Był to wówczas, gdym go poznał, iście kościany dziadek, lecz jeszcze wielce ruchliwy. Miał pamięć wyborną, pamiętał więc wypadki i ludzi, będąc prawdziwą

arką przymierza między nowymi a dawnymi czasy. Ten osiemdziesięcioletni starzec, zawsze starannie ubrany, miał obejście światowca. W interesującej z nim rozmowie przesuwiała się jak w kalejdoskopie przeszłość Wilna i cały szereg postaci, z którymi łączyła go przyjaźń, lub bliższe stosunki, a więc: Antoni Gorecki, Maryla Puttkamerowa, Moniuszko, Odyniec, Syrokomla, Lelewel, Jędrzej Śniadecki, Chodźko, Kirkor, Karol Lipiński, Kraszewski, Korzeniowski, Malinowski, Baliński i inne znakomości wileńskie, dalej Szafarzyk, Nélaton, Frerichs, Bamberger, Niemeyer, Pirogow, Trousseau, ks. Wiaziemskij, Tiutczew i t. d. Listy i upominki od tych wszystkich osób, pozostałe po nim, najlepiej świadczą jak powszechnie był poważany, wprowadzie nie jako uczony, gdyż nim nie był, lecz jako człowiek wybitny, choć nie szukający sławy. Syrokomla w r. 1853, wyleczony przez Titiusa i Juljana Moszyńskiego z zapalenia płuc, napisał do nich:

„Co sercem bratniem, ręką łaskawą
Piersiom Łazarza daliście zdrowie,
Do mego życia wy macie prawo,
Cni Juljanowie.“

Titius pochodził ze starożytnego rodu saskiego. Przodkowie jego przenieśli się na Litwę za Augusta II. Dziad Juljana przyczynił się niemało do podniesienia w Wilnie Towarzystwa Dobroczynności, instytucji, w której tak chlubną rolę odegrał wnuk. W liczbie przodków Titiusa było kilku znanych w świecie uczonych, jak sławny za Sobieskiego rektor Gimnazjum Gdańskiego Jan Piotr, oraz rektor Uniwersytetu Lipskiego Gottlieb Titius (1667—1714). Juljan urodził się w Wilnie w r. 1820, uczył się w sławnej szkole powiatowej O. O. Bazylianów, w której kształciła się na Litwie i Rusi znaczna część naszych wybitnych mężów. Nauki lekarskie przeszedł w Akademii Medyko-Chirurgicznej, którą ukończył w r. 1840. Był ulubionym uczniem Bielikiewicza, Jędrzeja Śniadeckiego, Józefa Miano-

wskiego, Feliksa Rymkiewicza, Porcjanki, Korzeniowskiego, Fonberga i innych. Z niektórymi z nich zawarł dożgonną przyjaźń. Przez kolegów Titius był lubiany za swą uczynność, brak zawiści, skromność i prawość.¹⁾ Uniwersytet głęboko wpoił w nim poczucie obowiązków względem nauki, publiczności i kolegów. Te zasady święcie przechował przez całe życie i przekazał młodszym kolegom. Po skończeniu medycyny, młody bo 20-letni Juljan, zamożny, pełen energii, współ z prof. Feliksem Rymkiewiczem udał się na studia lekarskie zagranicę, gdzie z zamiłowaniem oddawał się także sztuce. Po powrocie do Wilna zyskuje nie tylko obszerną praktykę, lecz i rozległe stosunki, które wyzyskuje na korzyść licznych swych protegowanych i szerokiej działalności filantropijnej, jaką rozwinął w Wileńskim Towarzystwie Dobroczynności i w prywatnem kole nędzy wyjątkowej. Titius nie zostawił większego dzieła ani naukowego, ani literackiego. Pisywał zwykle bezimiennie lub tylko inicjałami podpisywał swoje artykuły, drukowane czy to w miejscowych gazetach, czy to w Petersburskim „Kraju.“ W artykułach tych zabierał głos w sprawach społecznych, lekarskich, lub literackich. Wrodzona skromność jego i prawość charakteru były cechami podnoszonemi niejednokrotnie przez kolegów lekarzy, widzących w Titiusie ostatniego przedstawiciela świetnych czasów i tradycyj Uniwersytetu i Akademji Wileńskiej. Był on ostatniem ogniwem, łączącym Wileńskie Towarzystwo Lekarskie z Uniwersytetem, który je do życia powołał. To też Towarzystwo rzeczono korzystało z każdej sposobności, ażeby Titiusowi hołd złożyć. W pięćdziesiątą rocznicę pracy jego w Towarzystwie Lekarskiem obrano go na dożywotniego prezesa honorowego; a kiedy zakończył swój żywot dobrze zasłużony, czterech członków Towarzystwa, zmieniając się co godzinę,

¹⁾ Szczegóły o życiu i zasługach dra Juljana Titiusa zaczerpnąłem z interesującego pośmiertnego wspomnienia o nim znanego miłośnika Wilna dra Wład. Zahorskiego. („Krytyka Lekarska“ 1898 r.)

aż do eksportacji pełniło przy zwłokach straż honorową i zaniosło trumnę na miejsce wiecznego spoczynku. Najwyższą dla niego nagrodą, jak to mawiał za życia, była łza wdzięczności ubogiego.

W niektórych rodzinach, których członkowie kształcili się w Uniwersytecie Wileńskim lub w Akademii Medyko-Chirurgicznej Wileńskiej, zawód lekarski stawał się jakby dziedzicznym, jak n. p. w rodzinie Kowalskich na Litwie, Knothów na Podolu, lub Kaczkowskich na Wołyniu. Z ostatnich szczególnie czynnym był na rozmaitych polach Karol Kaczkowski. Będąc studentem w Wilnie, bierze czynny udział w Towarzystwie Szubrawców. Po skończeniu Uniwersytetu praktykuje jako lekarz w Krzemieńcu i wykłada tam higienę. Następnie, powołany na katedrę terapii w Warszawie, zostaje w r. 1831 naczelnym lekarzem armii polskiej. Potem zamieszkuje we Włodzimierzu Wołyńskim, od r. 1842 jest kuratorem gimnazjum w Żytomierzu, gdzie zakłada księgarnię, wreszcie w r. 1863 zesłany, tuła się po Rosji i kończy żywot w r. 1867 w Chersoniu.

Wielu lekarzy, pochodzących z Rusi, wyróżniało się wykształceniem ogólnym i przyrodniczym, gdyż przed wstąpieniem na wydział lekarski sporo z nich ukończyło było wyborne Liceum Krzemienieckie. Szkoda, że nikt w swoim czasie nie zebrał wiadomości o wszystkich wileńczykach, którzy praktykowali na Litwie i Rusi. Dane, zawarte w „Słowniku lekarzów polskich“ Koźmińskiego, albo w pracach Giedroycia, lub nawet Bielińskiego, są niepełne i niedostateczne. Zebrać całą spuściznę po lekarzach wileńskich powinno być obowiązkiem starszego pokolenia lekarzy, gdyż z ich śmiercią tradycja o wileńczykach zupełnie zaginie.

Do najznakomitszych lekarzy wileńskich, jakich Polska dała Ruś, należą: Józef Mianowski i Seweryn Gałęzowski. Obaj prawie rówieśnicy, razem uczyli się w szkołach bazylijskich w Humaniu, skąd wynieśli wysokie poczucie obywatelskie

i przywiązanie do kraju. Józef Mianowski (1804–1879) promowany na doktora medycyny w r. 1828 w Wilnie, zostaje asystentem przy Jędrzeju Śniadeckim. Na tem stanowisku przebył on do r. 1837, jednocześnie wykładając fizjologję. Następnie dla dalszego kształcenia się został wysłany zagranicę, a po powrocie w r. 1839 mianowany profesorem adjuntem kliniki lekarskiej, a w r. 1840 profesorem zwyczajnym fizjologii. W styczniu r. 1842 powołany do Petersburga na katedrę fizjologii, jednocześnie otrzymał nominację na naczelnego lekarza szpitala wojskowego. Przebył tam lat 18, zajmując stanowiska bardzo poważne. Jako lekarz był bardzo poszukiwany; miał dochody tak znaczne, jak nikt ani przed nim, ani po nim z lekarzy petersburskich. Wielkie powodzenie w praktyce zawdzięczał może po części temu, że był Polakiem, a wówczas była w Rosji, do pewnego stopnia, moda leczenia się u lekarzy Polaków. Leczył najbogatszą arystokrację i plutokrację rosyjską. Pieniądzy nie cenił i hojnie niemi szafował; jedną ręką przyjmował, a drugą rozdawał. Udzielał niezamężnym studentom Polakom zapomóg, urządził dla nich bibliotekę, wspierał ubogich i potrzebujących. Wogóle był nadzwyczaj wyrozumiałym dla ludzi i czułym na wszelkie ich cierpienia i dolegliwości. Takim go również poznała Warszawa jako rektora Szkoły Głównej. Dlatego był wszędzie ulubieńcem młodzieży. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem w r. 1869 do Petersburga, żywe były jeszcze wspomnienia o Mianowskim. Miał on i wpływy w sferach dworskich i zużytkowywał je na korzyść swych ziomków. Czaś jakiś był nawet ulubieńcem carów Mikołaja I i Aleksandra II i bywał wtajemniczany w pałacowe rodzinne stosunki.¹⁾ Mianowski, dosłużywszy się

¹⁾ Na oziębienie stosunków z dworem, jak mówiono, wpłynęła choroba i śmierć ks. Leuchtenberskiego Maksymiljana Beauharnais, którego Mianowski leczył. Był on wnukiem cesarzowej Józefiny i pasierbem Napoleona I żonatym z córką Mikołaja I Marją, późniejszą hr. Strogonową. Cesarz Mikołaj

emerytury w r. 1861, opuścił Petersburg i przeniósł się do Włoch, lecz nie sądzonym mu był odpoczynek. Wezwany przez Wielopolskiego do organizacji Szkoły Głównej Warszawskiej, na stanowisku rektora położył niezapomniane zasługi. Zmarły w Krakowie ks. Pawlicki, ostatnio profesor Uniw. Jagiellońskiego, w młodości docent Szkoły Głównej, nieraz opowiadał, że, spotkawszy ostatni raz Mianowskiego, już po zwinięciu Szkoły Głównej, w Rzymie w smutnym nastroju, pocieszał go, że wróci ponownie do kraju. Na co ten odparł z boleścią: „pan jako profesor wrócić jeszcze możesz, lecz ja jako rektor już nigdy.“ Wdzięczna potomność, pragnąc uczcić działalność społeczno-naukową Mianowskiego, założyła Kasę jego imienia dla ludzi pracujących na polu nauki. Była ona przez czas długi jedyną instytucją, podtrzymującą ruch umysłowy w Kongresówce.

Zasłużonym kolegą Mianowskiego był Seweryn Gałęzowski (1801—1878). Po otrzymaniu doktoratu w Wilnie w r. 1825, wkrótce został mianowany tamże profesorem chirurgji. W r. 1828 wyjechał jako stypendysta Uniwersytetu zagranicę. W czasie powstania 1830—1831 niósł pomoc rannym, następnie opuścił kraj jako emigrant. W r. 1834 udał się do Ameryki południowej i zyskał tam wielkie uznanie jako lekarz. Po 14-letnim pobycie wraca do Europy, osiada w Paryżu, gdzie wkrótce zasłynął jako znakomity chirurg, co mu zapewniło byt niezależny i dało możność hojnie łożyć na oświatę i cele narodowe. Był on jednym z fundatorów szkoły polskiej Batignolskiej. W r. 1876, mieszkając w Paryżu, odwiedzałem ówczesnego patriarchę kolonji polskiej. Był on

nie spełnił zobowiązań zawartych w intercyzie przedślubnej, co było powodem do wielkich nieporozumień z zięciem. Kiedy Beauharnais ciężko zaniemógł, chciano wymóc na nim dokonanie pewnych aktów spadkowych na rzecz dzieci, od czego się wymawiał i niespodzianie nagle życie zakończył, wbrew przewidywaniom lekarzy.

już złożony ciężką niemocą, z której się nie podniósł. Było to ropne zapalenie opłucny. Przypominam sobie, że wówczas u chorego zastosowywał prof. Dieulafoy swój nowy aspirator. Schorzały starzec interesował się jeszcze wtedy wszystkim, wspominał błogie chwile dzieciństwa, zapytując mnie czy istnieje jeszcze w Humaniu na placu naprzeciw kościoła tradycyjna studnia, którą z dzieciństwa pamięta, z nagromadzonemi kośćmi z czasów rzezi humańskiej. Nie przeczuwał, że druga hajdamaczyna, w większych znacznie rozmiarach, powtórzy się w wieku XX. Umierając przekazał cały swój majątek na cele narodowe.

Mogliśmy wymienić tu zaledwie niektóre nazwiska, które dowodzą, że Uniwersytet Wileński nie był instytucją naukową w sobie zasklepioną, lecz organicznie zrośniętą ze społeczeństwem, tętniącą życiem i zaszczepiającą w swych wychowanców nie tylko wiedzę, lecz i zasady, które na długo przeżyły dawny Uniwersytet. Jeżeli obecnie nauką przewyższyliśmy może wileńczyków, to natomiast stanęliśmy znacznie niżej od nich w pojęciach etycznych, które stosowali oni i w praktyce lekarskiej, i w swej działalności społeczno-narodowej.



II.

WŁADYSŁAW SZUMOWSKI.

NAJBLIŻSZE ZADANIA FILOZOFJI MEDYCyny.

(RZECZ WYGŁOSZONA 14 LIPCA 1925 R. W WARSZAWIE NA II ZJEŹDZIE
POLSKICH HISTORYKÓW MEDYCyny, BĘDĄCYM ZARAZEM SEKCJĄ
HISTORJI I FILOZOFJI MEDYCyny XII ZJAZDU
LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH.)

Już mija kilka lat, jak na mój wniosek, poparty przez ówczesnego szefa sekcji prof. Wrzoska, została do historii medycyny przyłączona nauka lekarska, również, jak i historia medycyny, o zabarwieniu humanistycznym, mianowicie, filozofia medycyny. Nie ulega wątpliwości, że termin „filozofia medycyny“ do tej pory jeszcze razi nieco uszy wielu osób, zwłaszcza nie lubiących filozofji. Przeciwnicy tej nauki z samego terminu wyprowadzają wnioski, czem ta nauka musi się zajmować, i usiłują wykazać, że droga filozoficzna w medycynie jest niebezpieczna. W rzeczywistości ta nauka powstała zupełnie inaczej. Nowe nauki powstają wtedy, gdy w starych naukach powstają nowe tematy, które w sposób naturalny łączą się w jednolitą całość i wyraźnie oddzielają się od pnia macierzystego. Filozofia medycyny tym sposobem jest w Polsce dzieckiem kliniki, wywodzi się bowiem z nauki o wskazaniach lekarskich Chałubińskiego i z „Diagnostyki różniczkowej chorób wewnętrznych“ Biegańskiego,

Prace, zajmujące się tematami filozoficzno-medycznymi, do tej pory zaliczano albo do kliniki chorób wewnętrznych, albo do patologii ogólnej, czasem do fizjologii, czasem do historii medycyny, a niekiedy znajdujemy te prace w katalogach w rubrykach „Varia“. Wskutek nieuporządkowania i małego wyrobienia przedmiotu filozofja medycyny aż nadto często grzeszy tem, że jest uprawiana po literacku i po dyletancku. To też był wielki czas, żeby raz pomyśleć o wprowadzeniu tutaj ładu. Pierwszym krokiem musiało być wprowadzenie wspólnej nazwy dla wszystkich prac, zajmujących się tematami filozoficzno-medycznymi. Nazywamy tę naukę „filozofją medycyny“. Przeciwnikom tej nazwy odpowiadam, że jeżeli ich ten termin razi, to niech zaproponują lepszy. Nie o nazwę bowiem chodzi, ale o połączenie w jedną całość wszystkich tematów filozoficznych, które się nasuwają w medycynie, a które w sposób jednolity tworzą osobną naukę. Zamiast terminu „filozofia medycyny“ używam obecnie także określenia „zagadnienia filozoficzno-krytyczne, które się nasuwają w medycynie i w jej historii“, żeby nie nasuwać obaw i nieporozumień. Takie określenie jest jasne, ale, oczywiście, nie może się stać nazwą nauki, która musi być krótka.

Za pośrednictwem sprawozdań w piśmiennictwie niemieckim i francuskim przyłączenie filozofji medycyny do historii medycyny w Polsce znalazło oddźwięk i zagranicą. Czytamy obecnie, że dr. Cumston w Genewie podpisuje się na pracach „Privat-docent d'histoire de la médecine et de philosophie médicale“, a dr. Richard Koch we Frakfurcie n. M. podpisuje się „Privatdozent für die Geschichte und die philosophischen Grundlagen der Medizin“. Znać i w tych nazwach pewne trudności i pewną chwiejność terminologiczną tak samo, jak i u nas. W każdym razie wskazaliśmy i weszliśmy na drogę niewątpliwie dobrą.

Nie można jednak powiedzieć, żeby od czasu, jak filozofja medycyny w Polsce stała się przedmiotem uniwersyteckim, ruch

na tem polu w Polsce szczególnie się rozwijał. Można by przypuszczać, że profesorowie tego przedmiotu nabierają u nas niejako rozmachu i niebawem wystąpią ze zdwojoną działalnością. Tymczasem jednak praca na nowem polu rozwija się wcale nieźle w Niemczech. W ostatnich latach internista Georg Honigmann w Giessen i historyk medycyny Richard Koch we Frankfurcie n. Menem ogłosili kilka monografij, niektóre nawet w paru wydaniach, świadczących o żywym zainteresowaniu lekarzy niemieckich filozofją medycyny. Niemcy mają także „Medizinische Logik“ Biegańskiego i czytają ją, ale — pobieżnie.

Najbliższem zadaniem filozofji medycyny jest systematyczne opracowanie należących tutaj zagadnień w formie przystępnej, podręcznikowej. Część tych zagadnień, należąca do metodologii nauk przyrodniczych wogóle, a lekarskich w szczególności, powinna być ujęta w kursie „Logiki dla medyków“. Poza tem istnieje cały szereg zagadnień filozoficznych w medycynie, które można by ująć osobno, jako kurs „filozofji medycyny“. Wymieńmy najważniejsze z tych tematów:

Tutaj należą zagadnienia, kiedy medycyna jest nauką, a kiedy sztuką; co należy rozumieć pod intuicją lekarską; tu powinna być omówiona rola czynników logicznych i intuicyjnych przy stawianiu diagnozy; problem empiryzmu i racjonalizmu w medycynie; dalej, dogmatyzm, sceptycyzm i nihilizm lekarski; tutaj należy także żywo zawsze lekarzy obchodzący spór filozoficzno-biologiczny witalistów z mechanistami; dalej, powinien być omówiony wpływ medycyny na krzewienie materializmu, łącznie z tem podstawy filozoficzne etyki lekarskiej; nie należy pomijać omówienia sympatycznej ortobiozy Miecznikowa; tutaj należy też omówienie pojęć normy, zdrowia i choroby oraz w związku z tem sprawa klasyfikacji chorób. Nie jest moim zamiarem wyliczanie wszystkich tematów, jakie filozofja medycyny powinna uporządkować i wymieniam tylko

najważniejsze. Zadaniem jej powinno być systematyczne omówienie wszystkich bez wyjątku zagadnień o zabarwieniu filozoficznym, jakie się tylko w medycynie nasuwają. Pokaże się wtedy, że przeważna część tych tematów jest albo narówni filozoficzna, jak historyczna, albo w każdym razie bardzo bliska historii medycyny, z czego wynika, że połączenie filozofii medycyny z historią medycyny jest najzupełniej usprawiedliwione. Obie nauki mają wspólny cel: humanistyczne oświećlanie medycyny, a trzeba się z tem liczyć, że drugiej placówki humanistycznej na wydziałach lekarskich z pewnością tak prędko nie będzie.¹⁾

¹⁾ Zapewne dr. Chmielewski po rozważeniu powyższych wywodów nie będzie miał więcej obaw, że filozofia medycyny może się przyczynić do „bujania“ (por. Arch. hist. i fil. med. T. III, str. 303). „Bujanie“ było póty, póki tematy filozoficzne były w medycynie uprawiane dorywczo, przysgodnie, bez metody, bez znajomości piśmiennictwa i bez uwzględniania tego, co już jest dawno ustalone. Tam, gdzie się zaczyna naukowe, systematyczne uprawianie jakiejś dziedziny, tam się oczywiście kończy wszelkie „bujanie“.

Termin „teoria poznania lekarskiego“, proponowany przez dra Chmielewskiego, jest zbyt ciasny, żeby mógł zastąpić ogólniejszy termin „filozofia medycyny“. Wszak n. p. zagadnienia etyki lekarskiej nie dałyby się żadną miarą objąć terminem „teoria poznania lekarskiego“.

Zarzuty, podnoszone przez dra Chmielewskiego przeciwko filozofii wogóle, np. że filozofia nie jest nauką, polegają na nieporozumieniu. Gdyby filozofia nie była nauką, nie byłaby reprezentowana przez tyle katedr na kuli ziemskiej. Gdyby nie była nauką, nie byłaby też podstawą wszystkich nauk tak, jak nią zawsze była, jest i będzie.

HENRYK NUSBAUM.

MEDYCYNĄ JAKO NAUKĄ STOSOWANĄ.

Medycyna jest nauką czystą, nauką stosowaną i sztuką. Medycyna jako nauka czysta jest integralną częścią biologji, i w tej olbrzymiej dziedzinie poznawania ludzkiego trudno wydzielić dla medycyny specjalne cechy, któreby oddzielnie z jakiegoś punktu ogólnego można rozpatrywać. Fizjologia w najogólniejszym jej pojęciu, t. j. wliczając pracujące dla niej: patologję, bakterjologję, farmakologję i serologję — wypełnia kontury medycyny jako nauki czystej. Przedstawiliśmy w poprzednich rozdziałach najogólniej dziejowy rozwój poznawania zjawiska życia, życia prawidłowego, oraz wytrąconego poza granice przeciętnej normalnej swej szerokości, czyli zjawiska choroby. Specjalnie przeto nad medycyną, jako nauką czystą, zastanawiać się tu nie możemy — nie piszemy bowiem filozofji biologji, ale filozofję medycyny. Zastanowimy się przeto li nad medycyną jako nauką stosowaną, oraz nad medycyną jako sztuką.

Pierwszym, naturalnie, bodźcem narodzin medycyny była potrzeba realna, pragnienie wybawienia się od cierpień i niedomagań fizycznych, pragnienie możliwego odraczenia konieczności śmierci. I była też naprzód medycyna li sztuką, której niedoskonałość jednak pobudzała geniusz ludzki do wytężania usiłowań w kierunku poznawania szeregu zjawisk, których poznanie podnieśćby zdołało sztuki tej sprawność —

i stała się medycyna nauką stosowaną. Zjawiska wszakże, które medycyna jako nauka stosowana badać musiała dla osiągnięcia możliwie wielkiej sprawności swej jako sztuki, były tego rodzaju, że wzniosła się ona z biegiem czasu do godności nauki czystej i to pierwszorzędnej doniosłości, albowiem stała się pierwszorzędnym czynnikiem rozwoju biologji, a więc nauki, dążącej do zgłębienia poznaniem swoim najpotężniejszego na globie ziemskim zjawiska — zjawiska życia. A dlatego tak pierwszorzędne w biologji zajęła stanowisko medycyna, że: po pierwsze, zajęła się badaniem najdonioślejszego i najpełniejszego przejawu życia na ziemi, bo życia ludzkiego, a w życiu ludzkim występują nie tylko w najbardziej bogatych formach czynniki fizykochemiczne, stanowiące istotę zjawiska życia, ale pojawia się tu w nagłym, niemal potężnym wzroście najwyższy, najbardziej tajemniczy przejaw życia, mianowicie: wrażliwość świadoma, sąd i postanowienie czynu; po wtóre, przedmiotem swoistym nauki medycyny są zjawiska życiowe, które najogólniej objąć można pojęciem choroby; procesy zaś chorobowe, przez jednostronne podnoszenie się lub zamieranie poszczególnych czynności życiowych, uwydatniają wzajemną ich od siebie zależność, oraz związki warunków zewnętrznych z czynnościami życiowymi, a więc zależność procesów życiowych od czynników zewnętrznych, pogłębiając tym sposobem poznanie zjawiska życia. Zaznaczyć tu wreszcie należy, że ze względu na wielce doniosły wpływ chorobotwórczy najniższych form życiowych t. j. świata drobnoustrojów oraz poznanie zależności tej przez badania medycyny, zawdzięcza biologja medycynie zapoczątkowanie i rozwój poznawania mechanizmu życia najniższych życia przejawów t. j. życia bakteryj i doniosłego ich wpływu na całokształt życia roślinnego i zwierzęcego. Tak tedy medycyna, w imię dobra cierpiącej ludzkości, stawszy się świadomie nauką stosowaną, zdążającą do

spotęgowania sprawności sztuki lekarskiej — zrazu nieświadomie, a potem z pełnią świadomości, wzniosła się na wyżyny nauki czystej. Rzecz prosta, że medycyna i przy dążeniach swych czysto naukowych jest często bezwiednie nauką stosowaną, gdyż zdobycze jej czysto naukowe powiększają nierzadko sprawność medycyny — sztuki; z drugiej strony, jak poniżej obaczymy, dziedzina medycyny jako nauki stosowanej wkracza w granice nauki czystej.

Farmakologia (farmakon po grecku lekarstwo), jakkolwiek nosi nazwę opartą na zadaniach, jakie dawniej wyłącznie jej wyznaczano, mianowicie: poznawania leczniczego wpływu na organizm rozmaitych substancji — stała się czasem ważną gałęzią nauki czystej — fizjologii. Jest wszakże farmakologia tak często kierowaną świadomie ku umiejętności leczenia, że jest ona istotnie razem nauką czystą i stosowaną. Wybitny natomiast charakter nauki stosowanej cechuje naukę toksykologii, czyli naukę o działaniu trucizn, albowiem gdy nowoczesna farmakologia bada wpływ rozlicznych substancji na czynności organizmu przede wszystkim z punktu widzenia nauki o życiu, toksykologia bada silniej działające na ustrój substancje z punktu widzenia praktycznego, zarówno w sprawie rozpoznania przyjętej trucizny z przejawów chorobowych organizmu, jak w sprawie szkodliwego działania substancji w danych warunkach pracy ludzkiej. Zadanie toksykologii rozpoznawania objawów chorobowych, zdradzających wpływ na ustrój poszczególnych trucizn, oraz uzasadnianie odpowiednich metod i zabiegów leczniczych czyni z niej naukę stosowaną, a nadaje jej jeszcze bardziej tę cechę udział jej doniosły w zadaniach medycyny sądowej, która również należy wyłącznie do rzędu nauk stosowanych. Dla ilustracji tylko co wypowiedzianego przytoczymy przykład następujący: dla otrzymania najmniejszych dawek atropiny z mas organicznych, toksykologia, na mocy bardzo pilnych badań naukowych,

doszła do następujących wskazań: należy podejrzone masy organiczne przez kilka godzin wytrawiać rozcieńczonym kwasem siarczanym, otrzymany wyciąg zobojętnić, ale nie doszczętnie, przez dodanie magnezji, płyn ten odparować, a pozostałość przez czas dłuższy wytrawiać alkoholem z domieszką kwasu siarczanego, następnie odfiltrować, alkohol oddestylować, dodać amoniaku i skłócić z alkoholem amyłowym, dodać zakwaszonej wody, płyn odparować, a pozostałość wprowadzić do eteru, a jeszcze lepiej do chloroformu — po którego ulotnieniu się wystąpi atropina w postaci ziarenek. Jest to na ściśle naukowych wskazaniach oparte poznawanie pewnego zjawiska, ale bynajmniej nie wzbogacające nauki czystej. Chemja, natomiast, jako nauka czysta, odnajduje w mowie będące ciało w roślinie *Atropa belladonna*, stwierdza jego skład i swoiste własności chemiczne, określa je jako alkaloid, wzbogaca tedy dziedzinę wiedzy poznaniem nowego ciała, nowego alkaloidu, któremu daje nazwę atropiny. Fizjologja, w dziale swoim farmakologicznym, poznaje na drodze doświadczalnej wpływ atropiny na organizm, a stosując ją naprzemian lub współcześnie z innymi alkaloidami, pogłębia poznanie mechanizmu działalności układu nerwowego, gruczołowego, naczyniowego — słowem, pogłębia poznanie mechanizmu życia; toksykologja natomiast, bardzo umiejętnie, niewątpliwie, stosuje owoce wiedzy czystej do celów praktycznych. Farmakologja w pewnym dziale swych badań wspiera li sztukę leczenia, jest więc tu nauką stosowaną, toksykologja natomiast jest przede wszystkim, wyłącznie nieomal, nauką stosowaną, naprzód, gdy pracuje dla leczenia t. j. gdy chodzi jej o poznawanie środków, zapobiegających szkodliwym wpływom trucizn na ustrój lub paraliżujących te wpływy, po wtóre, i tu w pełni, jest nauką stosowaną, gdy pracuje dla zadań t. z. medycyny sądowej.

Medycyna sądowa ani ma przed sobą jakiekolwiek zadanie naukowego poznania t. j. rozszerzania zakresu

wiedzy ludzkiej, więc nie jest nauką czystą, ani ma za cel wzbogacanie w jakiejkolwiek mierze sprawności leczniczej medycyny, nie należy przeto do dziedziny medycyny jako nauki stosowanej w ściślejszym znaczeniu. Samo się przez się rozumie, że nic wspólnego nie ma i z lecznictwem czyli z medycyną jako sztuką. Medycyna sądowa jest tedy raczej nauką stosowaną w dziedzinie nauki prawa, niemniej przynosi zaszczyt nauce lekarskiej, gdy dzięki zasobom swego poznania podtrzymuje dzielnie urzeczywistnianie jednego z najpodnioslejszych ideałów życia ludzkiego, mianowicie: ideału sprawiedliwości. Na danych fizjologii i farmakologii, toksykologii i patologji, a w dziedzinie ostatniej, na danych psychjatrii oparta — umożliwia medycyna sądowa sprawiedliwości rozstrzyganie o spełnionej lub niespełnionej zbrodni oraz o jej stopniu.

Godzi się tu zaznaczyć nawiasowo, że od pojęcia nauki czystej i nauki stosowanej odróżnić należy pojęcie nauki, która synonimem jest raczej pojęcia nauczania, to jest niejako techniki rozpowszechniania owoców nauki czystej lub stosowanej; w tem pojęciu istnieje i nauka sztuki. Cała nauka medycyny, wykładana dla studentów wydziałów lekarskich — biorąc pod uwagę li bezpośrednio praktyczne, społeczne zadanie tych wydziałów — nie jest ani nauką czystą, ani stosowaną, ale jest nauczaniem, rozpowszechnianiem zdobyty obojga.

Medycyna jako nauka czysta pośrednio, jako zaś nauka stosowana bezpośrednio przynosi jako owoc sztukę leczenia. Ale sztukę leczenia chorób w najściślejszym znaczeniu, odróżnić należy od sztuki rozpoznawania form chorobowych. Tak jak owocem badań naukowych w dziedzinie medycyny jest sztuka leczenia, tak również, nieodłączny warunek sprawności lecznictwa, mianowicie sztuka rozpoznawania procesów chorobowych, opie-

rać się musi na specjalnie ku temu celowi zwróconych badaniach naukowych medycyny jako nauki stosowanej, na uzasadnionych wskazaniach diagnostyki.

Umiejętne i pracowite obserwacje i doświadczenia Auenbruggera w w. XVIII, oraz późniejsze Corvisart'a, Laënnec'a, Piórzy'ego, Forbes'a, Stokes'a w pierwszej połowie w. XIX, stworzyły dla sztuki lekarskiej olbrzymiej doniosłości metody rozpoznawania chorób, mianowicie: auskultację i perkusję.

Doniosłą pomoc w rozpoznawaniu procesów chorobowych przyniosła chemia, stwarzając metody rozpoznawania składu chemicznego wydzielin organizmu. W tym kierunku wspomagały diagnostykę z jednej strony chemia fizjologiczna jako nauka czysta, z drugiej — poszukiwania patologów w dziedzinie nauki stosowanej, metod względnie łatwych do wykonywania przez odpowiednich specjalistów lekarzy, a nawet bezpośrednio przez klinicystów lub lekarzy praktyków. Obok badań chemicznych ważną metodą rozpoznawczą stały się badania drobnowidowe, dotyczące składników morfologicznych wydzielin, krwi, płynów surowiczych, cząstek tkanek. Tu przynależą również badania olbrzymiej doniosłości najnowszej dziedziny naukowej medycyny, mianowicie fizjologii drobnoustrojów, w której to jednak dziedzinie badań najściślej z sobą się łączą i medycyna jako nauka czysta i jako wiedza stosowana, przynosząca owoce i diagnostycę, i higienę, i terapię. Do sprawy badań, dotyczących świata drobnoustrojów, na chwilę jeszcze powrócimy na końcu niniejszego rozdziału.

Poza doniosłej wagi postępami fizykalnych metod diagnostyki lekarskiej, które polegają na zjawiskach dźwiękowych (auskultacja, perkusja), potężny krok naprzód uczyniła diagnostyka lekarska dzięki doniosłemu odkryciu, dokonanemu w ostatnich latach w. XIX-go w dziedzinie fizyki, nowych promieni świetlnych, powstających przy wyładowywaniu w próżnię

prądów elektrycznych z cewki Ruhmkorffa, powstających przy k a t o d z i e, które to promienie świetlne posiadają nieprzewidywaną dotąd w nauce własność przenikania ciał, nieprzeźroczystych dla promieni światła, pochodzących ze wszystkich innych znanych dotąd źródeł. Nowo te odkryte promienie X, nazwane od odkrywcy ich promieniami R o e n t g e n a, nie są na szczęście absolutnie wobec wszystkich ciał jednakowo przenikliwe, ale stopniowo słabiej wobec ciał o większym skupieniu drobinek; ta to własność nadaje im pierwszorzędnej doniosłości wartość praktyczną — umożliwia bowiem wzrokowi naszemu spostrzeganie konturów ciał, konsystencji bardziej zbitej, poza zasłonami w zwykłych warunkach absolutnie nieprzeźroczystymi. Odkrycie promieni Roentgena i bliższe ich naukowe opracowanie — zasługa to dziedziny wiedzy ludzkiej, która się zwie fizyką. Ależ my tu mówimy o dziedzinie medycyny jako nauki stosowanej. Otóż dzięki analitycznej i twórczej pracy już nie fizyków, ale lekarzy na tem polu, zdołano wysoce umiejętnie zastosować własność promieni Roentgenowskich do celów diagnostycznych — zdołano uprzyściplnić wzrokowi zmiany chorobowe w narządach wewnętrznych za słabo, nieprzeźroczystych lub nadto przeźroczystych, a to przez wprowadzenie do jam ciała międzynarządowych lub do wnętrza narządów — substancyj, tak zwanych k o n t r a s t o w y c h, które, albo jako bardziej przeźroczyste, niż dane narządy, uwydatniają wyraźnie ich kontury, albo jako wcale dla promieni Roentgena nieprzenikliwe, wprowadzone w formie gęstych zawiesin do wnętrza jam błoniastych, których ściany zupełnie są przeźroczyste, przyjmują kształt wnętrza tych jam i ujawniają również patologiczne w ich całości kształcie zmiany. Nawet zdołano zastosować zdjęcia kinematograficzne dla uwydatnienia na filmach zmienionych chorobliwie ruchów niektórych narządów. Słowem, dzięki współpracy lekarzy w dziedzinie medycyny, jako nauki stosowanej,

z pracownikami w dziedzinie fizyki, sprawność diagnostyki lekarskiej w ostatnim lat szeregu wzniosła się do wyżyn, o których medycyna do niedawna nawet marzyć nie mogła. Ale razem jeszcze jeden rzut naprzód zdobyty został dla ludzkości cierpiącej — medycyna, jako nauka stosowana wykazała, iż promienie Roentgena wywierają wpływ doniosły na czynności życiowe tkanek i odpowiednio stosowane stanowią mogą doniosły czynnik *l e c z n i c z y*.

Pomijamy już tu prace medycyny jako nauki stosowanej na innych terenach, związanych ściśle z dziedziną czystej fizyki. Napomknąć wszakże wypada o współpracy medycyny w dziedzinie chemjo - fizyki. Mamy na myśli nie mniej znamienne odkrycie przez chemika Curie i małżonkę jego, z domu Skłodowską, pierwiastku *r a d u*, które to odkrycie rzuciło potężny promień światła na budowę materji i stwierdziło, że nie jest śmierć wyłączną, istotową cechą zjawiska zwanego *ż y c i e m*, że i tak zwana materja martwa, że składające ją osobniki — atomy, ulegają rozkładowi, umierają. Współpraca medycyny jako nauki stosowanej w dziedzinie badań własności tych, w promieniach w przestrzeń ulatujących drobin szczątkowych *radu*, wykazała wpływ ich swoisty na napotykanie na ich drodze tkanki istot żyjących i stwierdziła wpływ ich leczniczy dla pewnych zbroceń chorobowych, wzbogacając tym sposobem sprawność medycyny jako sztuki.

Zadaniem sztuki lekarskiej jest, jak później bliżej rozważymy, leczyć choroby i zapobiegać ich powstawaniu. Ostatnie zadanie odnosi się do poszczególnych osobników jak i do całych ludzkich gromad — w pierwszym razie stanowi przedmiot troski *h i g j e n y i n d y w i d u a l n e j*, w drugim — *h i g j e n y p u b l i c z n e j*. Sztuka lekarska, bardziej ściśle się wiąże z higieną indywidualną. Poza walką tedy bezpośrednią z cierpieniem lub niedołęstwem, którym uległ organizm ludzki, innem realnem zadaniem medycyny jest: zachowywanie dziel-

ności i sprawności organizmu, słowem, stałej pełni zdrowia, co osiągnięciem być może przez stwarzanie warunków sprzyjających rozwojowi i trwałości ustroju oraz przez zwalczanie skuteczne czynników chorobotwórczych, występujących samodzielnie w przyrodzie lub wytwarzanych przez człowieka. Bezpośrednie wykonawstwo wskazań higieny publicznej, w prze-ważnej części przestaje być zadaniem świata lekarskiego — a raczej rozkłada się pomiędzy rozliczne czynniki społeczne i państwowe, urzeczywistnia się przez odpowiednie prawodawstwo oraz powoływanie do życia instytucyj, w których wykonawcami są: inżynierowie, budowniczowie, technicy, gimnastycy — instytucje te wszakże celowość swą zawdzięczają swoistym badaniom medycyny, które stanowią przedmiot nauki higieny.

Podobnie jak medycyna, tak też i gałąź jej higiena należą do najstarszych dziedzin pracy geniuszu ludzkiego. Higiena jednak niewątpliwie jest młodszą, gdyż jak w życiu jednostki tak w życiu rodzaju ludzkiego zjawia się naprzód odruch obronny wobec napotkanej przeciwności, później dopiero, w okresie zwiększonej dojrzałości umysłowej, zjawia się dążność do zapobiegania przeciwnościom, jeszcze później świadoma dążność do wzmagania swej dzielności. Medycyna lecząca, od kolebki swojej, przez długie wieki łączyła się z mistycznym i przesądem na tle religijnem. W rozkwicie dopiero kultury greckiej i rzymskiej poczęła być sztuką niedołączną, opartą na najgrubszym, bezkrytycznym empirycznie — nieco później naprawdę celowo nauką stosowaną; powiadamy celowo stosowaną a li ubocznie i nauką czystą; mamy tu na myśli naj-pierwsze sekcje zwłok ludzkich i poznawanie pierwszych zgłoszek zjawiska życia. O wiele później, w rozwoju dziejowym ludzkości, niż sztuka leczenia, zaczęła umysł ludzki interesować sprawa zapobiegania chorobom oraz sprawa celowego wzmagania dzielności i odporności organizmu. A i u ludów bardziej posuniętych w kulturze, opierała się higiena raczej

na trafnych wskazaniach instynktu samozachowawczego oraz na grubej empirji, a nie na dojrzałych owocach badań naukowych. Już u Indusów i Egipcjan były pewne obowiązkowe zarządzenia, mające na celu opiekę nad zdrowiem publicznem. Na ziemiach tych ludów, które w odległej starożytności już na wysoki względnie zdobyć się potrafiły stopień kultury, spotykamy ślady wodociągów i kanałów. U Hebreów starożytnych głosi stary testament szereg przepisów bronić mających zdrowia publicznego, opartych głównie na mniemanej szkodliwości pewnych pokarmów, oraz na konieczności usuwania poza granice zbiorowisk ludzkich osobników dotkniętych trądem. Dopiero świat grecki i rzymski, z pełną świadomością oceniał doniosłość zdrowia — zdrowia jednostek, dzielność i pełną sprawność organizmu oraz wynikającą stąd dzielność i wysoką sprawność narodu — państwa. Bogini zdrowia i dzielności fizycznej Hygiea (hygiea po grecku zdrowie), była też wysoce czczoną, czego dowodem liczne jej w świątyniach posągi, oraz wyłącznie ku czci jej wznoszone świątynie. Identyfikowano ją nierzadko z Minerwą, boginią mądrości. Rzecz prosta, że i w tym okresie higiena, jak tylko co wspomnieliśmy, nie opierała się na prawdach nauki, nie była ona w on czas nauką stosowaną, ale wynikiem była raczej zwykłych a trafnych życia spostrzeżeń i samozachowawczego instynktu. Spostrzeżenia te przyczyniły się do zaleceń państwowych uprawiania na wielką skalę zbiorowych ćwiczeń gimnastycznych, zmagani się atletów i t. p., które to zbiorowe poczynania miały doniosłą cechę obowiązkowych uroczystości religijnych. Instynkt zachowawczy odczuwał doniosłość czystości ciała, wody i powietrza, i stąd to z olbrzymim iście nakładem i kosztów państwa lub gminy, zwłaszcza w Rzymie starożytnym, wznosiły się potężne wodociągi, łaźnie publiczne, ciągnęły się kanały podziemne, których dotąd widome, imponujące prawdziwie mury i arkady świadczą o wyżynach do jakich się w pewnych ogni-

skach życia wznosiła kultura starożytna. Dodać tu jeszcze się godzi, że i mieszkania ogrzewano przez rury pod podłogami, które rozprowadzały wodę gorącą z łaźni lub gorące powietrze. Nadmienić jeszcze należy, że poważną żywiły troskę municipia rzymskie o odżywianie ludności i dostarczanie do miast w dostatecznej ilości i odpowiednim gatunku materiałów spożywczych.

Z upadkiem wszakże państwa rzymskiego, w ciągu długiego okresu średniowiecza, kult higieny zarówno osobniczej jak publicznej zanikł zupełnie. Z jednej strony po upadku Rzymu pogańskiego, w okresie apostołstwa podniosłej idei chrześcijaństwa, dążenie do wyłącznego pielęgnowania wiary i pobożności, do troski wyłącznej o zbawienie duszy, do uciekania od spraw ziemskich ku sferom niebieskim przytłumiło na czas długi troskę o dzielność fizyczną i interesy realne życia. Z drugiej strony, wielka wędrówka narodów potężnym była czynnikiem, paraliżującym jakiekolwiek aspiracje kulturalne. We wschodnim zaś państwie rzymskim, wybuchy strasznej dżumy tak wyniszczyły to państwo, że gnieźdząca się tam kultura helleniska doszczętnie wygasła. Stan ten opłakany absolutnej beztroski o zdrowie ludności, zupełnej niepamięci o jakiejkolwiek racji bytu wskazań higieny przetrwał do początków w. XVIII-go. Miasta nie ulegały żadnemu zgoła oczyszczaniu. Na ulice wąskie, pozbawione zupełnie kamiennych bruków, wylewano wszelakie nieczystości; w Edyμβurgu n. p. trwało to do połowy w. XVIII-go. Czyszczenie ulic Paryża zapoczątkowano pod koniec w. XVII-go. W pierwszej dopiero połowie w. XVIII-go zakazano w Berlinie swobodnego błakania się świń po ulicach. Najstraszniejszą klęską tej długiej dziejowej doby głębokiego, sennego bezwładu ducha kultury ludzkiej stanowiły często powtarzające się piekielne powiewy dżumy. Różnemi, wysoce naiwnymi metodami broniła się ludność nieszczęsna od zakażeń. Ponieważ sądzono, że to bezbożni ludzie w zмовie z szatanem zasiewają po po-

lach nasiona dżumy — ważnym czynnikiem higienicznym było spalanie żywcem na stosach podejrzanych o tę zbrodnię osobników.

Oprócz dżumy, klęskę omawianej długiej epoki dziejowej stanowiły: zaraza przymiotowa i ospa. Pierwsza, w formie mniej uderzającej grozą widomej powszechności, druga w przerażających nasileniach fal śmiertelności w różnych czasach i na różnych przestrzeniach obszarach. Przypadkowe spostrzeżenia doprowadziły w zamierzczłej już przeszłości — mianowicie w Chinach, Indjach wschodnich, później na Kaukazie, w Turcji i Grecji do stwierdzenia faktu, iż przeszczepiona sztucznie ospa od chorego osobnika zdrowemu, wywołuje u tegoż reakcję łagodną i zabezpiecza nadal od złośliwej tej choroby. Początkowo wdmuchiowano w nozdrza wysuszone i sproszkowane błonki pęcherzyków ospowych, później wprowadzono metodę kilkakrotnego nakłuwania skóry igłą, pograżoną przedtem w pęcherzyki ospowe chorych, dotkniętych lekko przebiegającym zakażeniem. W początkach w. XVIII-go metodę tę zaczęto stosować i w Europie; z powodu jednak nierzadkich przypadków złośliwych następstw tego zabiegu — metoda ta się nie rozpowszechniła. W tym mniej więcej czasie zauważyli tu i owdzie gospodarze rolni, że krowy podlegają cierpieniu skóry w okolicy wymion z wysypką pęcherzykową, podobną do pęcherzyków ospy ludzkiej, i że osobniki zajmujące się dojeniem krów narażają się nierzadko na zarażenie się tą wysypką, jeśli skóra rąk ich była nieco skałeczoną — i dalej, że w czasie szerzenia się nawet bardzo gwałtownego w danej okolicy epidemii ospowej, osobniki, które przebyły zarażenie się wspomnianą wysypką krowią, nie podlegały panującej epidemii. Spostrzeżenia te poddał bardzo pilnej uwadze lekarz angielski Edward Jenner, poczynił cały szereg celowych obserwacji i doświadczeń nad zabezpieczającym wpływem szczepienia krowianki od zaka-

żenia ospowego, on też, jak zresztą wiadomo powszechnie, stał się twórcą metody, ogólnie dziś stosowanego i obowiązującego, tak zbawczego szczepienia krowianki nieinowłotom. Ospa przestała być dotkliwą ludzkość klęską. Prace Jennera były pracami naukowymi w dziedzinie medycyny jako nauki stosowanej, w tym razie w tej jej gałęzi, która się zwie higieną; niemniej odsłoniły one fakt w dziedzinie biologji, fakt natury czysto naukowej, który w sto lat przeszło po śmierci autora, nabrał znaczenia w dziedzinie badań bakteriologicznych.

Olbrzymim i pierwszorzędnej doniosłości dla medycyny, jako sztuki, terenem badań stała się dopiero w w. XIX-tym nauka o drobnoustrojach — bakteriologja. Ojcem jej niejako był Ludwik Pasteur, który dzięki pracom swoim nad fermentacją zainaugurował nową erę w rozwoju nauki o życiu, o chorobie, a zwłaszcza o przyczynach chorób. Ta gałąź biologji — bakteriologja, podniosła w iście olbrzymiej mierze sprawność higieny jako nauki stosowanej. Sprawę tę doniosłą jeszcze raz poruszymy w końcu niniejszego rozdziału. Poznanie przyczyn zjawisk chorobowych jest rzeczą pierwszorzędnej doniosłości również dla sztuki lekarskiej — albowiem nierzadko zjawisko, które stanowi przyczynę, trwa równolegle ze zjawiskiem przez siebie wywołanem; doniosłem tedy wskazaniem dla sztuki lekarskiej, dla terapii, jest dążność do usunięcia danej przyczyny. Otóż specjalnem zadaniem higieny, jako nauki stosowanej, jest poznawanie przyczyn chorobowych, aby, nauczwszy się sztuki zwalczania lub unikania ich wpływu, zabezpieczyć organizm ludzki od wywiązywania się w nim procesów chorobowych. W sprawie etiologji, czyli nauki o przyczynach chorób, dwa ma zadania higjena. Przedewszystkiem badanie samego faktu bezpośredniej, istotowej przyczyny danej postaci chorobowej. Tu dzieli higjena zadanie swoje z patologją, przyczem

lwi udział w tej sprawie przypada patologji jako cząstce nauki czystej — medycyny. Napomykamy tu tylko o olbrzymiej dziedzinie związku czynności życiowych organizmów wyższych z czynnościami życiowymi drobnoustrojów, o zjawiskach uczulania (anaphylaxia) i uodporniania (immunizacja). Dalej zadaniem etjologii jest badanie całego zastępu warunków, które realizują fakt oddziaływania danej przyczyny na organizm ludzki, czynią go ofiarą danego czynnika chorobotwórczego; wobec tego swojego zadania jest higjena kategorochen nauką stosowaną. Dla skutecznego wywiązania się z zadania swojego w tylko co wspomnianym kierunku, t. j. nie w poznawaniu ściśle naukowem przyczynowego związku zjawisk, w którym zjawisko wywołane jest zjawiskiem chorobowem, ale w poznawaniu ogółu warunków chorobotwórczych, uciekła się higjena do wielce doniosłej, nad wyraz owocnej metody badań, mianowicie — metody statystycznej. Już w drugiej połowie w. XVII-go wprowadził John Grant statystykę śmiertelności, nieco później ułożył Halley pierwsze tablice śmiertelności. W ciągu w. XVIII-go uzasadniali ściśle statystykę zdrowia Toaldo, Nehr, Suessmilch. Warunki związane z powstawaniem chorób dają się naogół stwierdzić jedynie odnośnie do większych zrzeseń ludzkich. Warunków tych szukać należy w klimacie, gruncie, wodzie gruntowej, powietrzu, w wodzie używanej za napój, w pokarmach — w zwyczajach, wreszcie i obyczajach, stanowiących w sumie stopień kultury danego zogniskowania ludności. Wszędzie tu metoda statystyczna dała doniosłe wyniki. Wpływ n. p. wahań wysokości wody gruntowej na tyfus i cholere, w tym mianowicie kierunku, że podnoszenie się jej poziomowi zmniejsza częstość i złośliwość w mowie będących chorób zakaźnych, i odwrotnie, wykazały zgodne wyniki poszukiwań statystycznych, prowadzonych w ciągu kilku dziesiątków lat w niektórych większych miastach Europy.

Wogóle, w sprawie doniosłego higienicznego znaczenia wody, używanej za napój przez ludność, stwierdziła statystyka, iż tereny panujących epidemij pokrywają się w zupełności terenami mas wodnych jednego pochodzenia. I tak n. p. w Londynie w 1849 r. dwa prywatne towarzystwa, mianowicie Tow. „Vauxhall“ i Tow. „Lambeth“, zaopatrywały, każde inną dzielnicę miasta, w wodę użytkową, czerpaną ze śródmiejskiego koryta Tamizy. W domach obydwu dzielnic panowała mocno cholera. W domach, zaopatrywanych przez Tow. „Vauxhall“, na 10.000 mieszkańców zmarło na cholere osób 118, — w domach Tow. „Lambeth“, na taką liczbę mieszkańców zmarło 125. W następstwie tego Tow. „Lambeth“ przeniosło miejsce czerpania wody daleko w górę rzeki. Kiedy w r. 1854 epidemja cholery się ponowiła, dzielnica zaopatrywana przez Tow. „Vauxhall“ dała zmarłych na cholere osób 130 na 10.000 mieszkańców — dzielnica natomiast Tow. „Lambeth“ tylko 37 — tak, że całość dzielnicy pierwszej, licząca ogółem mieszkańców 268.171, dała ofiar 3471, drugiej zaś, liczącej 166.906 mieszkańców dała ofiar 611. Jeszcze jeden pozwolimy sobie przytoczyć przykład. W ciągu ostatniego siedmioletcia, w którym Wiedeń czerpał wodę z Dunaju, liczba śmiertelnych przypadków tyfusu wyniosła 5141, w siedmioletniu następnem, t. j. bezpośrednio po zaprowadzeniu nowych wodociągów, czerpiących wodę górką z poza Wiednia, liczba ta spadła do 2037 i zmniejszała się w latach następnych. W tych samych dwu siedmioletniach dyzenterja dała przed zaprowadzeniem nowych wodociągów 587 ofiar, po zaprowadzeniu — 150. Słowem, stwierdziła higjena, dzięki metodzie statystycznej, do której uciekła się medycyna jako nauka stosowana, niewątpliwą szkodliwość wody używanej za napój ze zbiorowisk, ku którym spływają zanieczyszczenia miejskie; stwierdziła też już metodą badań mikroskopowych i biologicznych obecność w niej drobnoustrojów chorobotwórczych.

Poza przyczynami chorobotwórczymi, działającymi trująco na organizm, doniosłe mają znaczenie warunki, które bezpośrednio nie wywołują żadnej określonej formy chorobowej, ale zmniejszają w wysokim stopniu odporność organizmu i podnoszą wrażliwość jego na czynniki chorobotwórcze. Tu należą sprawy odżywiania oraz czynności układu nerwowego i mięśniowego. Doniosłe tu prace wykonała medycyna jako nauka stosowana w dziedzinie higieny. W poznawaniu grup chemicznych koniecznych dla odżywiania, higiena — nauka stosowana współdziałała z fizjologią — nauką czystą. Wszakże badanie całego mnóstwa ciał, służących jako pokarm dla człowieka, zwłaszcza ciał organicznych, jak: tkanek poszczególnych narządów, różnogatunkowych organizmów zwierzęcych, jaj, mleka i jego przetworów, jarzyn, owoców i nasion, wartości odżywczej poszczególnych anatomicznych ich składników oraz mechano-fizycznych sposobów przygotowywania z nich gotowych do użytku pokarmów — wszystko to stanowi treść poszukiwań naukowych doniosłego dla sprawy zdrowia ludzkiego znaczenia — higieny jako nauki stosowanej. Wprowadzenie na tory naukowe sprawy odżywiania, a więc i pokarmów, nastąpiło dopiero w pierwszej połowie XIX-go w., dzięki w pierwszym rzędzie pracom Magendie'go i Liebig'a. Pogłębiła sprawę fizjologii odżywiania nowa gałąź chemii fizjologicznej, dotycząca t. zw. e n z y m ó w, zaczynów fermentacyjnych. Doniosłą zasługą nauki stosowanej w dziedzinie higieny jest odkrycie jej już w wieku bieżącym, bo w r. 1911 dokonane, t. zw. w i t a m i n. Znany fizjolog szwajcarski B u n g e przeczuwał już niewątpliwą konieczność fizjologiczną obecności w mleku substancji, nie należącej do żadnej z czterech chemicznych kategorii pokarmów zwierzęcych (białka, węglowodanów, tłuszczów, soli), albowiem nie dającej się wykazać metodami, jakimi rozporządza chemja dla wykazywania ciał do tych czterech kategorii należących. W r. 1897-ym uczo-

ny lekarz holenderski Eijkman, obecnie profesor higieny w Uniw. Utrechckim, w czasie pobytu swojego w Indiach holenderskich, doszedł do przeświadczenia, że w łuskach ziarn ryżu zawiera się swoiste ciało, które zapobiega stanowczo zapadaniu na ciężką chorobę, grasującą w krajach podzwrotnikowych t. zw. beri-beri. Uczony ten zauważył następnie, że kury na dziedzińcu szpitalnym, żywione li odpadkami kuchennymi, zapadały na chorobę niemal identyczną z beri-beri, występującą u ludzi. Spostrzeżenia te pozwoliły w pracowniach Europy czynić dalsze doświadczenia i poszukiwania chemiczne w tej kwestji. W r. 1910-ym dr. Karol Martin, dyrektor Instytutu Listera w Londynie, podjął poszukiwania w tym kierunku, ale dopiero pracującemu tamże rodakowi naszemu, obecnie naczelnikowi wydziału biochemicznego w Państwowym Instytucie Higieny w Warszawie, Kazimierzowi Funkowi, udało się wydzielić owe swoiste ciała, które nazwał „witaminami“. Odkrycie witamin ma nie tylko doniosłe znaczenie dla podniesienia sprawności higieny odżywiania, ale rzuca znamieny promień światła na fizjologję odżywiania, oraz na zjawisko życia wogóle, ujawniając jeszcze jeden ważny czynnik potężnego wpływu świata roślinnego na świat zwierzęcy. Wspomnieliśmy, że poza czynnością odżywiania równej doniosłości w sprawie podtrzymywania i rozwijania dzielności i sprawności organizmu jest czynność układu nerwowego i mięśniowego. Ostatni do pewnego stopnia wiąże się ściśle z układem nerwowym. Najwyższą układu nerwowego funkcję stanowi praca intelektu oraz gra wzruszeń i uczuć. Już w r. 1894 ogłosiłem pracę p. t. „O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe“ (w przekładzie niemieckim w „Berliner Klinik“ w r. 1895), w której na podstawie znanych już wówczas faktów fizjo- i patologicznych podnosiłem doniosłość wpływu pracy najwyższych ośrodków nerwowych na wszystkie niemal funkcje somatyczne

organizmu. Nadzwyczajny postęp w ostatnim dwudziestoleciu fizyko-chemii, nauki o koloidach, o czynnikach fizycznych w grze procesów chemicznych w t. zw. świecie materji martwej oraz w świecie t. zw. materji żywej, rzuciły pomiędzy innymi znamienne światło na rolę układu nerwowego w organizmie, począwszy od naszej kory mózgowej, poprzez trzon mózgowia, aparat t. zw. sympatyczny, parasympatyczny i wewnątrztrzewiowy — rzuciły światło na doniosłe znaczenie wydzielania przez gruczoły zamknięte t. z. hormonów i wpływ na tę ich funkcję układu nerwowego. Wszystko to razem podniosło — już na danych pozytywnych — fakt doniosłego wpływu na całokształt czynności życiowych układu nerwowego, w którym kora mózgowa gra rolę najprzedniejszą i wskazało higienie konieczność troski o celowość odpowiedniego życia duchowego i moralnego dla dzielności i odporności wzrastających zwłaszcza pokoleń.

Przedmiotem naszym jest filozofja medycyny — w rozdziale niniejszym zastanawialiśmy się nad tą medycyny dziedziną, którą określamy terminem *nauki stosowanej*; otóż na zakończenie rozdziału niniejszego zaznaczymy, iż w niektórych poszczególnych działach w mowie będącej gałęzią medycyny, jako nauki stosowanej, szczególnie się uwydatnia brak granic między dziedzinami poznawania ludzkiego. Odnosi się to zwłaszcza do wielkiego działu bakterjologii i serologii, który to dział posunął w ostatniej dobie olbrzymio naprzód i biologję ogólną, i fizjologję, i patologję, i higienę, i lecznictwo. Poznanie, jak już wspomnieliśmy, doniosłego znaczenia fizjologicznego gruczołów pozbawionych przewodów wydzielniczych, sposobów walki organizmu obronnej z dronoustrojami i wytwarzaniami przez nie truciznami oraz z jadami niektórych owadów, skorupiaków i niższych kręgowców, z jednej strony przez wytwarzanie t. z. *niweczników*, z drugiej strony przez armję ciałek białych, które wprost pochłaniają drobno-

ustroje i je trawia, wogóle, współpraca medycyny jako nauki stosowanej w doniosłej, najmłodszej dziedzinie wiedzy — w fizyko-chemji, dotyczącej zwłaszcza mechanizmu bytowania ciał o skupieniu t. z. k o l o i d a l n e m — wszystko to sprawiło, że w ostatnich lat dziesiątkach medycyna jako nauka stosowana współpracowała owocnie w dziale czystej wiedzy, mianowicie: fizyko-chemji, biologji (bakterjologii, patologji i fizjologii) — i razem, spełniając swoje zadania specjalne — wzbogaciła higienę gromadową, osobniczą, diagnostykę oraz lecznictwo, słowem, wzbogaciła wysoce sztukę lekarską. Niepodobna nie wymienić tu nazwisk siewców tego zdumiewającego nowego prądu wiedzy ludzkiej. Byli nimi: Pasteur, Koch, Behring, M. Nencki, Wright.

Mówiliśmy tu o medycynie jako nauce stosowanej, zaakcentowaliśmy, że niepodobna jednak wykreślić granic ścisłych pomiędzy dziedzinami jej: jako nauki czystej, nauki stosowanej i sztuki. Wszystkie te dziedziny wzajem sobie służą, wzajem się popierają. Godzi się tu zaznaczyć, że istnieje wszakże jeszcze jedna dziedzina wiedzy ludzkiej, która, analogicznie do medycyny, rozpatrywaną być może jako nauka czysta, stosowana i sztuka — mamy na myśli weterynarię. Jakkolwiek w dziedzinie sztuki zadania medycyny mają niepomierne donioślejszą wagę dla człowieka, aniżeli zadania weterynarii, tem nie mniej w dziedzinie nauki czystej i stosowanej dostojność weterynarii jest iście wysoką, a wybitni jej pracownicy na wysokie zasługują uznanie nie tylko pracowników badawczego genjuszu ludzkiego, ale i cierpiącej ludzkości. Studjom naukowym weterynarii bardzo, bardzo wiele zawdzięcza przedewszystkiem fizjologia, patologia, bakterjologia, ale, zwłaszcza w poszukiwaniach związanych z ostatnią, i higiena, diagnostyka lekarska oraz lecznictwo, że zwrócimy tylko uwagę na doniosłe owoce metody szczepień i wogóle serologii. Godzi się przytoczyć takie nazwiska jak: Chauva u,

prof. Akad. Weterynarji w Lyonie, Nocard, bezpośredni współpracownik Pasteura, Gerlach, twórca szkół weterynaryjnych w Niemczech, Schütz, współpracownik Kocha, a z pośród rodaków naszych: Piotra Boczковского, który całe życie poświęcił pracy naukowej twórczej i był założycielem Warszawskiego Tow. Weterynaryjnego.



STANISŁAW TRZEBIŃSKI.

PRZESĄD W MEDYCYNIE.

Jeżeli w Słowniku Lindego wyszukamy wyraz, umieszczony jako tytuł nad niniejszą pracą, to przekonamy się, że na pierwszym miejscu podano tam znaczenie, odpowiadające mniej więcej niemieckiemu „Vorurteil“, a więc coś, będącego poniekąd synonimem wyrazu „uprzedzenie“. Natomiast nowożytny słownik Kryńskiego, Karłowicza i Niedźwiedzkiego na pierwszym miejscu podaje znaczenie przesądu identyczne ze znaczeniem słowa „zabobon“, a takie też znaczenie mamy na myśli, używając przymiotnika „przesądny“. Z tegoby wynikało, że przesąd w znaczeniu nowożytnem obejmuje jednocześnie dawne pojęcie przesądu obok pojęcia zabobonu. W tym sensie pojmują ten termin przeważnie ci, co sprawą przesądu w medycynie się zajmują w Polsce, a ja też mam zamiar używać go w takim właśnie obszernem rozumieniu.

O przesądzie w medycynie dużo się już pisało, bo często się on daje lekarzowi we znaki przy spełnianiu jego zawodowych czynności. Z tej też racji literatura lekarska na ten temat często nosiła i nosi polemiczny charakter.

Nie uderzam dziś w tę strunę, nie dlatego, ażebym wogóle nie uznawał potrzeby walki z przesądem, lecz dlatego, że w danej chwili więcej mnie interesuje historyczno-przyczynowa strona tego zagadnienia, oraz kwestja stosunku przesądu do medycyny, przez zawodowców uprawianej.

Zacznijmy od tego, co w przesądzie jest właściwie zabobonem, to jest zależnem od wiary w nadnaturalne przyczyny choroby, oraz w skuteczność leczenia, na takiej wierze opartego.

Gdzie szukać należy źródła owych wierzeń? Oczywiście w tem, co kiedyś było medycyną „normalną“, w ontologicznem, ewentualnie teurgiczno-demonologicznem pojmowaniu choroby i jej przyczyn. — Przejdźmy do drugiej kategorii: do tego, co nie jest wprawdzie zabobonem, lecz co się uważa za przesąd w ściślejszem znaczeniu tego słowa.

Wiarę w kołtun, jako ustrojową chorobę, nie tylko podzielali, lecz też propagowali: Józef Frank i Jędrzej Śniadecki, oraz liczni uczniowie obu tych koryfeuszów. W taką samą naturę świerzbu, t. n. psorę, wierzyło sporo uczonych lekarzy jeszcze pierwszych dziesięcioleci XIX wieku. Wiara w krytyczne dnie utrzymywała się w oficjalnej medycynie XVIII wieku, a wpływ ciał niebieskich nie tylko w epoce renesansu, lecz też później nawet uważano za jedną z głównych przyczyn epidemicznych chorób. Jednem słowem, to, z czego się dziś śmiejemy i co nazywamy zabobonem lub przesądem, w mniej czy więcej odległych czasach było ogólnie uznaną lekarską ortodoksją.

Przykłady można mnożyć do nieskończoności. Większość dzisiejszych przesądów, jeżeli nie wszystkie, to — niegdyś artykuły wiary medycznej. Dlaczego opuścili je już lekarze, podczas, gdy trzymają się ich jeszcze mniej albo więcej szerokie warstwy nielekarskiej publiczności, i to nie zawsze tylko publiczności całkiem nieoświeconej? Odpowiedź na to pytanie, oczywiście, znana. Z jednej strony postępy wiedzy lekarskiej, z drugiej inercja mas nielekarskich, sprawiająca, że postępują one za ewolucją myśli lekarskiej z mniej czy więcej wybitnem opóźnieniem.

Tak jest, ale, jak to się dzieje?

Zaczniemy znowu od tego, co się nazywa zabobonem. Dlaczego nadnaturalne koncepcje choroby i leczenia, które oddawna zanikły w świecie lekarskim, utrzymują się dotychczas w publiczności i to nie tylko między prostaczkami? — Wiemy, że zgodnie z pierwotną koncepcją patologiczną, upatrującą w przyczynie choroby interwencję potęg nadnaturalnych, a w niej samej niewidzialną istotę, która wtargnęła do ustroju, w najdawniejszych czasach leczenie pozostawało przeważnie w rękach kapłanów. Jednakże, tłumacząc sobie w sposób powyższy choroby, których przyczyny mniej były widoczne, równocześnie znano różne stany patologiczne, których wytworzenie się dawało się bez trudności objaśnić wpływem czynników naturalnych, a które też dawały się drogą naturalną usunąć, np. ciała obce, następstwa przeładowania dróg pokarmowych itp. Równolegle więc z medycyną teurgiczną rozwijała się medycyna naturalna, uprawiali ją zaś albo ci sami kapłani, albo ludzie do ich kasty nie należący, stojący przeważnie na niższych od tamtych szczeblach drabiny społecznej, na przykład chirurdzy.

A teraz, jaką była psychologia lekarzy? Pierwszym celem uczciwych aspiracji lekarza jest oczywiście wyleczenie chorego, potem interesuje go jeszcze sposób, w jaki się to wyleczenie odbywa. Widząc, że objawy chorobowe mogą się zmieniać w zależności od środków przezeń stosowanych, zaczyna on zwracać coraz pilniejszą uwagę na jedne i drugie, a zdobywszy sobie zasób spostrzeżeń, uogólnia je, dążąc w ten sposób do stworzenia teorii medycyny. Dopóki jest w pierwszym rzędzie kapłanem, z natury rzeczy będzie się on starał o uzgodnienie tej teorii z koncepcją teurgiczną, zajmującą naczelne miejsce w jego światopoglądzie. Natomiast psychologia jego musi ulec zmianie z chwilą laicyzacji stanu lekarskiego. Nie uważając się już za najbliższej stojącego sługę Bóstwa, straciwszy z nim bezpośredni kontrakt, nie może on

już liczyć na jego stałą pomoc, zwracając się do natury po wytłumaczenie przyczyn niemocy i po środki w celu jej leczenia. Dalej widzi on, że nieraz nie może usunąć choroby w zupełności, lecz tylko niektóre jej objawy, dostrzega w przebiegu choroby okresowość, pozwalającą na ustanowienie analogij pomiędzy procesami chorobowymi, a procesami życia przyrody, która go otacza. Jednem słowem, jednocześnie z laicyzacją stanu lekarskiego odbywa się przekształcenie patologji ontologicznej na funkcyjną, medycyny teurgicznej na naturalną, inaczej jej hipokratyzacja.

Tej ewolucji nie przechodzi pacjent, albo przechodzi ją na znacznie mniejszą skalę. Dla lekarza wyleczenie pacjenta jest pierwszym celem, dla chorego, choćby sam był lekarzem, wyzdrowienie celem jedynym. Gdyby nowa orientacja lekarska dawała odrazu wyniki lecznicze wyraźnie lepsze, to oczywiście zorientowałby się w odpowiedni sposób szybko również pacjent. Ale tak nie było. Zdrowieli albo umierali i ci, których leczono teurgicznie, i ci, co się kurowali po hipokratesowsku, i ci, co się wcale nie kurowali. W statystykę nie bardzo się bawiono dawniej, a zresztą dla przeciętnego człowieka bezpośrednie wrażenie zawsze posiadać będzie znaczenie większe od wszelkich statystyk. Nawet dziś, kiedy dla większości oświeconych zdrowych ludzi przewaga medycyny nad znachorstwem jest rzeczą zupełnie widoczną, kiedy oddziały chirurgiczne szpitali przestały być wylęgarniami chorób przyrannych, a zakłady akuszeryjne gniazdami gorączek położowych, w wielu miejscach dla szerszych kół ludności korzystanie z dobrodziejstw współczesnej medycyny redukuje się do otrzymania recepty. Naturalnie, przyczyna tego w przypadkach, zbyt niestety częstych właśnie w naszym kraju, leży nie w nieudolności sztuki lekarskiej, jako takiej, lecz w warunkach niedostatecznej kultury, braku odpowiednich urządzeń leczniczych i sanitarnych, środków komunikacyjnych, w ubóstwie, niezaraadności i niedbałstwie.

Ale dla chorego to w gruncie rzeczy wszystko jedno; on widzi tylko tyle, że od oficjalnej medycyny pożądanej pomocy nie otrzymuje. Natomiast stara orientacja, operująca irracjonalnymi momentami, przemawiającymi do duszy pierwotnej znacznie silniej od racjonalistycznych, układająca się w logiczną całość z naiwnym światopoglądem teurgiczno-demonologicznym, pozostaje dla psychiki mas szerokich i zrozumialszą, i sympatyczniejszą. Bo potrzebna tu tylko wiara w możliwość interwencji nadnaturalnych potęg w sprawy ludzkie, wiara, która nigdy nie wygaśla i zapewne nigdy nie wygaśnie. Reszta to już tylko konsekwencje logiczne. Chorobę zesłały owe nadnaturalne siły i one tylko mogą ją wypędzić. Trafi do nich łatwiej ten, kto stoi do nich w pewnym stosunku, a więc, dajmy na to znachor, od zlaicyzowanego lekarza, który w nie nie wierzy. Ten, w którego duszy podobna psychologia zajmuje miejsce naczelne, w razie zachorowania będzie szukał zdrowia od razu zapomocą praktyk znachorskich, ten, w którego psychice pierwotne wierzenia kryją się głęboko pod powierzchownymi warstwami racjonalistycznej kultury, będzie szukał leczniczych wskazówek na seansach spirytystycznych, u magnetyzerów etc. dopiero wtedy, kiedy się przekona, że medycyna urzędowa nie daje mu wyzdrowienia. A trzeba pamiętać o jednej jeszcze rzeczy. Medycyna często nie może wskazać pierwotnej przyczyny choroby, a nawet znając ją, przeważnie musi się przyznawać do tego, że do usunięcia jej dążyć potrafi tylko drogami okólnymi, podczas gdy stara orientacja zna przyczynę najpierwotniejszą zawsze, a daje nadzieję zupełnego i bezpośredniego jej usunięcia. Od lekarza chory nigdy nie może oczekiwać — przypuśćmy — natychmiastowego i zupełnego wydalenia z ustroju zarazka gruźlicy, ale może tego oczekiwać od cudu, czy też analogicznych fenomenów. Stąd przewaga działania sugestyjnych czynników w drugim przypadku, stąd cudowne wyleczenia chorych, których lekarze opuścili, i stąd możliwość

takiego stanu rzeczy, jaki stwierdza w „Archiv für Geschichte der Medizin“ (w r. 1924, T. XVI. p. 223 „Volksmedizinisches aus Vorpommern“) jeden z korespondentów tego czasopisma F. Lejeune z Gryfji (Greifswald), uniwersyteckiego miasta przecież, leżącego w kraju bez analfabetów, posiadającym wszystkie te kulturalne urządzenia, na których nam właśnie zbywa. Píše on mianowicie, że już nie partactwo lekarskie, lecz wprost znachorstwo (zamawianie) znajduje tam szerokie zastosowanie we wszystkich warstwach ludności.

Z tego wszystkiego wynika, że z „zabobonem“ można i należy walczyć, ale też, że nie będzie mu się dziwił, ani nań zbyt oburzał ten, kto sobie zdał sprawę, skąd on się wziął i czym się trzyma.

Załatwiwszy się ze sprawą „zabobonu“, przejdźmy teraz do kategorii „przesądu“, operującego na gruncie naturalnych koncepcyj, wracając do przykładu przytoczonego na początku, a mianowicie do historii kołtuna, jako ustrojowej choroby. Już przecie w 1601 roku Jan Ursyn Niedźwiedzki, wysłany przez Jana Zamoyskiego do Padwy, pisze do Kanclerza: „Ja za Saxonią trzymam, który kołtuny przy mnie urzywał i leczył“ (Łempicki, Jan Zamoyski etc., str. 37), a Dawisson, Szkot z pochodzenia, lekarz Jana Kazimierza i Marji Ludwiki, wiedział już dobrze, że kołtun powstaje tylko z zaniedbania czesania włosów i uciał, jak sam zapewnia, 60 najdłuższych kołtunów bez pogorszenia. Pomimo tego jeszcze w XIX w. Frank nie tylko pozwala na ucinanie kołtuna, lecz radzi go zapuszczać w niektórych przypadkach, traktując go nie jako lokalną chorobę, lecz jako objaw ogólnego ustrojowego schorzenia. Ostatni Mohikanie kołtunizmu, przeważnie wychowawcy Uniwersytetu i Akademji Wileńskiej, gdzie najdłużej utrzymywały się odnośne tradycje, przetrwali aż do drugiej połowy XIX w. i kołtunologii ostateczny cios zadała dopiero praca Dobrzyckiego, nagrodzona na konkursie Wileń-

skiego Tow. Lekarsk. w 1876 r. To w sferach lekarskich, bo pomiędzy publicznością mniej oświeconą, w niektórych zakątkach naszej ojczyzny zwłaszcza, wiara w kołtun bynajmniej jeszcze nie wygasła. Jak to wszystko sobie wytłumaczyć? Nie ulega wątpliwości, że w niektórych przypadkach nagłe powstrzymanie obfitej wydzieliny, do których w ciągu lat całych ustrój miał czas się przyzwyczaić, może pociągnąć za sobą pewne zaburzenia. Tak bardzo doświadczony i rozważny lekarz, jakim był znany berliński pedjatra Henoch, wyraźnie przestrzegał przed raptownym zagajaniem rozległych moknących wyprysków u dzieci, zwłaszcza na głowie; jest więc rzeczą możliwą, że po ucięciu kołtuna, podtrzymującego stale obfite wydzielanie, w istocie niekiedy pewne perturbacje mogły się zdarzać. Odosobnione te spostrzeżenia uogólniano zaś z wielką skwapliwością dlatego, że godziły się one doskonale z patologią humoralną, podówczas ogólnie panującą. Tu więc mamy odmienny mechanizm psychologiczny. Przesąd powstaje dzięki nieopatrzniemu uogólnianiu odosobnionych faktów, a utrzymuje się dzięki panującym doktrynom patologii już całkiem świeckiej, hipokratesowej.

Ale może też on powstać poprostu wskutek niedość dokładnej obserwacji. Pasorzytnicza natura świerzbu znana była już w XIV w. francuskiemu chirurgowi Guy de Chauliac, a w XVI w. nie tylko znał ją Ambroise Paré, lecz też nie była ona obca chłopom niektórych okolic Francji, umiejącym nawet wyszukiwać i usuwać zapomocą igiełki pasorzyty. Zresztą podobną operację wykonywano też w Niemczech, gdzie posiadała ona nawet osobną nazwę (Seurengraben). Jednakże całe jeszcze wieki potrzebne były, aby z medycyny wyrugować zupełnie pojęcie „psory“ jako humoralnej krazy, i dopiero w XIX wieku student Korsykański Renucci, zdemontrowawszy w dermatologicznej klinice Aliberta w Paryżu świerzbowca, wyjętego w oczach obecnych ze skóry chorego, kwestię sporną ostatecznie rozstrzygnął.

Przyczyn niedokładnej obserwacji, będącej źródłem długiego utrzymywania się mylnych wyobrażeń, szukać należy w rozmaitych okolicznościach. Poważną rolę odgrywał bezwątpienia brak odpowiednich metod badania, zwłaszcza zaś właściwych środków pomocniczych. Jednakże mikroskop, znany już w XVII w., chociaż daleki od dzisiejszej sprawności, wystarczał zupełnie do zobaczenia świerzbowca, dostrzegalnego zresztą dla nieuzbrojonego oka obserwatora uważnego i cieszącego się bystrym wzrokiem. Musiały więc tu działać jeszcze inne czynniki, przede wszystkim zaś średniowieczna ideologia. Główną nauką, matką wszelkich innych nauk, była teologia, stanowiąca system zakończony, sam w sobie zamknięty, oparty na niewzruszonych podstawach i nie przewidujący żadnych zmian, a więc wykluczający wszelkie badanie u podstaw. Na tle teologicznej psychologii rozwijały się inne gałęzie średniowiecznej nauki.

Teologia miała biblię i ojców kościoła, filozofja — Arystotelesa, zoologia — Plinjusza, medycyna — Galena, Celsa i Arabów. Komentowano ich bez końca, szukając rozstrzygnięcia wszelkich kwestyj i wątpliwości w dialektyce, wychodzącej z założenia powag, ogólnie uznanych, uważając samodzielną obserwację i niezależne badanie za nowiniarstwo niepotrzebne i szkodliwe. W jednym z apokryficznych pism, puszczonego niegdyś w świat pod firmą Alberta Wielkiego, „De mirabilibus mundi“, wśród całego szeregu napoi magicznych, napoi kuglarskich przepisów znajdujemy receptę na uczynienie się niewidzialnym. Trzeba poprostu znaleźć gniazdo dudka i włożyć do kieszeni kamień, który się tam powinien znajdować. Ani autorowi tej recepty, ani żadnemu z licznych przepisowaczów nie przyszło na myśl, że dudek to ptak przecież znowu nie tak rzadki, a gniazdo jego niezbyt trudne do odnalezienia, że więc łatwo sprawdzić słuszność owego twierdzenia. Jednak widocznie nikt z tej możliwości nie korzystał,

przynajmniej wyników swych poszukiwań nie ogłosił, a recepta figuruje dalej w rozmaitych zbiorach, podobnie jak szereg innych, o których bezzasadności równie łatwo się było przekonać. Prawda, że dziś także nieraz twierdzenie, gdzieś przez kogoś wypowiedziane, a nie sprawdzone dostatecznie, wędruje od pracy do pracy i od podręcznika do podręcznika, ale bywa to już raczej wyjątkiem, kiedy wówczas stanowiło regułę. Ten kierunek myślowy stwarzał przyzwyczajenie wyrokowania o rzeczach, osobiście nie sprawdzonych, nie mogące od razu ulec radykalnej zmianie. Przecież jeszcze Jędrzej Śniadecki, który z takim naciskiem niejednokrotnie podnosił konieczność samodzielnego badania, uważa w „Teorii jestestw organicznych“ erytrocyty za artefakty, chociaż parokrotne zbadanie kropli krwi pod mikroskopem, takim nawet, jakim wówczas rozporządzano, byłoby go przekonało dostatecznie, że tak nie jest.

Ale możemy wykazać jeszcze inne mechanizmy psychologiczne przesądu w medycynie. Od najdawniejszych czasów stosowano „larga manu“ leczenie różnych niemocy organami, krwią i wydzielinami zwierząt i ludzi, a „zabobon“ ówczesny pilnie odnośnie tradycje przechowywał. Ażeby zacytować parę z nadzwyczaj licznych przykładów, apokryf, przypisywany Geberowi, arabskiemu lekarzowi z VIII w., poleca odwar ludzkiej głowy na osłabienie pamięci, wyczerpanie po płciowych nadużyciach, a, o ile w tej głowie jest mózg, także na choroby umysłowe. O lekarzu Bartoldzie, praktykującym w m. Rakowie w XVII w., czytamy u Gąsiorowskiego, że dopóty mu się wiodło, dopóki rozporządzał, jako materiałem na lekarstwa, częściami mumji, którą sobie był spreparował z wisielca. Dlaczego to wszystko uważamy za „przesąd“, a za racjonalną terapię uważamy stosowanie tarczycy zwierzęcej albo implantacje według Woronowa? Myśl zasadnicza ta sama teraz, co i wtedy. Pewne funkcje wiążą się z pewnymi organami. Jeżeli funkcja odbywa się nieprawidłowo, to znaczy, że organ działa

niesprawnie. Wprowadzając do ustroju taki właśnie organ ludzki lub zwierzęcy, możemy wyrównać ten niedostatek. Cała różnica w tem, że najprzód dziś znamy wiele ustosunkowań, których dawniej się nie domyślano (tarczyca, nadnercze etc.), a następnie, że wówczas znaczenie lecznicze narządów zwierzęcych opierało się jedynie tylko na apriorycznym rozumowaniu, przez kogoś kiedyś przeprowadzonym i potem już nie poddawaniem żadnemu postępowaniu sprawdzającemu, podczas gdy dziś sprawdza się je drogą zmuśnych i dokładnych badań.

To też zmieniła się gruntownie psychologia naukowa, i skoro ludzie uprzytomnili sobie wreszcie potrzebę badania, uświadamiając sobie jednocześnie ogrom tego, co zbadać należało, przyzwyczajono się do uważania za „przesąd“ wszystkiego tego, czego badanie w dostatecznym stopniu potwierdzić nie zdążyło. Oczywiście, w materjale, w ten sposób odrzuconym, nauka urzędowa wyeliminowała wiele rzeczy, nie sprawdzonych jedynie tylko dlatego, że ich wogóle nikt nie badał, albo, że je badano powierzchownie. Dzięki temu przeszła do kategorii „przesądu“ czy „zabobonu“ nie tylko bezwartościowa część starożytnej i średniowiecznej „Dreckapotheke“, lecz razem z nią także to, w czem pod grubemi pokładami niepożytecznych naleciałości kryła się przecie myśl zdrowa i płodna. W tym kierunku sporo już niespodzianek przyniosła nam nauka współczesna, a jeszcze więcej bezwątpienia przyniesie w przyszłości. Przytoczę tylko jeszcze parę przykładów. Każdy lekarz, zwłaszcza praktykujący na prowincji, spotykał się zapewne ze zwyczajem przykładania surowego mięsa na owrzodzenia i rany trudno się gojące. Ja sam widywałem np. „ulcera cruris“ traktowane w ten sposób, co prawda nie mając sposobności stwierdzenia skuteczności tej metody, tak sprzecznej z naszymi pojęciami o aseptyce. Jednakże ostatniemi już czasy badano wpływ rozmaitych tkanek zwierzęcych na gojenie się ran (ref. w Polskiej Gazecie Lekarskiej r. 1924, str. 726) i przekonano

się, że niektóre z nich w istocie ten proces przyśpieszają. Byłaby to więc częściowa rehabilitacja przesądu.

Ale zdarza się też zupełna. Kto z nas nie słyszał od babek, matek i ciotek swoich małych pacjentów o kaszlu „z robaków” i kto w takich razach nie wzruszał ramionami? Sam się nieraz potrochu śmiałem z tego robakowego kaszlu. Odruch, zapewne; zdarzają się rozmaite odruchy. Ale odruch to rzecz czysto nerwowa, a tu tymczasem słyszę furczenia i świsty. Stawia się więc diagnozę: „bronchitis”, ewentualnie z jakimś przymiotnikiem, przechodząc do porządku nad babskim gadaniem. Teraz wiemy, że młode glisty, wyląwszy się z jajek w przewodzie pokarmowym, dostają się do płuc i stamtąd dopiero przez tchawicę i jamę ustną wędrują na powrót do miejsca stałego zamieszkania. Wiemy też, że taka wędrownica przy wielkiej liczbie pasorzytów może wywołać ciężkie nawet zaburzenia ze strony narządów oddechowych. A więc to, co było babskim „przesądem”, pewnego dnia stało się faktem naukowym, stwierdzonym eksperymentalnie nie tylko na zwierzętach, lecz, dzięki poświęceniu dwu lekarzy japońskich, także na człowieku.

Za przesąd uważano też powszechnie wiarę we wpływ księżyca na procesy życiowe, zwłaszcza na niektóre choroby (helminthiasis, epilepsia). Obecnie, kiedy badania naukowe stwierdziły wpływ faz księżycowych na niektóre procesy życiowe jeżowców, owo odwieczne wierzenie przestaje być przesądem, stając się przypuszczeniem, równie dobrem, jak wiele innych przypuszczeń, o których myśli się i mówi na serjo.

Tak samo rzeczy się mają w sprawie wiary w działanie wód mineralnych u źródła, w przeciwstawieniu do tychże wód, butelkowanych i przewożonych do odległych miejscowości, albo zgoła wód mineralnych sztucznych. Chemik, z wagą i odczynnikami w rękę, wykazywał w sposób, zda się, nie

ulegający powątpiewaniu, że żadnej różnicy niema, „że genius łoci“ — to nonsens, a wiara opiera się na przesądzie. Aż dowiedzieliśmy się o emanacji radowej i przesąd znowu stał się naukowym faktem.

W przykładzie ostatnim mamy do czynienia znowu z mechanizmem psychologicznym, podobnym jak w historii „przesądu“, dotyczącego „robakowego kaszlu“. Obserwacja pierwotna była zupełnie trafna, tylko w ciągu wieków nie umiano rozumowo uzasadnić tej obserwacji, nie znając faktów, które wykryły dopiero badania lat ostatnich, i dlatego obserwację miano za niedokładną. W przedostatnim przykładzie natomiast odrzucano „a limine“ hipotezę dlatego, że nie posiadano dla niej żadnych analogij, które również dopiero ostatnie obserwacje dostarczyły.

Przykładów takich możnaby zebrać znacznie więcej, ale nie o to chodzi, tylko o stwierdzenie prawdy, zresztą znanej już oddawna, że wczorajszy akt wiary dziś stać się może przesądem po to, aby jutro znowu zostać faktem naukowym. Naturalnie, nie dzieje się tak zawsze, a i ten fakt naukowy w stosunku do starego poglądu przedstawiać się może tak, jak — dajmy na to — suprarenina w porównaniu z tłuszczem wisielca, nabywanym niegdyś z apteczki „kolegi kata.“ Myśl zasadnicza ta sama w jednym i drugim przypadku, do pesymizmu jednak z tego powodu niema żadnej racji, gdyż ta odmienność postaci, w której myśl zasadnicza występowała niegdyś, od tej, w której ją widzimy dzisiaj, to właśnie postęp.

III.

JÓZEF DIETL.

O ZWADACH I RADACH RZECZY- POSPOLITEJ LEKARSKIEJ CZYLI SEN MŁODEGO AKADEMIKA.

WYDAŁ

ADAM WRZOSEK

I. WSTĘP WYDAWCY.

Pprzed laty kilkunastu zacząłem skrzętnie zbierać materiały do monografji o Józefie Dietlu, którą miałem nadzieję wkrótce opracować. Uskutecznieniu tak tego zamierzenia, jak i wielu innych, stanęła na przeszkodzie najpierw wielka wojna, a potem różnorodne zajęcia administracyjne i organizatorskie. W przeciągu lat dziewięciu zmuszony byłem zaniechać niemal zupełnie badań naukowych. Powróciwszy wreszcie do nich przed paru laty, zabrałem się ponownie do rozpoczętych przed wojną, a potem przerwanych prac.

Tyraniczna w dziejach medycyny u nas postać Dietla pociąga mnie oddawna. Tuszę sobie, że w ciągu kilku najbliższych lat danem mi będzie napisać szczegółowy życiorys tego wielkiego lekarza i znamienitego działacza społecznego, ze szczególnem uwzględnieniem jego działalności naukowej, zwłaszcza, że oddawna noszę w głowie plan zamierzonej pracy

i wiele materiałów do niej już przewertowałem. A materiałów tych, niezmiernie cennych, wielką mnogość dostarczyła mi łaskawie rodzina Dietla: pani Leopoldowa Dietlowa, wdowa po bratanku Dietla, i syn jej p. Bronisław Dietl, obecnie starosta w Inowrocławiu, za co składam Im na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie. Niektóre z tych materiałów, postanowiłem wydać przed napisaniem zamierzonej monografii, osobiście te, które mają szczególną wartość historyczną.

Wśród licznych rękopisów Dietla znalazłem jeden bardzo ciekawy, a, o ile z wszelkich dostępnych mi źródeł dojść mogłem, dotąd nie wydany. Jest to rękopis, mający na okładce napis: „O zwadach i radach rzeczypospolitej lekarskiej czyli sen młodego akademika,” a na pierwszej stronie u góry datę: „Kraków, 10 marca 1859” i tytuł wspomniany, lecz w jednym szczególe zmieniony: „O zwadach i radach rzeczypospolitej lekarskiej czyli sen młodego lekarza.” Własnoręczny ten Dietla rękopis, do którego wydania przystępuję, pisany pagina fracta, składa się z 80 stron wielkości 21 cm × 18 cm. Na ostatniej stronie znajduje się data ukończenia rękopisu: „Kraków, 9 kwietnia 1859.” Manuskrypt, napisany naogół czytelnie, zawiera dość liczne poprawki autora. Składa się on właściwie z dwóch części. Pierwsza — to autobiograficzna notatka; w drugiej zaś opisany jest sen, który miał rzekomo autor po ukończeniu szkoły średniej, a przed rozpoczęciem studjów medycznych. W „śnie” tym, opisanym częściowo niewybrednemi rymami, przedstawione są lapidarnie dzieje lecznictwa. Jest to w całym tego słowa znaczeniu pierwszorzędny materiał dla charakterystyki umysłowości Dietla, zwłaszcza, że rzecz tę pisał, gdy był u szczytu swej działalności naukowej. Miał wówczas 55 lat i był od 8 lat profesorem w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nie tu miejsce na rozbiór zapatrywań Dietla, wyluszczone w omawianym jego utworze. Zaznaczę tylko, że autor

snać przywiązywał pewne znaczenie do swej, w lekkiej formie napisanej, pracy, skoro dał ją do przepisania, a nawet poprawienia pod względem języka, który istotnie w jego rękopisie wykazuje dość liczne, zresztą zwykle bardzo drobne, usterki. W papierach pozostałych po Dietlu znalazłem nie tylko jego własnoręczny rękopis, ale i kaligraficzny odpis tego rękopisu, przyczem przepisywacz, upoważniony zapewne przez autora, usunął w odpisie niektóre chropowatości i błędy językowe, znajdujące się w autografie. Tak przepisany rękopis Dietl przejrzał i porobił w nim dalsze poprawki bądź ołówkiem, bądź atramentem. Wreszcie dał go do poprawienia jeszcze komuś innemu, kto ołówkiem porobił dużo poprawek, już to usuwając pozostawione w odpisie błędy językowe, już to zmieniając niekiedy mianownictwo medyczne, przez Dietla używane, już to przerabiając całe ustępy na wiersze rymowane. Z tych poprawek uwzględniłem w tekście tylko dotyczące oczywistych błędów językowych, przyczem zaznaczam w odsyłaczach, które z poprawek językowych korektora wprowadziłem do tekstu. Aby uniknąć nieporozumień, poprawki, które zrobił przepisywacz rękopisu, będę nazywał poprawkami przepisywacza, a poprawki, zrobione później ołówkiem przez niewiadomą osobę, poprawkami korektora. Dodać należy, że poprawki, zwłaszcza pisowni były konieczne, bo autor, lubo wogóle poprawnie władał językiem polskim, jednak czasem grzeszył pod względem ortografii, pisząc np. *chociaż*, lub *także* albo *wycięczony*.

Wreszcie godzi się w końcu podkreślić, że na omawianym utworze, żywo napisanym, znać temperament pisarski, że nie brak w nim humoru, i że wartość jego podnoszą znakomicie liczne dygresje, w których autor dzieli się z czytelnikiem różnemi swojemi zapatrywaniami, między innemi na cnoty narodowe i na powołanie lekarskie.

II. O ZWADACH I RADACH RZECZYPOSPOLITEJ LEKARSKIEJ CZYLI SEN MŁODEGO AKADEMIKA.

W roku 1804, a więc na wstępie wieku obecnego, urodziłem się w Podbużu, małej wiosce w Karpatach Samborskich, na glebie ruskiej, z matki Polki,¹⁾ z ojca niegdyś²⁾ niemieckiego pokolenia. Wyposażyła mnie więc Opatrzność trzema przeciwnymi żywiołami: upartością Rusina, rącością Polaka i skrzętnością Niemca. A gdy plemieniu słowiańskiemu lenistwo zarzucają, a bojka nowourodzonego karmiła, przesiąknęłam i tym bożym darem — bo co prawda, to nie grzech, Józiowi się uczyć nie chciało, bo bez worka orzechów i śliwek suszonych, bez pieśczęt matki i pogroźek ojca nie wsiadł na bryczkę, by po wakacjach wracać do szkół znienawidzonych.

Pierwsze lata życia spędziłem w sielskiej zaciszy, przy siewach i zbiorach, na polu i w gaju, na snopku i w stodole, w sadach i pasiece. Utkwiły w sercu słodkie śpiewy niańki nad kolebką nucone, smętne ludu dumki, te cierpliwe objawy jego odwiecznej niedoli, kolenda dziaków zwiastująca u okien dworu przy barwnym światełku dzień narodzin³⁾ Chrystusa, ta rozpaczliwa kołomyjka wtórowana basem głębokim, która ciężki żal serca płasami łagodzi; a gdy wieczorem w rozległych gór szalasach trąby pasterskie zabrzmiały i żałośny dzwonek w starej cerkiewce między lipami do Boga myśl zwracał, wtenczas młodzian w zamęty świata zaglądać zmuszony, czuł się szczęśliwym i tego szczęścia każdy mu pozadrości.

Czyż dziwna, że trudno mi było rozstawać się z strzechą domową i że z niewypowiedzianą goryczą wyjeżdżałem do szkół odległych, gdzie pierwsze pojęcia nauki i wiary obcym

¹⁾ Poprawka przepisywacza. W autografie było: „Polskiej“.

²⁾ Wyras dopisany przez Dietla ołówkiem w rękopisie przepisany.

³⁾ W autografie: „rodzinny“, który przepisywacz poprawił na wyraz „narodzin“.

językiem kaleczono, gdzie surowość uczących zrażała, a nie oświecała, gdzie szczerść dziecięcą uważano za zuchwalstwo, wesołość i psotę za swawolę i rozwiązłość, ślizgawkę za pole niesłychanej zbrodni, piłkę za narzędzie występku, słowem, gdzie różga i baty szlachetne uczucia młodzi krzywiły i kaziły, a zakłady publicznego oświecenia stały się zakładami nieznośnej katuszy. Bo tak było niegdyś za czasów moich! — Dzięki postępom nauki i ludzkości,¹⁾ że teraz jest lepiej.

A cóż dopiero powiem, że się musiał rozstawać z matką! Bo też to matka, matka polska w całym znaczeniu! Mospanie, szlachcianka, ze szlachty chodackowej, ale szczerą, jędrną polskością przejęta! Skromna i bogobojna, prawa²⁾ i rządna, łagodna i poważna, gościnna i uprzejma, jak na gospodynię polską przystało. Pierwszą była przy pracy a ostatnią do spoczynku. Tak też Bóg darzył, że dom mały wzrastał, we wszystko obfitował, czem niegdyś dwory polskie jaśniały. Był dostatek we wszystkim dla gościa i dla swego, i miodek i węgryz, anyżówka i kontuszkówka,³⁾ chleb pytlowy i ciasta, konfitury i masło, sery i bryndza, bigos i pieczeń huzarska, zrazy i kasza, pierogi i naleśniki, indyki i kapłony, szynka i ozory, słowem, co Bóg dał, a praca gospodyni zrządziła; a w czerwonej skrzyni pstro namalowanej, gdym ją na rozkaz matki z pod łóżka wysuwał, i mały zapasik złota zabłysnął, dobytek rzetelnej pracy i oszczędności! Ale też to praca nie pospolita, oszczędność nie mała. Działwa na kaszy chowana nie znała ni kawy, ni herbaty, a chwała Bogu ni spazmów, ni migreny, która dziś niemal całe pokolenie przyciska. Suknie i buty, przedzę i płótno, świece i mydło w domu się robiło, a miasto tylko dostarczało, czego

¹⁾ W autografie było: „dzięki troskliwości obecnego rządu“. W rękopisie przepisany sam Dietl atramentem zakreślił te wyrazy, a zamiast nich napisał: „dzięki postępom nauki i ludzkości“.

²⁾ W autografie było: „prawna“. Przepisywacz poprawił na „prawa“.

³⁾ W autografie: „anieszówka i kminkówka“. W rękopisie przepisany przekreślił Dietl wyraz „kminkówka“, a dopisał „kontuszkówka“.

przemysł wiejski dokazać nie zdołał. Dziś wieśniak od miasta zależny, a wzamian za tanie ziemiopłody pobiera od niego drogie wygód i zbytku przedmioty. Nie dosyć na tem, że stawiamy pałace zamiast skromnych dworków, że trzymamy konie angielskie, a nie mamy dobrej fornalki, że, zamiast czeladzi i sługi wiejskiej, kamerdynerzy, lokaje, żokeje, panny i pokojówki nas otaczają, że, opuszczając siedzibę ojców naszych, przesiadujemy w miastach, gdzie w jednej nocy w kartach i biesiadach dobytek niemal całego roku trwonimy; nie dosyć na tem, trzeba być i zagranicą, wlec się od jednej stolicy do drugiej, tam życie spędzać, dzieci płodzić i chować, a niwy ojczyste, majątek rodziców zostawić drapieżnym rządcom i żydom.

Polacy i Anglicy jedyne to narody, co tak miłują podróże, ale jest w tem różnica: Anglik podróżuje, ażeby szczerdzić i podupadły majątek ratować, Polak najczęściej, ażeby trwonić i resztkę nabytku ojcowskiego utracić; Anglik, ażeby świat poznać i studjować, Polak, ażeby go widzieć i użyć; Anglik, ażeby spekulacją siebie i kraj swój zбоgacić, Polak, ażeby błahem marzeniem ostatni grosz z kraju wyciągnąć; Anglik jako niewzruszony dziwak i niespracowany badacz zagranicą podziwiany i szanowany, Polak jako próżniak i marnotrawny włóczęga wyśmiany i nie ceniony; Anglik i zagranicą Anglikiem zostaje, a jak zanuci Rule Britannia, widać, że John Bull zdrów i nieskażony do ojczyzny powrócił. Polak zagranicą się nagina i mięknie, a w różnych narodowościach zmacerowany swoją utracą. Synu sarmacki, synu ojczyzny! gdzie jesteś? Na koń i do pług, do szabli i kieliszka, do Boga i na wroga! Ale syn Lecha już się nie odzywa! Wybladły mu rumieńce, oczy zamdlały, ciało wycieńczało, postać już schyłona, nie rycerska, ale salonowa, mowa mu się płacze, polski język skołtaczał, po francusku mówi, po francusku myśli, po francusku marzy; serce mu ostygło, umysł wypaczony, dusza już nie

polska! W niesmak mu ojczyzna, w niesmak nasze niwy, w niesmak nasze góry, życie, obyczaje, praca, gospodarstwo. Polakiem w obcym kraju, stał się obcym w kraju swoim, tęskni za obczyzną¹⁾ i tam ginie marnie w nurtach zapomnienia. Na tem się często kończy wójaż Polaka! Synu sarmacki, synu ojczyzny, gdzieżeś się podział!

Ale, stary gderaczu, oczywiście, przesadzasz, gdy chwalisz czas zeszły, a ganisz obecny. Stosunki są inne, rwie nas prąd czasu, ciśnie skład świata, trudno się oprzeć, płynąc pod wodę. Życie i wychowanie wiele kosztuje, trudno sobie odmówić wygódek i zabaw, których cywilizacja wszystkim użycza. Oj czasy ciężkie, bardzo ciężkie czasy! Zapewne że ciężkie, bo wielkie potrzeby, a małe dochody. Jakaż na to rada? Rada mojej matki, starej prostej Polki: mało wydawać, praca daje, oszczędność skarbi, nie wielkie dochody, ale małe wydatki czynią człowieka bogatym.

Może być, że się matuleńka tą razą pomyliła, i że jej niezasłużone oddaje pochwały, ale pewną jest rzeczą, że posiadała cnoty, których się nie łatwo u dzisiejszych kobiet dopatrzyć; bo po pierwsze, nie mówiła po francusku, modliła się po polsku, a za nią, wszystkie dzieci, — było to po staremu: „Za panią matką pacierz,“ ale dobrze nam tak było; po wtóre, nie trzymała guwernerów ani guwernantek obcych, ale dzieci, któremi Pan Bóg darzył, sama wychowała, skromnie, bogobojnie, po prostu, lecz po polsku; po trzecie, (że)²⁾ pietruszki i kiełbasy polskiej nie sprowadzała z zagranicy, ale owszem tam je rozsyłała; po czwarte, z Paryża nie sprowadzała strojów, ale

¹⁾ Dalej następowały w autografie słowa, wykreślone w przepisanyh rękopisie: „żydka tylko szuka, by na lichwę dawał i z tym darem leci gdyby opętany zagranicę, zagranicę“.

²⁾ Poczynając od tego miejsca, zarówno w autografie, jak i w przepisanyh rękopisie, każdy ustęp aż do ósmego włącznie zaczyna się od „że,“ które tu jest całkiem zbędne.

panów majstrów w domu umieszczała, by szyć suknie, kapelusze, buty i trzewiki; po piąte, nie była amazonką, na rumaku har-
cującą, chyba na folwark, albo do swych dzieci na bryczce
wyjechała; po szóste, nie cierpiała na migrenę, ani też na
na nerwy pracą zhartowane, a więc nie bywała u wód zagra-
nicznych, do których nałogowe pielgrzymki rok rocznie dziś
się odbywają; po siódme, żyta i pszenicy, owsa i jęczmienia
nie sprzedawała już na polu żydom, ale pozbierała w czasie
i w czasie spieniężyła;¹⁾ po ósme... ale dosyć na tem, bo się
boję gniewu naszej płci nadobnej,²⁾ a licha to sprawa zrywać
z nią na piękne, bo to kamień węgielny pomyślności naszej.
Widać zaś jawnie, że gospodarstwo domowe, skromność
i oszczędność kobietom poruczone, stanowiły szczęście i za-
możność kraju. Upadły dawne gospodynie polskie, a za niemi
naród!

Ale, jak widzę, mocno zboczyłem, bo czem serce pełne,
tem usta wymowne. Wróćmy się więc do zapasów pierwszej
mojej młodości.

¹⁾ W autografie, zamiast ustępów od czwartego do siódmego włącznie, był pierwotnie jeden, później przekreślony, mianowicie: „pracowała i za-
wiadywała domem jak na gospodynię polską przystoi. — Krynoliny i stroje,
romanse i guwernantki nie dźwigną gospodarstwa i zamożności kraju. Upadły
gospodynie polskie a z niemi i naród! Tak nas uczy historia dawna, tak teraź-
niejsza. Upadek narodu od kobiet się zaczyna! Z upadkiem gospodarstwa
domowego upada gospodarstwo krajowe, a gdy się to chyli, to się chyli
i naród, bo zbytek się szerzy, moralność ginie, praca mdleje.”

²⁾ W autografie i odpisie było „urodnej“. Korektor napisał nad tym
wyrazem ołówkiem „nadobnej“, wobec czego Dietl przekreślił „urodnej“
i dopisał na marginesie atramentem poprawkę korektora.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI HISTORYCZNE, TYCZĄCE SIĘ KAMIENI PĘCHERZOWYCH I OPERACJI KAMIENIA W WILNIE.

RZECZ WYGŁOSZONA PRZEZ PROF. ADAMA FERDYNANDA
ADAMOWICZA NA POSIEDZENIU TOW. LEKARSKIEGO W WILNIE
W DNIU 12 PAŹDZIERNIKA 1846 R.

Wydał i wstępem zaopatrzył

WIKTOR JANUSZ.

I. WSTĘP.

Dzieje urologji, stanowiące zaledwie część ogólnej historii chirurgji, są wciąż jeszcze niestety mało znane szerszemu ogółowi autorów polskich. Dowody tego natrafiają się niestety omal że nie na każdym kroku w lekarskiem piśmiennictwie nowoczesnem. Dla przykładu przytoczę bądź najświeższą monografię d-ra T. Pisarskiego pod tyt. „Kamienie moczowe“, wydaną w r. 1925 nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, bądź artykuł d-ra Groszlika z r. 1925 („Pol. Gaz. Lek.“ Nr. 15), którego błędne daty sprostowałem w artykule p. tyt. „W którym roku przeprowadzono u nas po raz pierwszy operację kruszenia kamieni moczowych“, ogłoszonym w tem samem czasopiśmie tegoż roku. W książce T. Pisarskiego na str. 3-iej znajdujemy krótką wzmiankę historyczną, nie uwzględniającą w zupełności dziejów urologji polskiej. Autor twierdzi, że kamienie moczowe znane już były nawet w starożytności i powołuje się na W. Ebsteina, który

wspomina, „że już Hipokrates i Galen wiedzieli o istnieniu podścieliska białkowego w kamieniach i przypisywali mu zasadniczą rolę w wytwarzaniu i powstawaniu kamieni. Znano zatem nie tylko kamienie, ale nawet ich poszczególne składniki. I już ci starożytni lekarze przypisywali tej istocie organicznej, którą pojmowali jako śluz wydzielany przez nerki, przodującą rolę przy tworzeniu kamienia. W r. 1776 Scheele zapoczątkował wykryciem kwasu moczowego w kamieniach szereg badań, które doprowadziły do zapoznania się z innymi substancjami tworzącymi kamienie moczowe. Następnie szybki postęp i rozwój chemji fizycznej, dalej studja W. M. O z d a (1879) nad krystalizacją szczególnie kwasu moczowego i szczawianu wapnia wśród środowiska koloidalnego, a wreszcie szczegółowe prace W. E b s t e i n a nad budową mikroskopową kamieni, ich składem chemicznym, a głównie nad pochodzeniem ciała białkowego znajdującego w kamieniach, ugruntowały naukową podstawę do badań nad patogenezą kamieni moczowych“. Tyle z historii znajdujemy u T. P i s a r s k i e g o, który w przytoczonym spisie piśmiennictwa polskiego wymienił jedynie prace K a c z k o w s k i e g o. Podobnych prac w piśmiennictwie polskim jest jeszcze sporo. W historii polskiej jest zanotowany ważny dla nas fakt, że w Wilnie wykielkowała po raz pierwszy myśl zastosowania *lithyménie*, na którą wpadł lekarz D u s m e n i l dopiero o ćwierć wieku później. W roku 1822 lekarz wileński Bartłomiej Beniewski wynalazł narzędzie nakształt kateteru z ruchomym parasolikiem, mogącym objąć kamień i rozpuścić go płynami alkalicznymi albo kwaśnymi, wstrzykiwanymi przez tenże kateter (p. Adamowicz — Gazeta Lek. r. 1870, str. 541 — „Słótko o kamieniach moczowych w Wilnie“). O podobnych faktach dowiedzieć się można jedynie z historii rodzimej medycyny, co też skłoniło mnie do wydania niżej podanej notatki zasłużonego historjografa i wybitnego lekarza. Poznanie rękopisu A. A d a m o w i c z a

zawdzięczam prof. S. t. T r z e b i ń s k i e m u, któremu w tem miejscu składam serdeczne podziękowanie za wyszukanie go w Archiwum T-wa Lekarskiego w Wilnie i łaskawe przesłanie.

Rękopis wygłoszonego wykładu prof. A d a m o w i c z a, przechowujący się w Archiwum T-wa Lekarskiego w Wilnie pod l. 25, nie był drukowany. Wprawdzie w 23 lat po odczytaniu niżej podanej rzeczy na posiedzeniu T-wa Lekarskiego ogłosił on krótką wzmiankę w r. 1870 w „Gazecie Lekarskiej“ p. t. „Słódko o kamieniach moczowych w Wilnie.“ Porównywając atoli rękopis prof. A d a m o w i c z a z ogłoszoną jego korespondencją, stwierdzić należy, że dziesiątki minionych lat wzbogaciły jego wiedzę nowemi spostrzeżeniami osobistemi oraz większą znajomością chemji, na które też w liście swoim położył większy nacisk, ale natomiast opuścił on podanie ciężaru poszczególnych kamieni, wydobytych drogą operacyjną, dalej zamilczał nazwiska operowanych pacjentów i wreszcie opuścił nazwisko R u l k i e w i c z a, który wykonał jedną operację. Są to zresztą rzeczy bardzo ważne dla odtworzenia całokształtu doby minionej i dlatego niewątpliwie zasługują na uwagę, zwłaszcza, jeśli przeprowadzimy pewne porównawcze zestawienia dokumentów historycznych, pochodzących naprzykład z Rosji. Prof. F r o n s z t e j n w r. 1924 ogłosił w czasopiśmie „Kliniczeskaja Medicina“ (Nr. 5 na str. 172) „Historję urologji w Rosji,“ w której stwierdza, że pierwsze prace, poświęcone kamicy pęcherzowej ukazują się w Rosji dopiero w XIX w., chociaż leczenie tej choroby stosowane już było przez partaczy o wiele wcześniej, skoro już w r. 1716 znaleziono podane drukiem ogłoszenie o przybyciu do Moskwy pewnego Macedończyka, podejmującego się wyleczyć chorobę kamicową. Ten sam autor chępi się dalej profesorem Uniwersytetu Warszawskiego K o s i ń s k i m, który w r. 1884 „po raz pierwszy w Rosji“ dokonał operacji wyluszczenia nerki. Data wspomniana zapoczątkowała rozkwit chirurgji nerek w Rosji.

A jeśli wrócimy do historii polskiej, to łącznie przekonać się możemy, że w piśmiennictwie naszym znajdujemy już w wieku XVIII utrwalony ślad zastosowanego zabiegu operacyjnego we wspomnianej chorobie, a mianowicie w r. 1773 w pracy dra Oehme'go p. t. „Opisanie kamienia przez 22 lata w uretrze noszonego. . . . wyróżnionego 9 lutego 1773 r. (Warszawa, 1773 r.)

II. RZECZ WYGŁOSZONA PRZEZ ADAMOWICZA NA POSIEDZENIU TOW. LEKARSKIEGO WILEŃSKIEGO 12. PAŹDZIERNIKA 1846 R.

W Litwie kamienie urnowe są rzadkie, twarde i wielkie; może kołtun ma wpływ na tę okoliczność, a mniemam na rzadkość choroby, bo skóra i włosy zajęte często. Pierwszą wiadomość na piśmie ogłosił o kamieniach w uretrze dr. Oehme, który wyrznął kamień, przez 22 lata noszony, u pana Kostrowickiego w Nieświeżu 1773 r. W Akademji Wileńskiej Regnier i Briotet, chociaż byli profesorami pierwszymi chirurgji, nie mieli okoliczności robienia operacji kamienia, podobnież wprawny chirurg Jan Schlegel, nie wiem, czy robił tę operację. Pierwszą wiadomość, zapisaną o operacji kamienia, mamy w aktach Tow. Lek., że Nizkowski szczęśliwie zrobił ją w 1806 r. chłopcowi. R. 1807 prof. Pajola, sprowadzony z Wenecji dla JW. Karpia, nie robił tej operacji, ponieważ chory się wzbraniał, niektórzy dowodzą, że zrobił i skruszył kamień, gdy Karp' nie pozwolił go wyjmować. R. 1810¹⁾ profesor dr. Konstanty Lewkowicz²⁾, uczeń Wileński, ogłosił rozprawę o szczypcach do wydobywania kamieni, przez siebie w zamku poprawionych. 1812 r.

¹⁾ Nie w r. 1810, lecz w r. 1811. (P. W.)

²⁾ Imię mylnie podane. Lewkowicz miał na imię Sykstus. (P. W.)

dr. Jankowski pisał rozprawę dla otrzymania w Wilnie stopnia doktora medycyny „De calculis viarum urinarium eorumque analysi chemica“. 1814 r. Niszkowski dobył kamień 3 uncje ważący szczęśliwie, 1815 r. podobnie u chłopca młodego, 16-to letniego; wiadome u nas osoby w Wilnie, którym Niszkowski szczęśliwie robił operacje, są: obyw. Kostrowicki i Każyński, dyrektor Teatru Wil. W 1816 r. opisał w Pam. Lek. Wil. Dr. Vizzini odejście dobrowolne kamienia per perineum, ważącego 2 drachmy i gran 10 po 3-miesięcznej strangurji i pęknięciu abscessi prawej strony urethrae. Ad 1818 Pelikan robił operacje kamienia, które w rozprawach opisane: i tak Sokołowski (dissert. inaugur. 1819 „De Lithotomia“) opisuje operację u chłopca 5-cio letniego i u dziewczynki 8-mio letniej. 1823 ogłoszona rozprawa Reichwalda „De Lithotomia“, obejmująca całą historję w ogólności. Pelikan 1817 r. przysłał rozprawę do Uniwersytetu po polsku o litotomji na prof. chirurgji konkursową, później przywiózł ze sobą wiele kamieni pęcherzowych z Petersburga i wszystkie oddał do muzeum anatom. 1822 robił Pelikan w przytomności Czartoryskiego. Od r. 1826 Gałęzowski robił jedną lub 2 litotomje. Od r. 1829—38 Porcjanko robił ze trzy litotomje, Rulkiewicz jedną operacją. U Krzyszkiewiczowej dobyto kamień op. per altam...¹⁾ Od r. 1838—42 Korzeniowski ze trzy litotomje i litotrypsje. 1832 Porcjanko dobył ex fistula urinaria u kobiety konglomerat, a raczej inkrustację gąbki, która służyła do do zatykania fistuły. 1822 uczeń med. Beniewski Bartłomiej wpadał na myśl rozpuszczania kamieni w pęcherzu przez wprowadzenie parasolika małego, napelnionego płynem chemicznym. Wogóle od 1806—1840 robiono 15 litotomij: 12 u mężczyzn, 3 u kobiet. Mężczyzn umarło 4, kobieta żadna.

¹⁾ Wyraz nieczytelny. (P. W.)

Najczęściej robiono dorosłym, nawet starym, dzieciom tylko 3 razy.

Co do patologji porównawczej, dodać mogę, że może z 1000 sekcij na zwierzętach przez lat dwadzieścia kilka robionych, znalazłem tylko 5 razy kamienie pęcherzowe u świń, raz u psa, raz u żółwia zwyczajnego.

1846 A d a m o w i c z.

VII.

PAMIĘTNIKI WIKTORA SZOKALSKIEGO.

WYDAŁ ROMUALD WIERZBICKI.

ROZDZIAŁ V.

POCZĄTKI PRYWATNEJ PRAKTYKI LEKARSKIEJ. KSIĄDZ CZERKAS.
PONOWNE ZBLIŻENIE SIĘ Z JULJANEM SZOTARSKIM I ZAWARCIE
ZNAJOMOŚCI Z MICKIEWICZEM. GENEZA DZIEŁA O FANTAZYJNYCH
OBJAWACH ZMYŚLOWYCH.

Próbowałem założyć własną lecznicę, ale na to za mało byłem znany w Paryżu, a zresztą moje zasoby pieniężne nie wystarczały na pokrywanie wydatków. Próbowałem wyklądać prelekcje publiczne w szkole praktycznej lekarskiej. Uczęszczano na nie, ale przekonałem się, że mnie to do niczego nie doprowadzało. Wiadomo jest, że nauczanie w zakresie medycznym zupełnie jest we Francji swobodnem, że każdy doktor bez dalszych formalności może wyklądać i że nawet w tym celu urządzonych jest kilka audytorjów specjalnych w szkole lekarskiej paryskiej. Wykłady takie bywają znamienite, a w każdym razie przygotowują dobrych profesorów, ale cóż mnie to obchodzić mogło, który jako nie Francuz żadnego stanowiska urzędowego osiągnąć nie mogłem. Byłem więc zredukowany wyłącznie do mojej na mieście praktyki, ale i z tą we Francji, a mianowicie dla poczynającego lekarza idzie bardzo tępo. Każdy Francuz, a tembardziej każda rodzina ma swego lekarza, którego bez bardzo ważnej nie opuszcza przyczyny i wartoby to wziąć bardzo za przykład. Otóż praktyka zdobywa się bardzo powoli i nierzadko lat dłu-

gich potrzeba, zanim się rozwinie, a nadto, jak wszystko w Paryżu, tak i honorarja lekarskie idą na kredyt, i nieraz miesiące, a nawet lata całe przechodzą, zanim zostaną zrealizowane, co też przy nieustannej zmienności paryskiej ludności na dotkliwie nieraz lekarza naraża straty. Jeżeli zatem na pierwsze przynajmniej lata nie ma utrzymania i na swój rachuje zarobek, to zginął, a przytem niedosyć tu coś umieć, nie dosyć jak najsumienniejszy wykonywać swe obowiązki, potrzeba jeszcze być kupcem, prowadzić książki rachunkowe i umieć sobie kazać zapłacić. To się dokonywa grzecznością, natęctwem, przymusem, a nawet impertynencją albo procesem. Ażeby stosownie władać temi środkami, potrzeba osobnego talentu, jakiego ja nie posiadam i nigdy go w sobie nie umiałem wyrobić. Medycynę uważałem zawsze za coś humanitarnego, ale nie za handel. Tak mnie wychowano, tak to we mnie zostało i dlatego przez cały ciąg życia mojego to tylko miałem, co mi samo niemal do ręki wlało z wielkiem zgorzzeniem moich kolegów, nawet w Warszawie, którzy mnie nie tylko za niedołęgę uznawali, ale, co więcej, za człowieka szkodliwego, psującego ceny.

Położenie moje było bardzo trudne, zaczynało mi brakować chleba, a musiałem się jednak uśmiechać, ażeby mojej matki nie martwić i nie ściągać na siebie skutków nerwowej jej niespokojności.

Rzecz jednak uderzająca, że ile razy los mnie przyparł do muru, tyle razy przychodziła mi zawsze niespodziewana, osobliwa, a czasem nawet bardzo dziwaczna pomoc, dająca mi znowu swobodę działania, jak gdyby Opatrzność czuwała nade mną. Otóż tym razem zesłała mi najniezwykłego dziwaka w osobie księdza Czerkasa, człowieka z najszlachetniejszym sercem, a dziwnym i niepohamowanym umysłem zakrojem. Miał on już około lat 50, a wyglądał na trzydziestoletniego człowieka. Rodem z Wołynia, oddany był

do szkół jezuitckich w Galicji; w 17-ym roku życia wszedł do jezuickiego seminarjum w Ołomuńcu i tam wykształciwszy się odpowiednio posłany został na profesora matematyki do Medjolanu, a naostatku do konwiku w Lucernie, gdzie się poznał ze Skorpukami, a przybywszy do Paryża i zerwawszy z zakonem, wprowadzony został przez nich do domu ich matki. Tam się też z nim poznałem. Był to człowiek średniego wzrostu, zgrabnie zbudowany, przedstawiający się bardzo przyzwoicie, odpowiadający wyraźnie wymaganiom wykwinniejszego towarzystwa, i dopiero przy bliższem poznaniu uderzał swą oryginalnością kozaczą, którą jednak umiał do czasu pokrywać polorem dobrze wychowanego człowieka. Poznawszy się z nim bliżej, rozpoznałem jego dwoistą naturę, gdy w nim raz jeden, drugi raz drugi odcień wychodził na widownię jego postępowania. Jezuitci, nie mogąc sobie z nim dać rady, puścili go w świat wolno, ale zawsze się nim opiekowali. Przybywszy do Paryża, dawał lekcje języka włoskiego i matematyki, był doskonałym pedagogiem, żył w dosyć bliskich stosunkach ze znanym l'abbé Mognan, także eksjezuitą, astronomem i matematykiem, i miał wcale dobre dochody. Cieszył się wielu znajomościami, i nawet w bardzo poważnych przyjmowano go towarzystwach. Nic w nim nie było księżego i do swego duchownego charakteru nie lubił się przyznawać. Ciągłe wyświeżony, we fraku i lakierkach, wyglądał po salonowemu, zawsze miał dużo do opowiadania, był żywy i dowcipny w rozmowie i kobietom podobał się bardzo. W klasztorze już przybrał nazwisko ojca Lachaise i tak go też mianowano. Nieokiełznana jego natura znalazła otwarte dla siebie pole na paryskim bruku. Wyleciał na nie jak żrebiec nieokiełznany, ażeby sobie powetować młodość zmarnowaną pod rygorem ojców. Patrząc na niego zdaleka, brać go było łatwo za wietrznika i szalawile, poznawszy go jednak bliżej, postrzegało się, że to wszystko

przyzwoitej nie przechodziło miary i że ksiądz zawsze tu nad pustakiem panował, chociaż postępowanie jego nie zawsze odpowiadało powadze wieku i stanu. Ten ksiądz wietrznik i dzieciak na starość interesował mnie bardzo jako osobliwość, lecz gdy się do niego zbliżyłem, musiałem go cenić. Pomimo całej swojej lekkomyślności był to człowiek w gruncie swego charakteru poważnie i szlachetnie myślący, tylko jakieś kozacke lichy opanowywało go¹⁾ od czasu do czasu. Przytem był nieugięty względem swych kapłańskich obowiązków, co nieraz zająć bardzo pociesznych stawało się powodem. Mszę odprawiał codziennie o 5-tej godzinie rano w małej przedmiejskiej kapliczce, ażeby go nikt nie widział; brewjarz odczytywał skrupulatnie, pościł zacięcie, nie cierpiał wszelkich religijnych dysput, a wszystko co uwłaczało religji, do wściekłości go doprowadzało. Przypominam sobie, że raz u pani Skorupkowej, gdy mu coś generał Dembiński dociał, jego kozacka natura uniosła go tak dalece, że powiedział: Jenerale, za to mógłbym satysfakcji zażądać. Ale jenerał przyjął to z uśmiechem i rzekł: ot dałbyś pokój, bobym cię tylko daremnie zbezczęścił. A to jakim sposobem? — zagadnął zdziwiony. Oto przebiłbym cię szpadą na wylot i z *Lachaisa* zrobiłbym *la chaise percée*. Śmieliśmy się, wzięwszy się za boki, i tym sposobem zakończyła się zwada.

Chodziliśmy często do teatru i nieraz na bale opery i inne, a wtedy Czerkas był w swoim żywiole; śmiech mnie brał tylko, widząc jak się wymykał podczas międzyaktów, krył się gdzieś w kącie foyer i odmawiał brewjarz. Na balikach przekamarzał się z dziewczętami, udawał marynarza lub Włocha, kupca z Liworno, toczył cięte rozmowy, ale nigdy za daleko nie szedł, a gdy raz dwunasta godzina w nocy zastała go przy kolacji, położył widelec na stole i za żadne skarby na świecie nie jadłby dalej, żeby mszalnym nie uchybić

¹⁾ W rękopisie brak wyrazu „go“ (P. W.)

przepisom. Dziwny ten człowiek naprowadził mnie na myśl dwoistości charakterów ludzkich, tak często obserwować się dających, a tak mało dotychczas badanych. Widziałem mnóstwo takich, u których dwie lub więcej cech w zupełnej ze sobą zostawały sprzeczności, n. p. rozrzutność i skąpstwo, arystokracja i sankiulotyzm, uniżoność i pycha, szlachetność i podłość i t. d. tak, że raz jedna cecha najniespodziewaniej występowała na jaw w postępowaniu. Obserwowałem także i takie charaktery, gdzie oba elementy przechodziły już ze stanu prostej mieszaniny do pewnej chemicznej kombinacji, i zapatrując się głębiej z tego punktu widzenia, przyszedłem niemal do tego przekonania, że charaktery jednolite, konsekwentne są rzadkie, zwłaszcza u mężczyzn. Jeden element bywa jakby wrodzony, często dziedziczny, a drugi sztuczny, osiągnięty przez wychowanie lub nawyknięcie, i kłóć się ze sobą w życiu.

Gdy raz przechadzaliśmy się wieczorem po Placu Zgody, świeżo wówczas urządzonym, a ja byłem bardzo ponury, tak że Czerkas niczego ze mną dogadać się nie mógł, przyparł mnie do muru, i wypowiadałem się przed nim z mych kłopotów, a to miało ten skutek, że on spochmurniał, a ja, zrzucawszy ciężar z serca, ożywiłem się trochę. Rozeszliśmy się jakoś skwaszeni, a Czerkas zażądał ode mnie, ażebym nazajutrz w tem samym miejscu i o tej samej godzinie się sta-
wił. Gdyśmy nadeszli, ksiądz, przywitawszy się ze mną, zgóry zaraz zaczął i to z taką powagą, jakiej u niego nigdy nie widziałem dotąd: Powiedz mi też, panie doktorze, wiele by ci też potrzeba pieniędzy, ażebyś na swoich mógł stanąć nogach? Potrzebaby mi około 1000 franków odrzekłem¹⁾ odurzony nieco tem zapytaniem. — A to je mieć możesz, tylko weź się potem rażno do rzeczy. Mogę ci je dostarczyć, bo zamiast składać moje oszczędności do kasy, mogę ci je powierzać, a ty mi

¹⁾ Wyrazu tego brak w rękopisie. (P. W.)

oddasz je razem. Przyjąłem z wdzięcznością tę niespodziewaną i przyjacielską usługę, zwłaszcza że mi ta suma w ośmiu wypłacana ratach, rozwiązywała ręce i wystarczała zupełnie jako dopełnienie moich wydatków. Odtąd żyliśmy bardzo po przyjacielsku ze sobą. Przynosił mi co miesiąc 120 franków, ja go kwitowałem, a po ósmym miesiącu wręcz mi oświadczył, że życzy sobie, ażeby owe 1000 franków zostały w mym ręku, gdyż pieniądze go się nie trzymają, a radby mieć zasób na czarną godzinę.

Wspaniałomyślnie ofiarowana pomoc przyniosła mi szczęście. Praktyka moja, już nie przeważnie okulistyczna, lecz ogólna, z dziedziny medycyny, chirurgji, a zwłaszcza akuszerji, rosła dosyć szybko między niższem kupiectwem w okolicy ulic St. Denis i St. Martin, dzięki rekomendacjom Hektora Boyer, który miał tam liczne relacje. Wyszedłem znów na wierzch, wprowadzie przy niezmiernej pracy, ale stanąłem na takim stopniu, że nie tylko opędzałem moje potrzeby, ale już zacząłem odkładać na zaspokojenie mego szanownego dziwaka, który naraz zniknął mi z oczu. Nie wiedziałem co to znaczyć się miało, rachowałem na jego rychły powrót, alem rachował napróżno. Dowiedziałem się tylko, że został guwernerem przy dzieciach jakiegoś legitymisty w okolicach Tuluzy, ale i stamtąd usunął się¹⁾ bez wieści. Całe to zajście było dla mnie najzupełniejszą zagadką i do dziś dnia nią pozostaje. Cokolwiekby pożyteczka szanownego księdza, czy też dar, bardzo był²⁾ sprytnie zamaskowany. Pożyczki jego były mi bardzo pożyteczne, zapracowałem na dochody późniejsze i rachowałem dobrze, gdyż udało mi się skompletować sumę 1000 franków i złożyć ją do banku, ażeby była gotowa na wszelkie żądanie. Niestety Czerkas zniknął ze sceny,

¹⁾ Brak tego wyrazu w rękopisie. (P. W.)

²⁾ Brak tego wyrazu w rękopisie. (P. W.)

a ja w dziesięć lat później depozyt mój ściągnąłem. Pewnie go Jezuici gdzieś zaprzepaścili.

Jako lekarz Towarzystwa dam polskich zmuszony byłem bywać często u księżny Czartoryskiej, ażeby zdawać jej sprawę o chorych, mojej zostawionych opiece. To mnie zbliżyło z księżecą rodziną, złożoną wówczas z dwóch dorastających synów — Witolda i Władysława, z księżniczki Izzy, dzisiejszej pani Działyńskiej, i z babki — księżny Sapieżyny. Oboje księstwo byli bardzo na mnie łaskawi, często zapraszano mnie na śniadanie lub na obiad. Siadał wtedy do stołu pan Błotnicki guwerner, guwernantka francuska i niekiedy malarz Norblin, warszawiak, mały i garbaty, o którym już wspomniałem, a ogromny pies księcia kładł wtedy na stół, swą mordę, i, uważając na wszystko, strzygł oczami na wszystkie strony. Dla biednego Norblina pies ten był istną zmorą, bo gdzie tylko go dopadł, kładł mu na ramieniu swe łapy i uporczywie mu się w oczy wpatrywał. Ze mną był on w wielkiej przyjaźni, chociaż mógłby się być bardzo pogniwać, gdyż rzucałem mu często w ogromną jego paszczę gałki z chleba, które w powietrzu chwytął, a potem ich w gębie językiem szukał, wykrzywiając się w najkomicniejszy sposób. Ponieważ księżna życzyła sobie poznać moją matkę, przedstawiłem ją zatem; a że w tej chwili była w salonie księżna Sapieżyna, poznały się obie natychmiast jako koleżanki z pensji pani Peters w Warszawie, bo księżna była właśnie ową liberalną wówczas księżniczką, która przyjaźniła się z mieszczką ze zgorszeniem całego grona arystokratek podlotków. Zawiązały się więc na nowo stosunki, co mi niesłychanie było na rękę.

Półtrzecia już roku mijało, jak zerwałem z Szotarskim, a nasze drogi były tak różne, że mało wiedzieliśmy o sobie, aż naraz dowiedziałem się od Szulca, że wpadł w suchoty i że mu się już niewiele należy, lecz że często o mnie sobie

wspomina i radby bardzo ze mną znowu się zbliżyć. Pobiegłem więc natychmiast do niego na rue d'Enfers, gdzie mieszkał w ogrodzie. Znalazłem go zmienionego niezmiernie. Wyciągnął do mnie ręce i uściskaliśmy się serdecznie, bez żadnych zresztą wymówek. Odtąd codziennym bywałem jego gościem i znajdowałem tam często Mickiewicza, Chodźkę i moich szkolnych kolegów: Krystyna Ostrowskiego, poczynającego wówczas literata i matematyka, i Niewęgłowskiego. Przychodził też nieraz i bajkarz Gorecki, człowiek niesłychanie miły. Było to bardzo poważne literackie grono, gdyż Sztotarski z medycyną wziął rozbrat i cały się literaturze poświęcił; przepędzaliśmy nieraz późno aż do północy wieczory paryskim obyczajem, a byłyby to rzeczywiście jedne z moich najprzyjemniejszych chwil życia, gdyby widok gasnącej egzystencji ich nie zatruwał. Mickiewicz cenił Sztotarskiego wysoko i bardzo mu też wiele okazywał współczucia. W ostatnich jego tygodniach długo nieraz nocami przesiadywał przy nim, a wtedy to miałem przyjemność zbliżenia się do niego. Przeglądał urywki poetyczne Juljana, oraz początek jakiegoś zaczętego poematu, lecz swojego nie wygłaszał zdania. Chory miał ranki swobodne, ale wieczorem za nadejściem gorączki był przygnębiony i coś wpółsenie marmotał. Otóż raz, gdym siedział przy jego łóżku przy stłumionej lampie, powiedział mi, żebym wyszedł, gdyż oczekuje wizyty. Zdziwiłem się bardzo, bo o tej porze nikt nie przychodził, byłem jednak posłuszny i oddaliłem się do przyległego gabineciku i wkrótce usłyszałem urywki nibyto jakiejś rozmowy, z której głos samego chorego mnie tylko dolatywał. Gdy nazajutrz pytałem Juljana, czy się stawił jego znajomy, kiwnął głową potakująco, a gdy pytałem dalej, co to był za jeden, odpowiedział mi, że był to doktor filozofii i teologii Ott, Niemiec, który, dowiedziawszy się, że jest chorym, przychodzi do niego co wieczór. Na zapytanie moje, jak wygląda,

powiedziano mi, że już niemłody, krępy, bardzo biednie ubrany, że jak przyjdzie, to stawia sobie stółek przy łóżku, nachyla się i szepcze prawie do ucha, ale że to bardzo mądry jest człowiek i bardzo zwysoka zapatrujący się na świat i na ludzi. Prowadziliśmy długie ze sobą rozmowy, a teraz przeszliśmy na nieśmiertelność duszy i na życie przyszłe. A przecież ty o tych pytaniach nic wiedzieć dawniej nie chciałeś, ile razy wpadałem na nie. — *Tempora mutantur*, odpowiedział mi na to, bo dziś bardzo mnie one interesują, wybierając się na wędrowkę, z której się nie wraca. — A któż ci to powiedział, żeś na odjeźdnem? — Gadał zdrow, i spojrzał na mnie, jak gdyby mnie chciał zbadać, bo wszakże wiesz sam doskonale, co ze mną się dzieje, a zresztą jeżeli dusza moja jest nieśmiertelną, to przecież nic na tem nie straci, jeśli ozdrowię. Biedny mój przyjaciel doświadczał perjodycznych co wieczór przywidzeń (halucynacje). Widział swojego Otta, słyszał go, rozmawiał z nim, a ich rzekome dysputy były to tylko argumentami *pro i contra*, rodzącemi się we własnym umyśle chorego. Nad wieczorem zawsze polecał mi, czy też komu innemu, kto przy nim czuwał, przygasać lampę, mówiąc, że Ott nie znosi jaskrawego światła, i potem nakazywał, ażeby go zostawiać samego. Niebawem zaczynała się rozmowa, w której trzeba się było dorozumiewać tego, co Ott niby mówił. Chory leżał w gorączce rozmarzony w łóżku, ale wpół przytomny i najmniejszy szelest go raził. Rozmowy nacechowane były pewną podniosłością i namaszczeniem i na podsluchującym wywierały głębokie wrażenie. Rankami i ja odważałem się wdawać z Julianem w rozmowy z tematów, które go widocznie mocno zajmowały, ale i dręczyły zarazem, bo, jakkolwiek wychowany w katolickich zasadach, przez wpływ życia i naukowej jednostronności, stał się bezwyznaniowym i teraz dwa z sobą przeciwne walczyły w nim prądy. Tymczasem stan jego zdrowia stawał się coraz groźniejszym, aż naraz jednego ranka, ują-

wszy mnie za rękę, poprosił mnie ze łzami w oczach, ażebym mu księdza zawołał. Pobiegłem po księdza Duńskiego od Zmartwychwstańców, od którego ostatnie przyjął sakramenta, a nazajutrz życie zakończył. Pochowaliśmy go na cmentarzu Montparnasse w grobie na 5 lat zakupionym według paryskiego zwyczaju, gdyż grunt na stałe kupuje się, gdy się ma nagrobek stawiać, a to nie odpowiadało naszym emigranckim zasobom. Zwykle wydzierżawia się tylko pokładne na lat 5 i rodzina odnawia dzierżawę z wyjściem terminu, lub też administracja zwłoki usuwa, chowając je w ogólnym grobie. Jest to rzecz wstrętna dla naszych polskich pojęć, ale dla miasta miljonowego trzeba chyba milami rozciągających się cmentarzy.

Widzenia Szotarskiego niesłychanie mnie zajęły, gdyż w nerwowym moim usposobieniu, również jak u każdego Polaka, znajduje się pewna mistyczna domieszka, a to, com widział i słyszał, było jakoby dorzuceniem na zarzewie węgla. Co to jest owa myśl rozogniona w człowieku, która i krystalizuje w widzeniu i słyszeniu zmysłowym, i jako przedmiot występuje przed tobą. Szotarski był poetą i filozofem i w ostatnich tygodniach życia duch jego zwolna i stopniowo (odłączał¹⁾ się od ciała, jak płomień w lampie, która przygasa i zwolna odrywa się od knota. Znikomość ciała i apoteoza ducha, cóż to za wzniosłe zjawisko! Byłem niem wzruszony do głębi i zdawało mi się, że sam bliski jestem zgonu. Mówiłem o tem obszernie z Mickiewiczem, objaśnić mnie nie umiał, ale opowiedział mi kilka ciekawych zdarzeń, których był świadkiem, tak iż moją ciekawość więcej rozogniły jeszcze. Musiałem jednak poprzestać na jego cudownych obrazach, a jam się chciał dowiedzieć, jakich sposobów używa duch nasz, gdy je przedstawia przed nami. Mówiłem o tem z baronem Louis, znakomitym ówczes-

¹⁾ Brakuje tego wyrazu w rękopisie. (P. W.)

nym paryskim lekarzem, którego często u Czartoryskich widywałem; ten odpowiedział mi, że to są halucynacje, i że te u suchotników wcale nie są rzadkością, ale, jeżeli chcesz bliżej się z nimi poznać, dodał mi potem, to udaj się do Brierre de Boismont'a, gdyż on właśnie obecnie bada je specjalnie, a przecież znać go musisz, gdyż on był u was w Warszawie podczas waszego powstania wraz z gronem naszych lekarzy. Był on psychiatrą i właścicielem prywatnego domu obłąkanych. Przyjął mnie bardzo serdecznie, mówił z wielkim współczuciem o Polsce, a gdyśmy zeszli do moich halucynacyj, wysłuchał mnie cierpliwie i odparł krótko: Jak mi powiesz, co i jak dzieje się w mózgu, gdy człowiek myśli i czuje, jak się tam obraca i porusza jego cudowny mechanizm, to ci na twoje odpowiem pytanie; ale jeżeli nic a nic nie wiemy o tem, to nam pozostają tylko ściśle i dokładne obserwacje faktów, zbliżenie ich do siebie, objaśnienie jednych drugimi, ażeby stąd wyciągnąć prawa, które niemi rządzą. Ja właśnie, jak ci Louis powiedział, pracując nad tym przedmiotem, takie sobie stanowisko obrałem, i byleś nie żądał, żebym z niego wyszedł, mogę ci wszelkich objaśnień dostarczyć. Odtąd widywaliśmy się dość często i odtąd też także zrodziła się myśl we mnie napisania ongiś obszerniejszego o przywidzeniach dzieła, zwłaszcza, że przedmiot ten dotykał nader blisko mojej oftalmologii. I to był początek moich „Fantazyjnych objawów zmysłowych“, dwutomowego dzieła, które w Krakowie w piętnaście lat później wydałem. Mając moje halucynacje na względzie, nie uchybiłem żadnej sposobności zbliżenia się do panów Voisin i Esquirol, dwóch najznakomitszych uczonych psychiatrów francuskich i zasypywałem ich temi pytaniami, rachując na pocziwą francuską naturę, która nikomu nie odmawia objaśnienia i nauki, kto ich tylko żąda. Jeśli o nie prosisz Francuza, to rzeczywiście sprawiasz mu przyjemność i pewnie

w dziesięcioro się zwinie, ażeby cię zadowolnić, jeśli zmiarkuje, że go słuchasz uważnie. Voisin to pierwszy zwrócił moją uwagę, że psychologia jest podstawą wszelkiej psychiatrycznej wiedzy i że tak się ma do niej, jak fizjologia do medycyny, i że powinna być nauczana jako część fizjologii i polegać na obserwacji, a nie na metafizyce. Na nieszczęście panowie lekarze obłąkanych nie wszyscy stoją na wysokości swojego zadania i wielu to ja sam znam takich, którzy o psychologii i logice najmniejszego nie mają wyobrażenia. A jednak jest to kierunek, który dziś przeważa, choć wówczas był nieledwie instynktownym tylko naukowem natchnieniem. Przy ówczesnych moich zatrudnieniach nie mogłem myśleć o wzięciu się do czegoś, dla mnie zupełnie nowego, odłożyłem zatem moje widma i przywidzenia do szczęśliwszej przyszłości. Pozostałość po Szotarskim wiele mnie nabawiła kłopotów. Wystarczała zaledwie na pokrycie kosztów pogrzebu i zaspokojenie małych niektórych długów. Lecz ojciec jego w Krakowie, nie wiem skąd nabył przekonanie, że syn jego o wiele był zamożniejszy, a co więcej, że zostawił po sobie dwa rękopisy trzutomowej anatomji ciała ludzkiego i jakiegoś lirycznego poematu, którego wprowadzie kilka pierwszych kartek znalazłem i Mickiewiczowi pokazywałem, nic a nic nie wiedząc o reszcie. Przywidziało się staremu i atakował mnie obcesowo, dając mi do zrozumienia, że owe urojone prace sam chyba zamierzam pod mojem wydać nazwiskiem i tak na mnie się skarżył, że byli tacy, którzy uwierzyli bajce. Pisywał do Mickiewicza i do Gorckiego, przed którymi musiałem się tłumaczyć. Wybaczyłem dziwaczne te podejrzenie stroskanemu ojcu, ale mi one przyjemne nie były.

LISTY FILIPA WALTERA DO WALEREGO WIELOGŁOWSKIEGO

(1836—1844)

Z AUTOGRAFÓW WYDAŁ I WSTĘPEM ORAZ PRZYPISAMI ZAOPATRYŁ
JAN ZAWIDZKI:

Niniejsza wiązanka 37-miu listów Filipa Waltera, będąca zaledwie drobnym fragmentem obszernej jego korespondencji — niestety zagubionej, stanowi cenny materiał do biografii tego wybitnego chemika, zarówno jak i do charakterystyki naszych stosunków naukowych w drugiej ćwierci ubiegłego stulecia.

Działalności naukowej Waltera poświęciłem przed kilkunasty laty obszerniejsze studjum¹⁾, wobec czego mogę się obecnie ograniczyć do podania krótkiego życiorysu tego badacza oraz dorywczej charakterystyki jego działalności naukowej.

Filip Nereusz Walter (1810—1847) był synem Jana Nepomucena Waltera (1784—1861), znanego kupca krakowskiego, wielkiego patrioty polskiego, który brał czynny udział w ruchach narodowych w latach 1830, 1846 oraz w 1848. Urodzony 31 maja 1810 r. w Krakowie, ukończył w r. 1825 Gimnazjum Nowodworskie (Św. Anny) i wstąpił na Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym słuchał w ciągu dwóch lat wykładów historii powszechnej

¹⁾ Jan Zawidzki, Filip Nereusz Walter (1810—1847), pierwszy polski organik. (Kosmos 1913, XXXVIII, 849—928).

Michała Wiszniewskiego, wykładów chemji ogólnej Józefa Markowskiego (1758—1829) i innych. Widocznie wykłady te nie zaspakajały jego żądzy wiedzy, bowiem już w r. 1827 przeniósł się on do Uniwersytetu Berlińskiego, poświęcając się specjalnie studjom chemicznym pod kierunkiem znakomitego prof. Eilharda Mitscherlicha (1794—1863). W r. 1830 uzyskał on stopień doktora filozofji na podstawie rozprawy p. t.: „De combinationibus acidi oxalici cum alcalis“, (Berolini 1830, 8-ka, str. 21), wykonanej w pracowni Mitscherlicha.

We wrześniu tegoż roku wrócił Walter do Krakowa z zamiarem udania się następnie do Francji oraz do Anglii, celem dalszego specjalizowania się w dziedzinie chemji. Do wyjazdu tego jednakże nie doszło, bowiem skutkiem śmierci prof. Józefa Markowskiego, zaszłej z końcem 1829 r., ówczesny kurator Uniwersytetu Jagiellońskiego, hr. Józef Załuski powołał Waltera na opróżnioną katedrę chemji ogólnej i stosowanej. Zanim wszakże odpowiednia nominacja została wydana przez Senat Rządzący Rzeczypospolitej Krakowskiej, wybuchło w dniu 29 listopada powstanie w b. Królestwie Polskim. Walter wstąpił natychmiast do szeregów armji powstańczej, w których pełnił służbę adjutanta w sztabie głównym. Niedługiem wszakże było to jego wojowanie, bowiem już w lipcu 1831 zapadł na ciężką chorobę, (której skutki zaciężyły na całym jego późniejszym życiu) i został wywieziony z powrotem do Krakowa.

Otrzymawszy w r. 1831 od Senatu Rządzącego nominację na profesora chemji w Uniw. Jagiellońskim, ofiarował się Walter wyjechać na koszt własny zagranicę na przeciąg dwóch lat, a to celem należytego wyspecjalizowania się w zakresie chemji stosowanej. W grudniu 1831 r. przybył on do Paryża, zaopatrzony w listy polecające Mitscherlicha, i począł zwiedzać tamtejsze fabryki chemiczne, a jednocześnie

rozpoczął prace doświadczalne u p. J. P. Baruela, szefa laboratorium chemicznego Szkoły Medycznej.

W trakcie tego rozpoczęli w Krakowie swe rządy apodyktyczne komisarze trzech dworów opiekuńczych, a utworzona przez nich t. zw. Komisja Reorganizacyjna unieważniła w r. 1833 nominację Waltera na prof. chemji, samą zaś katedrę chemji ogólnej na Wydziale filozoficznym skasowała, przyłączając ją do katedry farmacji na Wydziale lekarskim i powierzając obie te katedry Florjanowi Sawiczewskiemu (1797–1876), który pozostawał na nich aż do r. 1859.

Pozbawiony swego stanowiska w Uniw. Jagiellońskim, Walter nie upadł na duchu, lecz postanowił pracować dalej naukowo w ulubionej specjalności, wyczekując odpowiedniej chwili powrotu do kraju. Najprawdopodobniej otrzymał on początkowo miejsce w prywatnej pracowni chemicznej J. B. Dumasa (1800–1884), gdzie się dał poznać ze swych uzdolnień. Do tego przypuszczenia upoważnia nas fakt, że w r. 1836, na skutek przedstawienia Dumasa, został Walter zamianowany kierownikiem prac chemicznych (chef des travaux chimiques) w Szkole Centralnej sztuk i rzemiosł. Na stanowisku tem pozostawał on do r. 1846, prowadząc początkowo ćwiczenia z chemji ogólnej na pierwszym roku studjów, a następnie ćwiczenia z chemji analitycznej na drugim i trzecim roku studjów.

Od chwili wstąpienia do Szkoły Centralnej datuje się szereg samodzielnych prac doświadczalnych Waltera. Pierwsze z nich, traktujące o wodzianie wodorotlenku potasowego (1836) oraz o charakterze chemicznym chlorku chromylu (1837), były prawdopodobnie zainicjonowane przez E. Peligot'a (1811–1890), następcę Dumasa na katedrze chemji w Szkole Centralnej. W następstwie jednakże oddał się Walter całkowicie badaniom związków organicznych. Wraz z Józefem Pelletierem (1788–1842) ogłosił on w la-

tach od 1837 do 1842 szereg doniosłych badań eksperymentalnych nad produktami suchej destylacji różnych substancji roślinnych, które doprowadziły go do odkrycia toluolu, kumolu, dwufenylu, naftenów, mentenu, cedrenu, kwasu sulfo-kamfylowego oraz wielu innych ważnych związków chemicznych.

Literaturze chemicznej polskiej zasłużył się Walter przede wszystkim swym klasycznym „Wykładem nomenklatury chemicznej polskiej i porównaniem jej z nomenklaturami: łacińską, francuską, angielską i niemiecką. Kraków 1844, 8-ka, str. 96.“, — będącym podstawą współczesnej naszej nomenklatury związków chemicznych nieorganicznych.

W r. 1840 uległ Walter w laboratorium chemicznym bardzo silnemu poparzeniu, o którym znajdujemy wzmiankę w załączonej korespondencji. Poparzenie to poderwało jeszcze bardziej jego słabowite zdrowie. Czując wzrastający upadek sił, zrezygnował on w r. 1846 ze stanowiska zajmowanego w Szkole Centralnej. Wreszcie zakończył męczeński swój żywot w dniu 9 kwietnia 1847 r., w Paryżu, ozdobiony na łożu śmierci krzyżem legji honorowej.

Filip Walter był niewątpliwie najwybitniejszym naszym chemikiem, pracującym twórczo w drugiej ćwierci 19-go wieku. Był on jedynym Polakiem, który przed rokiem 1850 pracował twórczo w dziedzinie chemji związków organicznych i dziedzinę tę zubożył odkryciem i poznaniem przeszło dwudziestu nowych — ważnych połączeń.

Walery Wielogłowski (1805—1865), do którego pisywał Walter przytoczone poniżej listy, był jedną z wybitniejszych osobistości, działających na emigracji. Ludwik Dębicki dał nam wyczerpującą jego sylwetkę,¹⁾ do której odsyłam czytelnika, ograniczając się podaniem kilku dat, do-

¹⁾ Ludwik Dębicki, Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia. Serja I. Kraków 1905, str. 29—114.

tyczących jego żywota. Urodzony w r. 1805, ukończył Wielogłowski Gimnazjum Nowodworskie (Św. Anny) w Krakowie w r. 1823, a następnie wstąpił na Wydział filozoficzny Uniw. Jagiellońskiego. Skutkiem przedwczesnej śmierci ojca swego, zmuszony był porzucić studia uniwersyteckie już w roku 1824, by objąć zarząd obszernych dóbr Zborowskich, położonych w południowej części ziemi Kieleckiej. Podobnie jak Walter, brał on czynny udział w powstaniu listopadowym jako szef sztabu generała Samuela Różycckiego, to też wraz z upadkiem powstania emigrował do Galicji, gdzie się trudnił gospodarstwem rolnem, propagując jednocześnie teorie socjalistyczne oraz ideje demokratyczne. Zmuszony w r. 1836 do opuszczenia Galicji, uszedł do Francji, którą w ciągu dwunastoletniej tułaczki przejeździł wzdłuż i wszerz, grupując koło siebie towarzyszy wygnańców i szerząc pomiędzy nimi ideje nowego chrystjanizmu. Łączyły go zażyłe stosunki oraz węzły przyjaźni z najwybitniejszymi przedstawicielami duchowymi naszej emigracji. Przyjaźnił się z Mickiewiczem, Bohdanem Zaleskim, Chopinem, Jańskim, Jełowickim, Kajsiewiczem, Semenenką, Duńskim, Cezarem Platerem, Janem Koźmianem oraz wielu innymi, to też pozostała po nim korespondencja przedstawia niezmiernie ciekawy materiał do poznania nastrojów duchowych, panujących w sferach emigracyjnych.

W r. 1848 wrócił do Krakowa, prawie zupełnie zapomniany przez współczesnych, ubogi — pozbawiony swej ojcowizny, lecz uzbrojony w wielki zasób energii, pracowitości i wytrwałości. W Krakowie otworzył komisowy dom handlowy oraz katolicką księgarnię ludową, zajmującą się wydawaniem książek do nabożeństwa, kalendarzy oraz popularnych wydawnictw ludowych. Również i sam on zabrał się do pióra, ogłaszając wiele popularnych powieści i opowiadań ludowych, które swego czasu cieszyły się dużym powodzeniem.

Z Walterem zapoznał i zaprzyjaźnił się on w Krakowie, podczas swego pobytu w gimnazjum. Niezwykle serdeczne i zażyłe stosunki przyjaźni łączyły go zwłaszcza z ojcem Waltera, Janem Nepomucenem.

Dzięki tej to okoliczności dochowała się dotychczas znaczna część listów Filipa Waltera, pisanych swego czasu do Wielogłowskiego. Znajdują się one w „Papierach po Walerym Wielogłowskim, złożonych Akademji Umiejętności przez jego wnuka barona Bolesława Richtofena“ i przechowują się w Bibliotece Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, w dziale rękopisów, zakatalogowane pod Nr. 1822—1833. Przeważną część tych listów zawiera rękopis pod Nr. 1833-im.

Ogłaszając tę korespondencję drukiem, mam nadzieję, że przyczyni się ona do odnalezienia przeszło dwustu listów Filipa Waltera, pisanych w czasie od r. 1827 do 1847, z Berlina, a następnie z Paryża, do ojca (po niemiecku) oraz do matki (po polsku).

1.

Paryż, 8-go października 1836 r.

Kochany Walery! — Blisko dwa tygodnie temu, jak odebrałem listy z domu, nie chciałem na chybi trafi list ojca do Ciebie przesłać, bo bałem się, żeby przypadkiem nie zaginął, a może w sobie zawiera rzeczy, które mocno mogą Cię interesować. — Píše mi ojciec, że w tym momencie nie przysyła się kredyt ani rekomendacji, ale że nie omieszką tego uczynić, skoro się gdzie ulokujesz i zasiędziesz; jak się zdaje zapewne i dobrze zrobił, bo ile z listu Twego wyczytuję, Twój pobyt tak w Libourne jako i w Bordeaux nie jest całkiem zdecydowany. — Nie wiem czy Ci ojciec pisze, że Szwarc nie jest więcej u niego i że został z Krakowa przez komendanta austriackiego wypędzony; bądź jak bądź, spodziewając się, że może

rad będziesz dowiedzieć się przyczyn jego wypędzenia, w szczególności przepisuję dosłownie co mi Leon (Walter)¹⁾ w tym względzie napisał: „Nadzieja widzenia się z Tobą w Paryżu poczęści już znikła, bo Bóg nowem nieszczęściem nas nawiedził. Wystaw sobie kiedy też tutejszy komendant placu naszego Szwarca z miasta wypędział, a to z przyczyny prostej złości a raczej zemsty, odwiozłem go stroskanego i zmartwionego do Wadowic. Tam oczekiwać będzie, póki jego brat paszportu mu nie wyrobi. Przyczyną wypędzenia Szwarca jest jedna kobieta szelma, która nie tylko nas, ale wiele godnych domów oszukała, wydając się za hrabinę Kolowrat, że jest prześladowana od swego opiekuna, że się w niej kocha książę Wasa. Wmieszała do tej awantury kilka osób z dworu austriackiego, między innemi hrabiego marszałka dworu Czernin. Ta kanajka chciała uciec, ale ją złapano przy granicy pruskiej, osadzono w policji i już się wykrywa, że listy, które przychodziły, rekomendując ją, przez nią samą pisane były, i tak poczęści jesteśmy oczyszczeni, bo rozumiano i upatrywano coś politycznego w tym interesie. Dwa listy rekomendujące ją do nas znaleziono przy zabraniu nam wszystkich listów w biurku Szwarca, u niego też i stała, bo u nas niema miejsca; więc przeczytawszy w komendzie placu te listy, zaraz ojca i Szwarca wywołano i chciano, aby jeden z nich ciągle przy czytaniu listów był przytomny. Temu oparliśmy się, podawszy do prezesa policji prośbę, aby za nami się ujęła, gdy my tylko nasze władze uznajemy, a rewizja bez wiedzy policji się odbyła i oficer będący na rewizji nie naszą, ale swoją pieczęcią listy popieczętował. O tych podaniach dowiedział się komendant,

¹⁾ Wspomniany Leon był bratem rodzonym Filipa Waltera. W r. 1891 zapisał on Akademii Umiejętności w Krakowie sumę 40.000 koron, od której dochody przeznaczył na badania historyczne, ze szczególnem uwzględnieniem historii sztuki w Polsce, zwłaszcza budownictwa. (Rocz. Akad. Um. 1892, str. 112.)

zawołał Szwarca i z całą wściekłością wsiadł na niego, obelżywszy naszego ojca najgorszymi wyrazami, tak dalece się posunął, iż groził ojcu batami i ruskimi knutami.“ — Do tego czasu nie odebrałem z Krakowa żadnych wiadomości ani szczegółów bliższych zdarzenia, które w gazetach tutejszych zostało ogłoszone, a które pociągnęło za sobą dymisję Sobolewskiego, Hallera i trzech senatorów. — Co się tyczy wiadomości paryskich, to najświeższe są te: 1-o Służewski, cenzor krakowski, przyjechał tutaj jako refugium i stara się o żołądek i pozwolenie zostania w Paryżu, — 2-o z towarzystwa katolickiego Retel trzeci wstępuje do seminarjum. — Łaskawej Żonie uszanowanie składam. Maryni rączki całuję. Ścisną Cię serdecznie Twój przyjaciel

Filip Walter.

(Dalszy ciąg nastąpi).

V.

Sprawozdania i oceny.

Władysław Biegański. **Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej.** Wydanie drugie z przedmową Władysława Szumowskiego, profesora Uniw. Jagiellońskiego. Nakładem księgarni A. Gmachowskiego. — Częstochowa 1925, str. 103.

W wybornej przedmowie do nieocenionego dziełka Biegańskiego prof. Szumowski daje najpierw zwięzły życiorys naszego znakomitego lekarza-myśliciela, przytaczając mało znane szczegóły z życia jego, zaczerpnięte z opowiadań najbliższej jego rodziny; potem, opierając się na „Etyce ogólnej” Biegańskiego, przedstawia w zarysie poglądy jego na etykę wogóle; wreszcie omawia poglądy Biegańskiego na etykę lekarską. Dzięki tej przedmowie, drugie wydanie „Myśli i aforyzmów o etyce lekarskiej” posiada większą jeszcze wartość od pierwszego. A wartość tego dziełka zaiste — niepospolita i nieprzemijająca. Słusznie pisze Szumowski, że: „Etyka lekarska Biegańskiego, jako utwór o ideałach medycyny i wogóle o ideałach ludzkości, ma znaczenie trwałe. Zmieniają się czasy, zmieniają się i ustawy. Ale ideał lekarza-filantropa i ideał człowieka, nakreślony przez Biegańskiego, pozostanie na zawsze ideałem, do którego dążyć należy”.

Bez najmniejszej przesady utrzymywać można, że „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej” — to jeden z najpiękniejszych utworów, a może nawet najpiękniejszy, w naszym, bądź co bądź nie ubogim, piśmiennictwie z zakresu filozofii medycyny. Gdy się czyta tę rzecz, mnogo myśli powstaje w głowie, wiele uczuć żywo porusza serce. Czytelnik bezwiednie przenosi się do słonecznej krainy podniosłych ideałów, w której bezpośrednio obcuje z duchem autora „Myśli”. Gdyby Bie-

gański nic więcej nie napisał był prócz tej rzeczy, zyskałby sobie wdzięczność wszystkich następnych pokoleń lekarzy polskich. A przecież to tylko drobna cząsteczka świetnego dorobku naukowego w zakresie medycyny i filozofii tego przez całe życie prowincjonalnego lekarza! —

Drugie wydanie „Myśli i aforyzmów“ zostało wydrukowane z należnym pietyzmem dla pamięci zasłużonego lekarza i głębokiego myśliciela: druk i papier — piękne, korekta — bardzo staranna, bo zaledwie tylko kilka błędów zecerskich zostało przeoczonych. Jedynie wykonanie portretu autora pozostawia nieco do życzenia.

Jeżeli o jakiej książce z całą słuszością powiedzieć można, że powinna się znaleźć w ręku każdego lekarza Polaka, to przede wszystkim o „Myślach i aforyzmach o etyce lekarskiej“. Daj więc, Boże, abyśmy na trzecie wydanie nie długo czekali!

A. Wrzosek.

Siostra J. Helena Rembowska, stud. filoz. **Jan z Szamotuł Jonston, przyrodnik XVII wieku.** Kosmos 1925, str. 301—327.

Autorka, podawszy biografię Jonstona, znaną już skądinąd, jako przyrodniczka mniej się interesuje jego działalnością lekarską, o której wspomina tylko mimochodem, poświęcając całą pracę ocenie działalności przyrodniczej. Dzieli ją na dwa okresy, rozgraniczone dziesięcioletnią podróżą naukową J. po Europie. W pierwszym okresie Jonston występuje jako filozof-encyklopedysta-przyrodnik, w drugim jako przyrodnik-systematyk. Nie będąc wprawdzie umysłem twórczym, posiadał on przecież cenne przymioty uczonego zbieracza, umiając ponadto wypowiadać się w swych dziełach w sposób jasny i przystępny. Działalność jego tem ważniejszą była w Polsce, ponieważ do jego czasów pole nauki przyrodniczej leżało u nas odłogiem. Z tej też racji słusznie mu się należy przydomek polskiego Gessnera, nadany mu niegdyś przez Ossolińskiego.

Do pracy wkradła się omyłka chronologiczna, którą należy sprostować. Na stronie 304 mianowicie znajdujemy Spallanzanego zacytowanego jako uczonego XVII wieku.

St. Trzebiński (Wilno.)

Storia della peste avvenuta nel Borgo di Busto Arsizio 1630.

Manuscrit original, appartenant autrefois à la Bibliothèque Belgiojosa à Milan publié par J. W. S. Johnsson. Copenhague 1924, p. 213. Aux frais de la Fondation Carlsberg.

Znany i zasłużony duński historyk medycyny J. W. S. Johnsson, który wraz z prof. Ganszyńcem i o Mikołaju z Polski pisał (Om Nicolaus de Polonia, hans Liv og hans Skrifter. Oversigartikkel af R. Ganszyniec, Lwów, og J. W. S. Johnsson, Kobenhavn. „Bibliotek for Læger“ 1921), wydał krytycznie we wspólnym wydaniu rękopis włoski o słynnej epidemii dżumy, która nawiedziła w r. 1630 miasto Busto Arsizio, położone o trzydzieści cztery kilometrów na północ od Medjolanu, w którym również wówczas srożyła się dżuma. Po krótkim wstępie wydrukował wydawca wzorowo wspomniany rękopis (str. 11—131), zaopatrzył go licznymi objaśnieniami (str. 133—145) i szczegółowym wykazem osób, w rękopisie wzmiankowanych (str. 147—150). W końcu książki (str. 151—213) dodał wybornie przez siebie napisaną historię epidemii dżumy w Medjolanie w r. 1630, opierając się nie tylko na licznych źródłach drukowanych, lecz również na materiałach rękopiśmiennych.

Rękopis przez Johnsson'a wydany posiada dużą wartość historyczną, gdyż podaje on nam niemal w formie dziennika zdarzenia, które zaszły w Busto Arsizio podczas dżumy roku 1630. Autor rękopisu, świadek naoczny tych zdarzeń, notuje skrzętnie obserwacje z życia codziennego w czasie dżumy, pisze więc o zgonach zadżumionych, o kwarantannie, o grzebaniu zmarłych i t. p. rzeczach oraz nie pomija wiadomości o ówczesnych zdarzeniach wojennych, zwłaszcza o wojnie trzydziestoletniej.

Praca J. W. S. Johnssona może służyć na wzór jak powinny być wydawane źródła, dotyczące dziejów medycyny.

A. Wrzosek.

Erstlinge der pädiatrischen Literatur in Faksimile herausgegeben von Karl Sudhoff. Verlag der Münchener Drucke, München 1925, 54 str. wstęp + 23 tablic folio.

Pomimo obszernych opracowań dziejów pedjatrji (wspomnę tylko o najnowszych Bockaya: Die Geschichte der Kinderheil-

kunde, Berlin 1922 i Garrisona Fielding H.: History of Pediatrics. A System of Pediatrics str. 170) należało wrócić do jej źródeł i dokładnie je opisać, nie zostały bowiem one jeszcze dotychczas bibliograficznie ściśle ujęte, a ich stosunek wzajemny nie był dokładnie określony. Dotyczyło to zwłaszcza trzech pierwodruków pediatrycznych, Bagellarda, Metlingera i Corneliusa Roelans z Mechlinji. Opisy ich jako zabytków z początków sztuki drukarskiej oraz krótką analizę treści podaje Sudhoff w wymienionej publikacji, ozdobionej licznymi tablicami, oddającymi wiernie ich karty tytułowe i poszczególne rozdziały.

Jedynе dziełko Pawła Bagellarda a Flumine, padewskiego profesora medycyny: *Libellus de egritudinibus (et remediis) infantum*, wytłoczone po raz pierwszy w 1472 r. w Padwie, doczekało się kilku wydań i przekładu na język włoski 1481, „a complitientia de motte donne,” co świadczyłoby korzystnie o jego popularności. Jest to pierwsza praca lekarska wprost dla druku pisana, a 5-ty z rzędu datowany druk lekarski.

Na 40 kartach formatu 8^o zawarto krótką higienę i opis chorób dziecka. Źródłem były dla autora Rhazes: *De curis puerorum in prima aetate* i własne wcale obfite doświadczenie.

Okolo 1½ roku później ukazał się w Augsbuurgu traktat pediatryczny Bartłomieja Metlinger'a, ze starej lekarskiej rodziny tamecznej pochodzącego, p. t.: *Regiment der jungen Kinder*, oparty o liczne źródła starożytne, arabskie i średnio-wieczne, popularnie napisany dla matek, o podobnym układzie treści jak pierwsza w dziejach pediatryji monografia Bagellarda.

Niedługo po tem niemieckiem dziełku ujrzało światło dzienne obszerne dzieło, korona pediatryji z początków doby odrodzenia, na 233 stronach o 52 rozdziałach, traktat Corneliusa Roelans: *Opusculum egritudinum puerorum* u J. Veldenera w Lowanium. Przeznaczone dla uczonych i „ex auctenticorum virorum, maxime medicine doctorum voluminibus” zebrane, zawiera całokształt ówczesnej wiedzy pediatrycznej, w formę wielce uczoną spowity. W opracowaniu Sebastjana Oestereichera, lekarza z Kolmaru, cieszył się ten podręcznik w połowie XVI wieku wielką sławą.

Szereg uwag o zachowanych w rękopisach *Practica Galieni de passionibus puerorum* zamykają tę piękną publikację

Sudhoffa, ważną dla historyka pedjatrii i ciekawą dla lekarza chorób dziecięcych, żadnego poznania dziejów swej nauki.

Józef Fritz (Lwów.)

Dr. med. Bolesław Siwiński, dyrektor Szpitala dla psychicznie i nerwowo-chorych „Kochanówka” pod Łodzią. **Zasługi ś. p. prof. dr. med. Antoniego Mikulskiego dla psychjatrii w Polsce.** Łódź 1925. (Odbitka z „Pamiętnika ku uczczeniu ś. p. prof. dr. med. Antoniego Mikulskiego”). Stronic 16.

Autor z prawdziwym uwielbieniem dla pamięci przedwcześnie zmarłego zasłużonego psychjatri polskiego kreśli jego sylwetkę jako nieustrzonego organizatora na polu opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi oraz jako pełnego zapалу uczonego. Z pięknej pracy dr. Siwińskiego dowiadujemy się, jak to Antoni Mikulski, po ukończeniu studjów lekarskich w Kijowie, pełni najpierw obowiązki ordynatora w kolonii psychjatrycznej w szpitalu dla psychicznie chorych w Jekaterynosławiu, jak to potem bierze udział w wojnie japońsko-rosyjskiej, w czasie której przechodzi dur brzuszny i zimnicę, jak to po ukończeniu wojny dąży w r. 1906 do Monachjum, „by pod kierunkiem Kraepelina pogłębić wiedzę w zakresie psychjatrii i psychologii doświadczalnej”, zanim w następnym roku rozpocznie pracę jako asystent w szpitalu psychjatrycznym w Kulparkowie pod Lwowem. „Z Kulparkowa powołany na stanowisko dyrektora w Kochanówce ofiarnie składa jej w darze swe doświadczenie lekarskie, wiedzę i lata najpiękniejsze swego życia”. Działalności nader owocnej ś. p. Mikulskiego w Kochanówce, aż do chwili objęcia przezeń katedry psychjatrii w Uniwersytecie Wileńskim w r. 1923, poświęca autor najwięcej miejsca, podnosząc wysoko jego zdolności organizatorskie, zasługi naukowe, tudzież niepospolite zalety umysłu i serca.

A. Wrzosek

Moodie R. L., Associate Professor of Anatomy in the University of Illinois. **Paleopathology, an introduction to the study of ancient evidences of disease.** University of Illinois Press. Urbana, Illinois, 1923, str. 567 z licznymi ilustracjami.

Wspaniałe, bogato ilustrowane dzieło amerykańskiego autora zestawia cały znany dotychczas materiał w zakresie

paleopatologii. Jest tu mowa nasamprzód o zmianach chorobowych, jakie udaje się stwierdzić u roślin kopalnych, potem autor przechodzi do zwierząt, omawiając kolejno rozmaite ciekawe szczegóły z patologii wymarłych gatunków, przedstawia na kościach ślady chronicznych infekcji, omawia pasorzyty, opisuje najstarszą, jaką wykryto w bardzo starych okresach geologicznych, bakterję, która wygląda, jak dzisiejszy micrococcus, wreszcie, przechodzi do ludzi. W rozdziale XII jest mowa o patologii najdawniejszych ras ludzkich, o prehistorycznej trepanacji, o amputacji palców; r. XIII poświęcony jest Egiptowi i znanym pracom Ruffera, który badał mumje; r. XIV omawia ludy amerykańskie przed odkryciem Ameryki.

Całe dzieło, bardzo dokładne i wyczerpujące, jest najlepszą monografią, jaka dotąd wogóle istnieje w zakresie paleopatologii.

Wł. Szumowski (Kraków.)

Prof. D. Pletniew. **Rosyjskie szkoły terapeutyczne.** (Russkije terapewticzeskije szkoły) **Zacharjin, Botkin, Ostroumow.** Str. 102. Nakł. L. Frenkiel, Moskwa — Leningrad 1924.

Autor na wstępie wyjaśnia cel wydania niżej omawianej książki słowami historyka Kluczewskiego: „Rosjanie niechętnie zaglądają w swoją przeszłość i poomacku postępują naprzód. Niema narodu, który mniejby znał przeszłość swoją, jak Rosjanie.”

Na początku autor szczegółowo omawia wpływ Virchowa i Claude Bernard'a — reformatorów medycyny XIX wieku — na rozwój rosyjskich szkół terapeutycznych ówczesnej epoki i kreśli historję rosyjskiej medycyny w odniesieniu do chorób wewnętrznych. Dalej omawia działalność i życie trzech fundatorów tej gałęzi medycyny rosyjskiej, tytułując Zacharjina — utalentowanym klinicystą empirykiem, Botkina — genialnym klinicystą fizjologiem i myślicielem, Ostroumowa — klinicystą-biologiem.

Na potwierdzenie podanych wniosków swoich w sprawie znaczenia działalności wymienionych klinicystów, autor przytacza całemi stronicami wyciągi z ich wykładów.

Książka jest ozdobiona 3-ma portretami wymienionych klinicystów.

W. Janusz (Lwów.)

Dr. med. Karol Kosiński. **Ś. p. prof. dr. Józef Ziemacki.** Wspomnienie pośmiertne. (Pamiętnik Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego. Rok I, zeszyt I, październik 1925).

W październiku roku ubiegłego Tow. Lekarskie Wileńskie, najstarsze nasze zrzeszenie naukowe lekarzy, które istnieje już przeszło 120 lat, przystąpiło do wydawania miesięcznika, wznawiając w ten sposób chlubną tradycję wydawniczą tego zasłużonego Towarzystwa. Redakcję objął prof. J. Szmurło, a do komitetu redakcyjnego weszli: dr. L. Czarkowski, dr. E. Czarnecki, prof. W. Jasiński, dr. Z. Jakubowski, dr. M. Kozłowski, dr. M. Minkiewicz, dr. A. Safarewicz, prof. S. Trzebiński, dr. A. Wirszubski i dr. O. Załkindson.

Pierwszą stronicę nowego czasopisma rozpoczyna życiorys ś p. Józefa Ziemackiego, dr. med. Uniwersytetu Dorpackiego, profesora zwyczajnego anatomii topograficznej i chirurgii operacyjnej Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, zmarłego d. 30 września 1925 r., w 70-tym roku życia. Słusznie nowy miesięcznik naukowy w Wilnie zapoczątkował swoją działalność oddaniem hołdu temu, który nieustraszenie i z iście młodzieńczym zapałem zabiegał około wskrzeszenia Wszechnicy Wileńskiej, bo gdyby uczelnia ta nie była powstała na nowo, nie byłoby takiego, jak obecnie ruchu naukowego w Wilnie, a przeto nie zostałby również zapewne założony „Pamiętnik Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego“.

Autor wspomnienia pośmiertnego o Józefie Ziemackim kreśli zwięźle i serdecznie życiorys tego przeznaczonego człowieka, wybitnego lekarza, zasłużonego uczonego, całym sercem oddanego Wszechnicy Wileńskiej, podnosząc słusznie zasługi jego, zwłaszcza około wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego, którego był pierwszym rektorem w okresie organizacji, a po uroczystym otwarciu - pierwszym prorektorem.

Kiedyś, gdy zostanie napisana historia wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego, historyk z pewnością wysoko podniesie zasługi Józefa Ziemackiego, jako tego, który z wielkim entuzjazmem i z gorącą wiarą w potęgę duchową narodu nieustraszenie pracował nad odbudowaniem w Wilnie nieśmiertelnego dzieła Batorego.

A. Wrzosek

Horst Fichtner. „**Die Medizin im Avesta**“ untersucht auf Grund der von Fr. Wolff besorgten Uebersetzung der heiligen Bücher der Parsen. Leipzig, Pfeiffer, 1924 str. 54.

Na podstawie tłumaczenia świętych ksiąg Awesty, dokonanego przez Wolffa, autor kreśli obraz staroperskiej medycyny. Początkowa ludowa medycyna indoeuropejskich Persów dostała się pod wpływy kapłanów Zarathustry, którzy uczynili z niej teurgiczną sztukę, opartą na ich religijnych poglądach. Dobry bóg Ahura Mazda z mnóstwem dobrych demonów walczy o dobro i zdrowie ludzkie z djabłem Anra Mainyan i jego stronnikami. Chory — to człowiek nawiedzony przez złego ducha. Stąd najlepszą obroną przed chorobą jest modlitwa i połączone z nią zaklęcia i amulety. Chory i wszystko, co dotyczyło chorego, uważane było za nieczyste; dlatego pacjent podlegał specjalnym obrzędom oczyszczającym, jak obmywanie moczem wołu lub nacieranie ziemią. Istniała jednak obok tego racjonalna terapia chirurgiczna i farmakologiczna. Leczenie było monopolem kapłanów, którzy leczyli modlitwą, środkami farmakologicznymi i nożem. Specjalne egzamina dotyczyły kapłanów-chirurgów. Udanie się trzech operacji na innowiercach było warunkiem pozwolenia praktyki. Lekarze wynagradzani byli dobrze, lecz tylko w razie udania się kuracji. Chorób znano dość dużo. Odróżniano dobrze trąd, niektóre choroby skórne, umysłowe, gorączkę połogową. Anatomia nie rozwinęła się, bo sekcje były niemożliwe z powodu poglądu, że trup wzięty jest w posiadanie szatana. Mimo jednak tego błakania się po manowcach teurgii i mistyki, medycyna perska wniosła dużo do higieny, religia bowiem Zarathustry nakazywała pedantyczną czystość ciała i duszy, określała pożywienie, ubranie, mieszkanie i regulowała życie płciowe. Co w medycynie perskiej było własnego, a co wziętego od narodów postronnych: Egipcjan, Babilończyków itd. będzie się starał autor wyjaśnić w drugiej części pracy, której dalszy ciąg zapowiada.

Jan Sawliński (Kraków).

Charles Greene Cumston. **Une note sur la découverte de l'acarus scabiei.** Bulletin de la Société Française d'histoire de la médecine. T. XVII, Nos 11—12 (nov.—déc. 1923).

Dr. Cumston, docent historii i filozofii medycyny w Uniwersytecie Genewskim, podaje w swej pracy ciekawe wiadomości dotyczące odkrycia świerzbowca ludzkiego.

Lekarz włoski Jan Bonomo w 1687 r. opublikował swoją pracę o odkryciu świerzbowca ludzkiego: „Epistola che contiene osservazioni intorno à pellicelli del corpo umano”. Rzeczą tą została w r. 1703 przez Ryszarda Mead streszczona w „Transactions Philosophiques”. Streszczenie to podaje Cumston in extenso w przekładzie francuskim. Wynika z niego z całą pewnością, że Bonomo opisał dokładnie nie tylko samego pasorzyta świerzbu, lecz i jajka przezeń składane. — Następnie lekarz angielski Jan Pringle ogłosił w r. 1752 dzieło p. n. „Observations on the Diseases of the Army”, w którym po mistrzowsku opisał świerzba i jego leczenie.

Autor kończy swoją pracę następującymi wnioskami: 1) świerzbowiec ludzki (*acarus scabiei*) został odkryty i bardzo dobrze opisany przez Bonomo w r. 1687; 2) świerzba pod względem klinicznym był zupełnie dokładnie zbadany w XVIII stuleciu; w tej również epoce było w użyciu leczenie jego zapomocą siarki; 3) Alibert i wszyscy jego wybitni przeciwnicy uniknęli dwudziestodwuletnich (1812—1834) poszukiwań naukowych i bezużytecznych dyskusyj, gdyby byli znali historię medycyny.

A. Wrzosek.

V. Bugiel. **Les hopitaux de Cracovie de 1220 à 1920.** Bulletin de la Société Française d'histoire de la médecine. T. XVIII, N^{os} 7—8 (lipiec—sierpień 1924).

Dr. Włodzimierz Bugiel, znany historyk medycyny, autor licznych prac naukowych, a między niemi monografii o Józefie Strusiu, wielce się zasłużył i zasługuje na polu kulturalnego zbliżenia Polski z Francją, którą niestrudzenie zapoznaje z ojczyzną naszą wogóle, a z kulturą polską w szczególności. Ten cel ma jego książka o Polsce (La Pologne et les Polonais. Paris 1921, p. 390), ten sam cel jego przekład wyboru pism Sienkiewicza na język francuski (Henri Sienkiewicz. Traduction autorisée, introduction et notes par le Dr. V. Bugiel), ten sam cel również przytoczona w nagłówku praca jego o dziejach szpitalnictwa krakowskiego. Autor, podając wybornie ułożone wiadomości o szpitalach krakowskich, poczy-

nając od wieku XII, opiera się głównie na cennej książce prof. Leona Wachholza (Szpitale krakowskie 1220—1920, T. I, Kraków 1921), a także w pewnej mierze na pracach F. Giedroycia, W. Szumowskiego i Stanisława Karwowskiego. Pisząc o powstaniu i dalszych losach szpitali w Krakowie i podkreślając świetnie, z zacięciem literackim, ważniejsze rzeczy w historii ich, nie omieszkął zaznaczyć wybitnych wpływów francuskich, zwłaszcza w początkowym okresie rozwoju szpitalnictwa u nas.

A. Wrzosek.

VI.

Sprawozdania ze zjazdów i towarzystw naukowych.

V międzynarodowy kongres historii medycyny w Genewie.

Od dnia 20—24 lipca 1925 r. obradował w Genewie piąty międzynarodowy zjazd historyków medycyny, przy licznych udziale przedstawicieli różnych narodowości. Reprezentowane były: Anglja, Ameryka, Belgja, Danja, Francja, Hiszpanja, Holandja, Polska, Szwajcarja i Włochy. Polskę reprezentowali: dr. Bugiel z Paryża, członek biura międzynarodowego historii medycyny, i dr. R. Wierzbicki z Poznania, delegat Poznańskiego Koła Polskiego Towarzystwa miłośników historii i filozofii medycyny. Jakkolwiek ze strony polskiej dwóch tylko było na kongresie delegatów, to jednak zgłoszonych na kongres prac polskich było 6, co, w stosunku do liczby reprezentowanych narodów i wygłoszonych prac wogóle, stanowiło znaczny odsetek. Z prac polskich zostały wygłoszone: 1. prof. W. Szumowskiego: „Dwa pisma lekarskie Macieja z Miechowa z 1508 roku,” 2. tegoż „O szkole medycznej w Krakowie za czasów ostatniego króla Polski,” 3. prof. Adama Wrzoska „O stosunku Roberta Remaka do nauki polskiej,” 4. tegoż „Emanuel Gilibert, jako organizator Szkoły Medycznej w Grodnie (1776—1780),” 5. prof. Adama Wrzoska i dr. R. Wierzbickiego „O auskultacji w Polsce w pierwszej połowie XIX stulecia” i 6. dr. Bugła: „Studenci polscy Wydziału Lekarskiego w Paryżu w XIII, XIV i XV stuleciu.”

Zjazd otworzył przewodniczący kongresu, doc. historii i filozofii medycyny, dr. C. Greene Cumston w auli Uniwersytetu Genewskiego odczytem o Danielu Leclerc'u, jako historyku medycyny, wspominając wydaną przez niego jeszcze

w roku 1696 „Historię Medycyny,” przez co zasłużył on sobie na nazwę ojca tej nauki. Zjazd witali: w imieniu Towarzystwa Lekarskiego w Genewie prezes dr. André Patry, w imieniu władz związkowych Szwajcarii p. André Oltramare, w imieniu Uniwersytetu Lozańskiego — rektor prof. J. Tailens, w imieniu Uniwersytetu Genewskiego rektor prof. Georges Werner, w imieniu władz miejskich Genewy — dr. Hugues Oltramare. Wreszcie prof. Tricot Royer z Antwerpii, prezes Międzynarodowego Towarzystwa historii medycyny zakończył oficjalne otwarcie kongresu referatem, w którym podkreślił wybitniejsze momenty w dziejach rozwoju historii medycyny i rzucił ogólny pogląd na jej rozwój od czasów przedhistorycznych.

Po uroczystym otwarciu kongresu rozpoczął prace jego prof. E. Pittard, wygłaszając referat z prehistorii medycyny, mianowicie o zabiegach chirurgicznych w epoce kamiennej, w której istniało już stosowanie leczenia chirurgicznego. Najważniejszą kwestią według Pittarda jest ustalenie do jakiej epoki należy zaliczyć pierwsze zachorzenia u ludzi i czy zwierzęta zaczęły chorować jednocześnie z ludźmi? Należy przyjąć, według prelegenta, że cierpienia występowały współrzędnie zarówno u ludzi jak i u zwierząt. Autor wskazuje na pierwsze ślady zrobionych trepanacji w czasach przedhistorycznych. Omawia bliżej sposób przeprowadzenia tego zabiegu chirurgicznego z uwzględnieniem lokalizacji. Dzięki obecnemu prądowi w nauce, aby zachowywać nie tylko czaszki, lecz wszystkie kości ludzi przedhistorycznych, i dzięki rozwojowi pomocniczych nauk lekarskich, możemy się spodziewać dużych postępów w dziedzinie prehistorii medycyny.

Wieczorem tegoż dnia odbył się staraniem prezesa Zjazdu dr. Cumston'a w hotelu des Bergués koncert a następnie bankiet przy licznych udziałach przedstawicieli miasta i władz rządowych.

Dalsze prace Kongresu rozpoczęły się następnego dnia o godz. 9-tej rano referatem dr. R. O. Moon'a o wpływie na medycynę Paracelsa, który w dużym stopniu zawdzięczał swoje powodzenie pewnego rodzaju mistycyzmowi. — Dr. E. B. Krumbhaar z Holandji mówił o starych wydawnictwach lekarskich z XVII wieku, wymienionych w katalogu Daniela Elzévir'a, drukowanego w Amsterdamie w 1674 r. — Dr. H. Renaud z Maroka,

podaje kilka ciekawych przyczynków do historii medycyny arabskiej w Maroku, cytując nazwiska 9 lekarzy arabskich, poczynawszy od XVI—XIX wieku. Prof. Jeanselme z Paryża mówił o wiadomościach z anatomji chirurgicznej, zawartych w prawach germańskich w epoce najścia barbarzyńców. W dyskusji zabierał głos dr. Johnsson z Kopenhagi. Dalej prof. Tricot — Royer podał szczegółowe wiadomości, w jaki sposób zwalczano trąd w Antwerpii i Lowanium, stosując dla zarażonych system izolacyjny w formie osobnych domków, przyczem dbano o zaspokojenie możliwie wszystkich potrzeb życia codziennego chorych. — Dr. van Andel miał odczyt p. t. „Medycyna i rzeźba architektoniczna“; mówił o płaskorzeźbach, któremi ozdabiano dawniej szpitale oraz domy lekarzy i aptekarzy. Dr. Lilian Lindsay z Anglii, omawiała rozwój sztuki dentystycznej od jej początków aż do XIX wieku w Anglii. Komunikat prof. Wrzoska o stosunku Roberta Remaka do nauki polskiej został odczytany przez dr. Bugła z Paryża. Prof. Wrzosek omawia dzieła naukowe Remaka w języku polskim napisane. Następną pracę prof. Wrzoska o Emanuelu Gilbertcie, jako organizatorze szkoły lekarskiej w Grodnie, odczytał również dr. Bugiel. W dyskusji zabrał głos Włoch prof. Pietro Capparoni, czyniąc wzmiankę o dawnym Wydziale Lekarskim w Wilnie i o prof. Franku, z którego Pamiętników czytał urywek drukowany w naszym Archiwum, a mianowicie przez prof. Trzebińskiego wydany w języku oryginału t. j. francuskim. — Dr. E. Wickersheimer ze Szwajcarii mówił o Janie Gispadenie, chirurgu XV wieku, mianowicie o jego rękopisie ozdobionym ładnymi rysunkami piórkowemi, przedstawiającemi tablice anatomiczne i narzędzia chirurgiczne w tej epoce używane. — Dr. Tricot-Royer mówił o sławnym Izaaku Ammonie, lekarzu-taumaturgu marszałka de Westerloo. — Dr. de Mess z Belgii omawiał korporacje chirurgiczne w Antwerpii na podstawie odnalezionych t. zw. „katalogów“ tych korporacji, jednego z 1623, drugiego z 1717 r. Są to spisy chronologiczne członków tych korporacji. — Prof. Laignel-Lavastine odczytał pracę prof. Ménétrier'a o lekarzu Didier z XVII wieku, podkreślając poglądy jego na choroby weneryczne i dżumę. — Następnie prof. Laignel-Lavastine miał własny referat o okuliście Jakóbie Daniel'u, urodzonym w roku 1693, a wreszcie odczytał drugi komunikat, napisany wspólnie z dr. Vinchon, o „demonopatjach“ przy końcu XVI

wieku. — Dr. Dubreuil-Chambardel mówił o przytułkach pobudowanych na drogach pielgrzymek w X, XI i XII wieku. Miały one do pewnego stopnia charakter szpitali i, pomimo wielokrotnych zniszczeń, odbudowywane przetrwały do XIV wieku. — Dwie prace prof. W. Szumowskiego z Krakowa: pierwszą o szkole lekarskiej w Krakowie za czasów ostatniego króla Polski, drugą o dżumie w 1508 roku, odczytał dr. Regnaud. Pierwsza omawia urządzenie tej szkoły w XVIII stuleciu, druga na podstawie pism lekarskich Macieja z Miechowa podaje opis epidemii dżumy w roku wyżej wymienionym.

Dnia następnego, 23 lipca, wszyscy zebrani udali się przygotowanym specjalnie statkiem do zamku Chillon, gdzie byli podejmowani w starożytnej sali zamkowej śniadaniem, następnie do Evian, gdzie po wspańnię bankiecie, zwiedzano miejsce kuracyjne.

Dnia 24 lipca pierwszy referat miał dr. R. Wierzbicki, który odczytał pracę prof. A. Wrzoska i Wierzbickiego o auskultacji w Polsce w pierwszej połowie XIX wieku jako przyczynek do historii wpływów francuskich na medycynę polską. Prelegent pokazał obecnym rozprawę doktorską Oczapowskiego o auskultacji, wydaną w Wilnie w 1824, a napisaną pod kierownictwem prof. Wincentego Herberskiego. — Dr. J. W. Courtney z Bostonu mówił o dr. Benjaminie Waterhouse jako pionierze zastosowania szczepienia przeciwko ospie w Ameryce. Dr. de Alcade z Madrytu przedstawił żelazną koronę, przy pomocy której od czasu wypraw krzyżowych zwalczano niektóre choroby głowy, zapalenie opon mózgowych itp. — Dr. W. Bugiel z Paryża mówił o studentach Polakach na Wydziale Lekarskim w Paryżu w XIII, XIV i XV wieku. Obszernie omówił panujące zwyczaje na Uniwersytecie wśród studentów i podział ich na narodowości. Jednocześnie wymienił wybitniejszych studentów polskich, jak np. Jana z Polski, późniejszego arcybiskupa. — Dr. J. W. Thompson odczytał komunikat dr. Jamieson B. Harry o Hetepie, pierwszym ministrze króla Zosera, jednocześnie sławnym lekarzu egipskim, żyjącym około 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Był on nie tylko lekarzem, lecz jednocześnie architektem, astronomem, fizykiem, a przedewszystkiem zarządzał całym państwem. — Praca prof. Piotra Gautier o historii febry tyfoidalnej u dzieci odczytana została przez dr. Payer'a. Autor wskazuje na spo-

soby leczenia febry tyfoidalnej przed 1840 rokiem, jednocześnie przytacza rozbiór dzieła Rilliet, odnoszącego się do tej choroby, jako znakomitego dla swej epoki. — Potem dr. de Payer odczytał własny komunikat o Janie Konradzie Payer'ze, lekarzu z Szaffuzy z XVII wieku, wskazując na jego działalność profesorską i naukową. Jego pierwsza praca naukowa dotyczy ruchu jelit. — Dr. J. B. Van Gil przedstawił reprodukcję obrazu Mikołaja Moeyoerta, przedstawiającego Hipokratesa, odwiedzającego Demokrita w Abderze.

Po tym komunikacie dr. Cumston zamknął obrady Zjazdu, przedstawiając zebranym nowego prezesa prof. dr. de Lint, pod którego kierunkiem odbędzie się następny zjazd historyków medycyny w r. 1927 w Holandji.

R. Wierzbicki.

Sprawozdanie z posiedzenia organizacyjnego Towarzystwa Miłośników Historji Medycyny we Lwowie z dnia 24. października 1925.

Obecni: prof. prof.: A. Bednarski, W. Nowicki, F. Groer; dyr. Bibl. Uniw. i Baworowskich dr. R. Kotuła; doc. doc.: W. Reis, S. Progulski, W. Pisek, T. Wiczyński; gen. dr. J. Zieliński, prym. W. Ziembicki; dr. dr.: A. Kuhn, H. Ruebenbauer, W. Łuczyński, Świtalski, J. Fels, L. Fleck, W. Janusz, J. Fritz, (prof. dr. S. Lempicki i dr. M. Reichenstein zapowiedzieli swe przystąpienie do Towarzystwa). Życzenia owocnej pracy nadesłali prof. dr. W. Szumowski, z Krakowa (telegram), prof. dr. A. Wrzosek z Poznania i prof. dr. St. Trzebiński z Wilna. Sekretarz dr. J. Fritz.

Zagaił obrady prof. Bednarski, podnosząc konieczność wstąpienia Lwowa w ślady innych miast uniwersyteckich w Polsce, które takie Towarzystwa już posiadają. Lwów szczycić się może bogatymi zbiorami naukowymi do historji medycyny, przechowywanymi w Ossolineum, Bibliotece Baworowskich, Archiwum Miejskiem i licznymi miłośnikami tej nauki, jak prym. Ziembickim, doc. Piskiem i i.

Na wniosek prof. Groera postanowiono uznać wszystkich obecnych za komitet założycieli, zaś z pośród tego wybrać ściślejszy dla opracowania statutu Towarzystwa. Przez akklamację polecono to zadanie prof. dr. A. Bednarskiemu, dyr. dr. Rudolfowi Kotuli i dr. med. i fil. Józefowi Fritzowi.

Dr. Pisek stawia wniosek, by w następnych posiedzeniach omawiano dzieje poszczególnych działów medycyny, dr. Kotuła, by w sprawie statutu porozumieć się z innymi Towarzystwami historii medycyny i ujednolicić go.

Dr. Fritz wygłasza pierwszy wykład: „Z najstarszych źródeł do dziejów pediatrii.“ Autor podkreśla wartość badań źródeł jako podstawy w metodzie badań historycznych, omawia źródła starożytne i średniowieczne, wykazując ile pracy jeszcze potrzeba, ile poszukiwań zwłaszcza rękopisów z końca średniowiecza, które zawierają ułamki wiedzy pediatrycznej, by przeprowadzić rekonstrukcję wiadomości pediatrycznych owych czasów. Sprawa istnienia obszernego podręcznika pediatrii w starożytności jeszcze nie jest ostatecznie wyjaśniona. Później przeprowadza krótką analizę podręczników chorób dziecięcych Bagellarda: *Libellus de egritudinibus infantum*, Metlingera: *Regiment der jungen Kinder* i Corneliusa Roelansa z Mechlinii: *Opusculum egritudinum puerorum*, wszystkich z końca XV wieku, demonstrując tablice wyjęte z Sudhoffa: *Erstlinge der pädiatrischen Literatur* oraz inkunabuł z r. 1486, wytłoczony w Wenecji, ze zbiorów własnych. Przy tej sposobności zwraca uwagę na sposób pracy ówczesnych oficyn drukarskich oraz opracowywania starszych już wydanych podręczników i podkreśla konieczność opisu ściśle bibliograficznego tych druków i ich wzajemnej filiacji. W dyskusji zabierali głos dr. W. Janusz i prelegent.

Następnie dr. W. Janusz odczytuje referat p. t. „Historja rozwoju oraz bibliografja obrazów anatomico-patologicznych na podstawie dzieła Edg. Goldschmida z r. 1925“, pokazując w czasie odczytu rycinę bogini — matki Sparty z atlasu prof. ks. Szczepańskiego „Egea i Hatti“, jako okresu najstarszego cywilizacji wschodu klasycznego, pochodzącego z 3.000 lat przed narodzeniem Chrystusa; wizerunek ten okazuje wyraźne cechy patologiczne konstytucjonalne, a mianowicie wybitną *steatopigję*, jako wyraz nadmiernego otluszczenia. Jednocześnie puszcza w obieg pomiędzy słuchaczami przyniesiony ze sobą atlas Goldschmida.

W dyskusji zabrał głos dr. Fritz, któremu prelegent odpowiedział.

Dalej profesor W. Nowicki stawia wniosek założenia muzeum historii medycyny, a dr. Fels uważa za wskazane, aby lekarze członkowie Towarzystwa przynosili zabytki, odnoszące się do dziejów medycyny, które posiadają, i pokazywali je podczas posiedzeń. W dyskusji dr. Janusz proponuje połączyć wniosek prof. Nowickiego i dr. Felsa w jeden, a mianowicie zachęcałby wszystkich lekarzy, przynoszących ze sobą okazy historyczne do demonstracji, aby ofiarowali te przedmioty do muzeum mającego w przyszłości powstać, co umożliwiłoby natychmiastowe założenie niezbędnie potrzebnej instytucji.

Prof. Groer zaznacza, że trudną byłoby rzeczą przeprowadzać ocenianie zabytków dla zakupna do Muzeum mającego powstać, o czym wspomniał dr. Janusz, albowiem często są te zabytki cennymi pamiątkami rodzinnymi, których rodzina niechętnie się wyzbywa. Sam posiada, po swym dziadku, znanym lekarzu z początku XIX w., uczniu Franka, zbiór rękopisów, zawierających liczne jego prace. Dr. Fritz podjął się zaznajomić słuchaczy z treścią tychże i opracować je.

Posiedzenia następne będą się odbywały raz na miesiąc, we wtorki, w małej sali Polikliniki.

Dr. Józef Fritz, sekretarz.



VII.

Wiadomości różne.

Dalsze zamierzenia Archiwum historii i filozofii medycyny oraz historii nauk przyrodniczych.

Rozpoczynając wydawanie czwartego tomu „Archiwum,“ uważam za właściwe podzielić się z przyjaciółmi i czytelnikami naszego czasopisma zamierzeniami na przyszłość.

Pierwszym obowiązkiem każdej redakcji jest, oczywiście, dbać o rozwój swego czasopisma, i to pod każdym względem. Dotąd, mimo trudnych warunków wydawniczych, udawało się w pewnej mierze spełniać ten obowiązek, czego dowodem rozwój „Archiwum“ w roku ubiegłym. W r. 1924 wyszedł jeden tom „Archiwum,“ zawierający stronic 422, natomiast w roku ubiegłym zostały wydane dwa tomy, zawierające ogółem stronic 634. Nadto w ubiegłym roku „Archiwum“ zaczęło dodawać do każdego zeszytu kosztowny rotograwiurówy portret znakomitego lekarza lub przyrodnika, rozszerzyło swój program przez wprowadzenie działu, poświęconego historii nauk przyrodniczych, powiększyło dział sprawozdań i ocen z prac naukowych i zaczęło dodawać dla cudzoziemców streszczenia prac oryginalnych po francusku; wreszcie zaczęło wychodzić na lepszym papierze, niż w roku poprzednim. Wszystko to pociągnęło za sobą podwyższenie kosztów wydawnictwa. Spodziewałem się razem z dr. Wierzbickim, współwydawcą „Archiwum,“ że, w miarę ukazywania się coraz nowego tomu, liczba prenumeratorów będzie wzrastała, co umożliwi nam pokryć przynajmniej najniezbędniejsze wydatki, związane z wydawaniem naszego kwartalnika. Nadzieja ta zupełnie zawiodła. Liczba prenumeratorów nie powiększyła

się w roku ubiegłym. Nie spotkał nas natomiast zawód z innej strony. Wydział nauki w Ministerstwie Oświaty, nader skutecznie popierający liczne wydawnictwa naukowe, przyszedł i nam z pomocą, przyznawszy dla „Archiwum“ pożyczkę w wysokości 5000 zł, płatną w dwóch równych ratach. Pierwsza rata poszła na wydrukowanie pierwszego zeszytu tomu trzeciego. Druga rata, która miała być wypłacona w lipcu r. u., a potem w październiku, była przeznaczona na pokrycie kosztów druku drugiego zeszytu tomu trzeciego. Rata ta nie została nam wypłacona, albowiem, wobec konieczności wielkich oszczędności w budżecie państwowym, Ministerstwo Oświaty zmuszone było cofnąć obietnicę wypłacenia jej. Wdzięczni jesteśmy i za to, że przynajmniej otrzymaliśmy pierwszą ratę. Znaleziliśmy się jednak w niełatwym położeniu. Nie mogąc stale liczyć na pomoc rządową, chcieliśmy zjednać sobie większą niż dotychczas liczbę prenumeratorów, których z końcem roku ubiegłego było nie wiele więcej ponad 300. W tym celu rozesłaliśmy za łaskawem pośrednictwem „Nowin Lekarskich“, kół Polskiego Tow. miłośników historii i filozofii medycyny oraz przez pocztę przeszło 4500 prospektów na r. 1926. Mimo, że już upłynęło kilka tygodni, liczba prenumeratorów powiększyła się dotąd zaledwie o kilku. Snać trudne obecne warunki odbiły się dotkliwie i na lekarzach, nie pozwalając im być tak ofiarnymi na popieranie wydawnictw naukowych jak dawniej. Stoimy więc przed ciężkim rokiem, bo musimy w nim zacząć spłacać dość dużą pożyczkę i uregulować spore należności drukarni za rok ubiegły. Trudności te powiększają się znacznie i przez to, że wielu prenumeratorów zalega z zaplaceniem zeszłorocznej prenumeraty. Zaległość ta wynosi przeszło trzy tysiące złotych.

Jak wybrnąć z tego trudnego położenia? Radzono nam podnieść prenumeratę o 1 zł na kwartał, skasować honoraria autorskie w postaci bezpłatnych odbitek i zaprzestać dodawania portretów. Nie za wszystkimi temi radami pójdziemy. Obawiając się, że podwyższenie, nawet drobne, prenumeraty — co byłoby zresztą rzeczą uzasadnioną wobec podniesienia w ostatnich tygodniach ceny papieru — mogłoby zniechęcić część prenumeratorów, znajdujących się w niepomyślnem położeniu materialnem, zaniechaliśmy tego. Lecz dla ułatwienia

abonentom uiszczania się z prenumeraty małymi ratami, bo wynoszącymi zaledwie po 6 zł kwartalnie, będziemy do każdego zeszytu „Archiwum“ dołączali czek na prenumeratę kwartalną. — Będąc jednak zmuszeni do oszczędności, do liczenia się z każdym groszem, postanowiliśmy narazie, aż do nastania lepszych dla nas czasów, zaniechać dawania autorom bezpłatnych odbitek. Zmniejszymy również liczbę dodawanych portretów: zamiast czterech rocznie mamy zamiar dawać tylko dwa, a to po jednym w każdym tomie. Gdy i te oszczędności nie pomogą, będziemy chyba zmuszeni zmniejszyć o parę arkuszy objętość każdego tomu. Mamy wszakże nadzieję, iż do tego nie dojdzie. Natomiast jako redaktor dołożę usilnych starań, aby nie obniżyć poziomu naukowego „Archiwum“; co więcej, dążyć będę do większego urozmaicenia jego treści, głównie przez wydawanie różnorodnych materiałów historycznych i przez zwrócenie jeszcze większej uwagi, niż dotąd, na dział sprawozdań i ocen.

Lubo „Archiwum“ nie ma jeszcze takiego powodzenia materialnego, aby mu zabezpieczało zupełnie byt, ma jednak cenniejszą rzecz — powodzenie moralne, które przeszło najśmielsze nadzieje wydawców. Liczba współpracowników naszego czasopisma ciągle wzrasta, dochodząc już blisko do 30. Teka redaktorska coraz bardziej pęcznieje. Do redakcji dochodzą nierzadko głosy uznania ze strony czytelników. Powodzenie takie oczywiście obowiązuje. Dlatego z dużą otuchą przystępuję wraz z dr. Wierzbickim do wydawania czwartego tomu, tuszając sobie, że czasopismo nasze przetrwa szczęśliwie obecne trudne warunki materialne. Nie mamy wprowadzić dotąd w Polsce żadnej fundacji dla popierania rozwoju badań w zakresie historii medycyny, takiej np. jak fundacja Puschmanna w Lipsku, która przyczynia się do wydawania „Archiv für Geschichte der Medizin“, ale natomiast nie brak nam ludzi, którzy ciężko zapracowany grosz oddają na popieranie wydawnictw naukowych. Wiedząc, że „Archiwum“ znajduje się w trudnem położeniu, grono ludzi dobrej woli z Wilna, Lwowa. Warszawy i Poznania, pośpieszyło mu z pomocą, składając ofiary, których zbieraniem zajął się głównie kol. Wierzbicki. Ten wzruszający objaw ofiarności napawa wydawców „Archiwum“ dużym na przyszłość optymizmem. Wierzmy mocno,

że nasza młoda placówka pracy naukowej nie tylko nie upadnie, lecz rozwijać się nie przestanie, nawet w obecnych trudnych warunkach, świadcząc o tem, że Polacy i w ciężkiem położeniu rąk nie opuszczają. Nie możemy dopuścić w wolnej Polsce do zmniejszenia rozmachu i polotu zamierzeń kulturalnych, skoro stać nas było na urzeczywistnianie ich w czasach niewoli. „Archiwum” nasze, będące jednym z kilku czasopism archiwalnych, historii medycyny poświęconych, wychodzących w Europie, jest naturalnym wynikiem rozwoju nie tylko historii medycyny u nas, lecz i filozofii medycyny, wśród której twórców Polacy stanęli w pierwszym rzędzie, z czego chlubić się słusznie mamy prawo. Stąd wydawcy „Archiwum,” uważając wydawanie go za swój obowiązek narodowy, za służbę nauce polskiej, będą się starali, w miarę swojej możliwości, istnienie jego podtrzymać. W każdym razie i w roku bieżącym, mimo pokaźnych niedoborów w kasie „Archiwum,” wydamy dwa dalsze tomy, które — jesteśmy o tem mocno przeświadczeni — nie będą ostatnie.

Adam Wrzosek.

Poznań, 25 stycznia 1926 r.

Drobne wiadomości.

— Na częściowe pokrycie niedoboru „Archiwum” z r. 1925 złożyli: prof. F. Giedroyć 76 zł, prof. S. Trzebiński 75 zł, dr. R. Wierzbicki 150 zł i bezimienny 75 zł, razem 376 zł. Nadto złożyli: prof. H. Nusbaum 600 zł na wydawnictwa „Archiwum” i dr. W. Ziembicki ze Lwowa 150 zł jako zasilek dla „Archiwum” na r. 1926. — Wszystkim tym ofiarodawcom składa „Archiwum” najserdeczniejsze podziękowanie.

— Do niniejszego zeszytu „Archiwum” dołączona jest reprodukcja portretu olejnego Józefa Dietla z r. 1834, będącego własnością p. Bronisława Dietla, starosty w Inowrocławiu.

Archives de l'histoire et de la philosophie
de la médecine et de l'histoire
des sciences naturelles.

Résumé des principaux articles.

Adam Wrzosek et Romuald Wierzbicki.

Les premières applications de l'auscultation en Pologne.

C'est incontestablement à la France que nous sommes redevables de la percussion et de l'auscultation comme méthodes de diagnostic.

Il est vrai toutefois qu'un médecin viennois, Léopold Auenbrugger (1722-1809), avait déjà écrit en 1761 une courte dissertation en latin intitulée: „*Inventum novum ex percussione thoracis humani ut signo obstruos interni pectoris morbos detegendi.*“ Dans ce travail, qui passa alors inaperçu du monde médical, l'auteur soulignait l'importance de la percussion du thorax pour le diagnostic des différentes maladies. Sa traduction française faite par Rossière de la Chassagne et éditée en 1770 eut aussi le même sort. Elle n'attira l'attention ni des savants, ni des médecins et bientôt tomba dans l'oubli.

En 1808, Corvisart-Desmarets (1755—1821), médecin de Napoléon I^{er}, qui utilisait lui-même la percussion depuis vingt ans, publia une nouvelle traduction de la dissertation d'Auenbrugger en la complétant de remarques et de notes personnelles dans lesquelles il corrigea certaines interprétations erronées de l'auteur viennois. A dater de cette époque, la percussion commença à occuper le rang qui lui était dû parmi les méthodes d'examen des malades.

Laënnec (1781—1826) fut plus heureux qu'Auenbrugger. La publication de sa méthode d'auscultation en 1818 eut un très grand retentissement parmi les médecins de tous les pays civilisés et elle donna lieu en France à un mouvement scientifique important, au cours duquel la percussion et l'auscultation virent s'étendre leurs applications, grâce à des médecins illustres comme Bouillaud, Piorry, Aran, Andral, Louis, etc.

En Autriche et en Allemagne, ces méthodes furent mises en vogue par Joseph Škoda, célèbre professeur à l'université de Vienne, qui publia sur ce sujet en 1839 un livre très important au point de vue scientifique. Joseph Škoda avait eu toutefois un prédécesseur en la personne d'Adam Raciborski (1804—1871). Ce médecin polonais, auteur de nombreux articles et ouvrages médicaux, contribua beaucoup à la vulgarisation des méthodes de percussion et d'auscultation, non seulement en France et en Allemagne, mais aussi en Angleterre, aux États-Unis, en Belgique, en Pologne, en Russie et en Grèce.

En 1831, alors qu'il était encore étudiant en médecine, Adam Raciborski avait pris part à l'insurrection polonaise contre la Russie et il dut ensuite émigrer en France pour éviter les persécutions du gouvernement russe. Un an après avoir obtenu à Paris, en 1834, le diplôme de docteur en médecine, ce jeune savant de vingt-six ans publia sur la percussion et l'auscultation un manuel qu'il dédia à Bouillaud. Cet ouvrage, édité à Paris en 1835, sous le titre de: „Nouveau manuel complet d'auscultation et de percussion, ou application de l'acoustique au diagnostic des maladies“ (in 8-o, IX et 304 pages), eut un si grand succès que la même année paraissait à Cambridge sa traduction en anglais. Le manuel fut ensuite traduit en allemand, puis en grec en 1838 et enfin cinq ans après en russe. Ce livre imprimé à Bruxelles en était déjà à sa deuxième édition française lorsque parut, en 1839, la

première édition du livre du professeur Skoda. De plus, outre la traduction anglaise de Cambridge, une seconde traduction anglaise fut publiée ultérieurement à Boston.

La méthode de Laënnec ne fut pas acceptée dans tous les pays avec le même enthousiasme qu'en France.

Doll*) écrit dans sa dissertation sur le développement de l'auscultation: „Wie viele tiefgreifende Neuerungen erfuhr auch die Kunst der Stethoskopie, wie man die Auskultation früher häufig bezeichnete, mancherlei Zweifel und Ablehnung. Namentlich in England wurde sie eine Zeitlang bewitzelt und bespöttelt“. Et, plus loin, le même auteur ajoute: Il a fallu attendre longtemps avant que le diagnostic physique ait trouvé partout en Allemagne un accueil favorable.

Jusqu'à présent, on n'est pas encore exactement fixé sur la date de l'introduction dans l'enseignement médical en Allemagne de la percussion et de l'auscultation. On sait seulement que Pfeiffer, alors assistant de Schönlein à Würzburg, fit pour la première fois des cours sur la percussion et l'auscultation en 1828. Par contre nous savons d'une façon certaine, qu'en Pologne, on exerçait les étudiants en médecine à percuter et à ausculter dès le commencement de 1823. Sous ce rapport, les Polonais ne furent donc pas en retard sur les autres nations.

Quand Laënnec commença ses cours publics sur les applications de l'auscultation, le dr. Vincent Herberski, assistant de l'Université de Vilno, séjournait alors à Paris où il avait été envoyé pour quelques années dans un but de perfectionnement. S'étant présenté à Laënnec, il devint bientôt un de ses élèves les plus zélés.

A son retour à Vilno, en 1823, Herberski occupa à l'Université la chaire de clinique médicale que venait de quitter

*) Doll. Die Entwicklungsgeschichte der Auskultation zu ihrem 100-jährigen Gedächtnis. Archiv für Geschichte der Medizin. Bd. XIII, 1921, p. 51.

le professeur Joseph Frank, médecin très connu de l'époque et auteur de nombreux ouvrages médicaux. Herberski y fut un propagateur zélé, presque fanatique des méthodes de Laënnec.

Notons ici, qu'au commencement du dix-neuvième siècle, il n'y avait en Pologne que trois facultés de médecine. Elles faisaient partie des Universités de Cracovie, de Varsovie et de Vilno. L'Université de Vilno occupait la première place au point de vue scientifique.

Les observations écrites par les élèves de Herberski nous prouvent qu'ils savaient vraiment manier le stéthoscope et en apprécier toute l'importance. Un d'entre eux notamment, décrivant en 1825 le cas d'un malade, ajoute: „Usum stethoscopii ad ritè cognoscendos delucidandosque morbos pectoris omni laude dignum esse, convicti sumus.“

Le premier traité en polonais sur la stéthoscopie fut écrit en 1824 par Félix Rymkiewicz, qui fut plus tard professeur à l'Université de Vilno. Il fit connaître aux médecins polonais les résultats des travaux scientifiques sur l'auscultation de Laënnec, de Kergaradec et de Lisfranc. Cet ouvrage était illustré de cinq figures représentant le stéthoscope et ses différentes parties.

La même année, Jean Oczapowski, un des élèves de la clinique de Herberski, publiait sa thèse de doctorat: „De auscultatione mediata. De stethoscopii usu in medicina, chirurgia et arte obstetricia“ (Vilnae 1824, 82 pages et un hors-texte avec figures représentant le stéthoscope et ses différentes parties).

La dissertation d'Oczapowski est, à notre connaissance, la première thèse de doctorat qui traite de l'auscultation, non seulement en clinique interne mais aussi en obstétrique et en chirurgie.

W. Ziembicki.

Balthazar Hacquet, membre de la faculté de médecine de Lwów, sous le règne de l'empereur Joseph II, — sa personnalité et ses ouvrages concernant notre pays et notamment nos sources minérales.

L'auteur analyse la vie et les oeuvres de Balthazar Hacquet, professeur d'histoire naturelle à la faculté de médecine de Lwów. Balthazar Hacquet était Autrichien, malgré son origine française. Son oeuvre principale, écrite comme d'habitude en allemand et intitulée: „Hacquets neueste physikalisch-politische Reisen durch die Dacischen und Sarmatischen Karpathen“ (Nürnberg 1794—96), contient une description physique et politique de la Galicie (région de la Pologne qui, après son démembrement, fit partie de l'Autriche). Elle renferme des études, parfois très détaillées, des sources et des eaux minérales comme celles de Szkło, Lubień, Pustomyty, Krzeszowice et Krynica. On y trouve également une description, la plus ancienne, du crétinisme endémique d'un peuple montagnard des environs des Tatry. Aux défauts personnels de l'homme qui ne fut en somme qu'un étranger peu sympathique, l'auteur oppose les mérites incontestables du savant, contribuant avec succès aux explorations de notre pays. L'auteur termine par des commentaires comparatifs concernant chaque sujet mentionné dans le travail.

Julien Talko-Hryniewicz.

Les anciens médecins de Vilno.

Ce sont des notes biographiques sur des anciens médecins, élèves de l'Université de Vilno. Cette Université, fondée en 1578 par le roi de Pologne Etienne Batory, fut fermée en 1831 par ordre du tsar Nicolas I^{er}. On y trouve également des détails biographiques sur certains élèves de l'Aca-

démie médico-chirurgicale de Vilno qui fut fermée par le gouvernement russe en 1842.

L'auteur, ayant connu dans sa jeunesse certains d'entre eux, ajoute à ces notes des souvenirs personnels, notamment sur son grand-père Adam Fischer (1794—1869), sur Mathieu Stasiulewicz, Nicolas Żuk, Julien Titius et Séverin Gałęzowski, professeur de chirurgie à l'Université de Vilno, qui mourut à Paris en 1878, à l'âge de 77 ans.

Ladislav Szumowski.

Les problèmes les plus urgents de la philosophie de la médecine.

La philosophie de la médecine est enseignée depuis quelques années dans les universités polonaises. Un des problèmes les plus urgents qu'elle aura à résoudre, sera de résumer et de condenser en un manuel les matières de son enseignement. Une partie des questions qu'elle traite et qui appartient à la méthodologie des sciences naturelles en général et des sciences médicales en particulier devra être exposée sous forme d'un „Cours de logique à l'usage des médecins.“

Henri Nusbaum.

La médecine en tant que science appliquée.

L'auteur, après avoir défini ce qu'est la médecine considérée comme science appliquée, nous expose ensuite longuement en quoi elle diffère de la médecine considérée comme science pure et de la médecine en tant qu'art.

Stanislas Trzebiński.

La superstition et le préjugé en médecine.

Ce que nous considérons actuellement comme des superstitions en médecine, par exemple l'étiologie et la thérapeutique surnaturelles des maladies, était jadis, à l'époque de la médecine théurgique et démonologique, un acte de foi des

médecins orthodoxes. Ces croyances persistent dans le public non médical de nos jours, grâce à la psychologie particulière de l'homme malade, aux possibilités limitées de la médecine officielle et à son peu de compréhension pour l'importance du principe irrationnel dans la pathologie et la thérapeutique.

Les opinions que nous traitons de préjugés médicaux, si elles ne sont pas dues à des observations totalement erronées, se basent quelquefois sur une intuition partiellement ou même complètement juste et se sont maintenues dans la médecine d'autrefois grâce à l'autorité des hommes qui les avaient prononcées. Rejetées ensuite par les savants qui ne parvenaient pas à en démontrer la justesse, menant pendant un temps plus ou moins long une existence latente parmi le public profane, elles finissent par rentrer dans la science médicale lorsque des faits nouveaux, inconnus auparavant, permettent de prouver d'une manière scientifique ce que les anciens n'avaient admis que par intuition. Comme exemple, on pourrait citer la croyance à l'helminthiase en tant que cause étiologique des affections des voies respiratoires, croyance réhabilitée ces temps derniers par une connaissance plus approfondie de l'évolution du lombric.

Adam Ferdinand Adamowicz.

Données historiques sur les calculs de la vessie et l'opération de ces calculs à Vilno.

(édité par Victor Janusz)

C'est une conférence du professeur Adamowicz, faite en 1846 à la Société de Médecine de Vilno. Nous y apprenons qu'en Pologne, la première communication parue sur l'opération des calculs vésicaux fut faite par le dr. Oehme, qui pratiqua cette opération à Nieśwież en 1773. A partir de 1806, cette opération fut pratiquée par Nizzkowski, Pelikan, Gałęzowski, Korzeniowski et Porcjanko, professeurs de clinique chirurgicale à l'ancienne université de Vilno, ainsi que par le dr. Rulkiewicz.

Książnica - Atlas

Lwów, Czarnieckiego 12. :-: Warszawa, Nowy Świat 59.

Poleca wydawnictwa lekarskie i pokrewne:

Browiński i Suchowiak L. Krótki przewodnik do ćwiczeń z zakresu analizy chemicznej z 1 tablicą	1.30
Brudzewski K. Podręcznik perimetrii klinicznej z 111 rycinami	8.—
Czernecki W. Fizjologia i patologia śledziony	4.—
Danysz J. Teoria chorób zakaźnych i niezakaźnych	3.30
" Geneza energii psychicznej z 25 rycinami	6.60
Dzierżyński W. Podręcznik chorób nerwowych	12.—
Gądzikiewicz W. Metodyka badań higienicznych	18.—
" Higiena książki	1.60
Godlewski E. Podręcznik embriologii z 444 rycinami	13.50
Grzywo-Dąbrowski. Zarys medycyny sądowej z atlasem o 62 ilustr. i tablicami barwnymi	10.—
" Wskazówki do wykonywania sąd.-lek. oględzin zwłok	2.40
Klęsk A. Psychofizjologia i patologia pisma z 6 rycinami	2.40
Korczyński A. Kurs preparatyki chemicznej	1.60
" Wskazówki do wykon. analizy elementarnej	1.30
Kozikowski. Smoliki i korniki	2.50
Leszczyński R. Zarys farmakologii	3.50
Nowaczyński J. Mikroskopja i chemja kliniczna	12.—
Podręcznik chorób zakaźnych. Naczelny red. dr. St. Sterling-Okuniewski	
Zeszyt I, Cz. II. W. Chodźko, Organizacja państw. i społ. w walce z chorobami zakaźnymi. Prawodawstwo sanitarne międzynarodowe i polskie	7.20
Zeszyt III. Zakażenia całego ustroju zarazkami znanymi i domniemanymi	12.—
Zeszyt VI. Choroby zakaźne przewodu pokarmowego	11.20
Zeszyt VIII. Choroby zakaźne skóry, narządów płciowych i poszczególnych narządów	12.—
Przyroda i technika. Miesięcznik Red. dr. M. Koczwara. Pren. roczna	8.40
Sabatowski A. Klimatoterapia i hydroterapia ogólna i zdrojowiskowa	6.60
Sterling - Okuniewski S. Dur wysypkowy. Z 94 rycinami i 1 tabl. kolor.	11.50
Szafer W., Kulczyński S. i Pawłowski B. Rośliny polskie. Opr.	24.—
Szczepański Z. Podręcznik badań chemicznych, drobnowidowych i bakterjologicznych przy łóżku chorego. 16 ilustracyj i 3 tablice barwne	4.50

Księgarnia Wydawnicza Józefa Zawadzkiego w Wilnie

Konto w P. K. O. 80 220

Wielka 7

poleca podstawowe dzieło Prof. U. Wil. K. Karaffy-Korbutta

ZARYS HIGJENY

740 stron druku, 200 ilustracyj, 44 tabl. statyst. cena 25 zł

Po zatem posiada w dziale antykwarskim i poleca:

Abicht. Institutiones Therapiae Generalis, Wilno 1840	zł 4.50
Brandt F. Angiologia, Warszawa 1816	zł 4.50
„ „ Splachnologia, Warszawa 1815	zł 4.50
Collectanea Medico-Chirurgica , Vol. I. Wilno 1838	zł 15.—
Cuvier. Historia nauk przyrodzonych (z dodaniem historii anatomji w Polsce i na Litwie) 5 tom., Wilno 1854-1855	zł 12.—
Czekierski J. , Chirurgja, 4 tomy, Warszawa 1817	zł 20.—

W Administracji „Archiwum“

jest do nabycia

Album wybitnych lekarzy polskich

(18 wizerunków światłodrukowych)

wydanych przed kilkunastu laty przez H. Święcickiego
jako dodatek do „Nowin Lekarskich“.

Cena albumu w teczce 36 zł — dla prenumeratorów
„Archiwum“ 16 zł.

UNIWERSYTET ŁÓDZKI
ZAKŁAD HISTORII
I FILOZOFII MEDYCyny